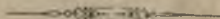


NA CMENTARZU, NA WULKANIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.



WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1883.

<http://rcin.org.pl>

Дозволено Цензурою.
Варшава, 18 Ноября 1882 года.

F. 1715

Przychodzi w życiu godzina, gdy wszystko czarną się jakąś szatą obleka, nic nie wabi i nie bawi, nic nie przestrasza i nie drażni; jest to gorzej niż rozpacz, bo zimny sen, zdrętwiałość jakaś, apatja...

To co najwięcej pociągało dawniej — ludzie, najpierwsi nam brzydą; stworzyliśmy tyle tych ostryg, a wszystkie w środku były zgniłe i cuchnące... niektóre z nich najlepsze świeżo wyglądały na chwilę, psuło je zetknięcie z powietrzem i trochę zestarzenia...

W młodości po za chwytającymi ją zwątpieniami chwilowemi, są przestwory dalekie, na które oko wybiega z ciemności i pociesza się tajemniczemi lazurami widnokregu... później z za opadłych liści i suchych gałęzi wszędzie tylko śmierć przegląda...

Po ludziach człowiek powątpiewa o dziejach, o sprawiedliwości, o logice wypadków, o sumieniu ogółu... o rozumie w historyi, o słuszności w losach... staje się fatalistą.

W dziełach sztuki dostrzega tylko jednostronną ich piękność, a wielostronne ich błędy i niedostatki; w geniuszach ich przerost w kierunku wyłącznym, ko-

sztem pełności władz... we wszystkim cielesne piętno znikomości i niedoskonałości.

Nie ma nawet siły pogniewać się na ten rzeczy porządek lub raczej nieporządek rzeczy, uśmiecha się obojętnie, jak ten co lat kilkadziesiąt odgadnąć usiłuje zagadkę, doszedł tylko że nie jest rozwiązalną... bo jest może gmatwaniną bez znaczenia. Zakłada ręce po Napoleońsku, spuszcza głowę na piersi, jak aktor grający pogrążonego w dumaniu bohatera. i uśmiechnąwszy się do własnej głupoty, czeka cierpliwie dzwonka, który mu ostatnią ma wybić godzinę...

Gdy się dojdzie do tego stanu. nie ma już co robić na świecie... ale rozsądek każe dotrwać w przedpokoju wieczności jakiejbądź do końca, nie cierpliwiąc się, nie zżymając i nie gniewając na zbyt przedłużone oczekiwanie, chociażby je pedogra, reumatyzmy i niedoleżstwo chwilami nieznośnemi czyniły. Rzadko kto na tę czarną godzinę zbudował sobie chatkę zaciszną i zaoszczędził kożuch ciepły, często ją przychodzi przebywać o głodzie, o chłodzie, na słońcu i błocie... sycząc z bólu... niemniej potrzeba mieć tyle męztwa, żeby nie okazać co się w duszy dzieje. Miłość własna jest wielką pomocą, i zdała się tu, bo kto ukrywa ból, ten go sobie zmniejsza; rozkładający się z nim, cierpi więcej... to pewna.

Ten stan duszy nie jest wyłączną własnością pewnych lat, ani łaską przywiązaną do pewnych temperamentów stepionych na krajaniu twardszego nad nie świata, jest także często epidemiczną chorobą epok i krajów.

W szczęśliwych czasach słabość ta mieni się w spokojną drzemkę poobiednią z uśmiechem na

ustach; w godzinach burzy jest to dławiąca zmora uciskająca piersi tysiąca tych, którzy żyć nie umieją i umrzeć nie mogą.

Uwagi te mimowolnie przyjść musiały każdemu, kto chwilę popatrzył na fizjognomję mężczyzny podstarzałego, który rzuciwszy swego weturyna na drodze do Pizy, u samych prawie wrót starego grodu, dziś wyglądającego na wielki cmentarz lub wielki szpital (jak go Grün nazywa) szedł powoli pieszo do miasta...

Nazwaliśmy go podstarzałym, nie był bowiem starym, widocznie dusza więcej się zużyła niż ciało, które pozostało krzepkiem, zdrowem i zwiędłym. Mógł mieć lat czterdzieści, pięćdziesiąt do siedmdziesięciu, odgadnąć metryki nikt by nie potrafił, doszedł bowiem tych lat szczęśliwych, które się już nie czytają na twarzy. Z trochę starania oblicze dobrze zachowanego człowieka w tym rodzaju, trwać umie nie grzybiejąc do ostatniej słabości i ostatniej godziny, co je nagle w kościotrup powleczony skórą suchą zamienia.

Któż wie? człowiek ten może był takim od młodości! to pewna, że oblicze nosiło piętno mumji, oznajmując iż go ząb czasu wyszczerbić nie potrafi. Pargaminową okryte skórą, z której krew uciekła, nie miało prawie marszczek, bo nie ulegało targaniom namiętności co je tworzy, oczy były szklanne, blade, zimne, wystygłe z życia. usta nieruchome, żaden wyraz prócz męztwa obojętnego nie charakteryzował rysów marmurowych, pięknych ale nie mówiących. Było to coś nakształt maski pośmiertnej, w której trudno poznać genialne rysy wielkiego męża, świadkiem

wszystkie odlewy, począwszy od tego, który pokazuje w szafce w Wejmarze, przedstawiający niby Schiller'a, aż do przywiezionych ze Św. Heleny, który rzeźbiarza ręka musiała przerobić aby go uczynić Napoleonem.

Człowieczek ten niewielkiego wzrostu ubrany był skromnie, wygodnie, prawie wykwintnie ale niepokaznie; szedł pomaleńku jak ktoś co się nie spieszy, któremu wcale nie pilno, co dzień swój kończy nie wyczekując nic od jutra...

Weturyń jadący za nim rad. że się dowlókl do oznaczonego miejsca, ciągnął także powoli, zapaliwszy czarne cygaro, rozłamane na dwoje.

Mrok gęsty padać zaczynał, gdy podróżny i jego powóz wsunęli się na ten plac porosły trawą, jak Campo Vaccino, stare rzymskie forum, wśród którego stoją trzy pomniki architektury: katedra, baptysteryum i pochyła wieżycza... nie licząc Campo Santo, cmentarza posypanego ziemią przywiezioną z Jerozolimy i popiołami tyłu pokoleń...

Zdaleka gorzało tylko niebo włoskie ostatnimi blaskami słońca, a odbicie ich ciepłe oblewało tony harmonijnymi ściany monumentów milczących tej puystyni...

Zwykle jeśli cudzoziemcy nie rozbudzą Pizy, śpi ona dniami i nocą, a około tych gmachów, które stanowią chwałę jej, chyba żebrak lub wracające z pola było się przesunie.

Tym razem mimo spóźnionej pory, z wielkiem podziwieniem podróżnego, około żelaznej kraty zamykającej Campo Santo, panował jakiś ruch niezwykajny.

Rzadcy przechodnie przesuający się na drugiej kończyźnie pustyni, stawali i osłupieli słysząc o tej porze hałas oddalony w stronie starego cmentarza. przechodziły im przez głowę najdziwaczniejsze myśli... i nie umieli niemi nawet wytłumaczyć zgiełku w godzinie, gdy Piza już sobie zwykła życzyć felicissima a notte...

Oddawna też żaden Anglik nie pozwolił sobie zakłócić spokoju tego zakątka tak ekscentrycznem żądaniem, które niesłychane zdumienie wywoływało w nielicznych świadkach osobliwszej owej sceny.

Żelazna krata cmentarza naturalnie zamyka się o zmroku, żaden z odwiedzających te precudne galerje, przypatrujących się malowaniom Orcagna, grobowcom i pomnikom, nie przybywa wieczorem dla bardzo prostej przyczyny, iż nic by tu nie zobaczył, bo i we dnie, wśród jasności i blasku włoskiego nieba, nie nadto tu jest światła. Cóż dopiero o mroku?

Strażnik tej świątyni pamiętek odchodzi zawczasu z kluczami i idzie spocząć na łonie familji, zajadając po znojach dnia pracowitego makaroni z pomidorami... Nawet żebracy, którzy czatują na podróżnych u bram kościoła, wieżycy, chrzcielnicy i Campo Santo, opuszczają swe stanowisko nie procentujące już wieczorem. Jedyne tylko we Włoszech pijaczyna, pół warjata pół opoja, głośno wykrzykujący tam, gdzie każdy okrzyk zdaje się nieuszanowaniem dla uroczystego majestatu i spokoju miejsca, przypaźnia się nieco czasami na placu...

Biedną tę istotę widział i pamięta pewnie każdy kto przed laty kilką Pizę odwiedzał. Był to człowieczek ruchawy, krzykliwy, w powszednie dni napiły...

ale nawet na czczo nieprzytomny, bo mu się dawno w głowie pomieszało...

On jeden o zachodzie słońca błędził jeszcze po Pizańskim placu katedralnym, sam z sobą prowadząc bardzo zajmującą rozmowę i na sposób włoski czyniąc ją zrozumialszą najdziwaczniejszymi rąk. głowy, nóg i całego ciała ruchami. gdy ogromny powóz, wetura, najęta widać w Genui koło Porta Pila i wyciągniona z jakiegoś kąta wozowni, w którym lata długie odpoczywała pod pyłem, zaprzężona w trzy konie, ojuczona tłomokami z przodu, z tyłu i z boków, zatrzymała się przed wrotami Campo Santo...

Dlaczego nie posunęła się nad Arno, do hotelów tęskno oczekujących na przybycie gości, czemu stanęła od razu w tem miejscu. było to tajemnicą nieodgadnioną. Zawarty we wnętrzu Anglik i jego familja złożona z żony, córki i młodego cienkiego gentlemiana. od godziny z wielką pracą i językowemi wysiłki starali się dać zrozumieć weturynowi, że koniecznie wprost chcą zajechać przed drzwi sławnego cmentarza.

Anglik od pół roku karmił w sobie oryginalny pomysł oglądania Campo Santo, nie tak jak wszyscy śmiertelni, po białym dniu, z Bradschawem w rękę i ciceronem u boku, chciał być jedynym podróżnym o którym by dzienniki głośiły, iż przybył do Pizy, aby sławny cmentarz widzieć przy pochodniach, illuminywany umyślnie dla siebie.

Zrazu rzecz się wydała prawie niemożliwą i niemal niezrozumiałą tym, którym o niej Sir Price napomknął. Biedny warjat spełniający zwykle ten obowiązek, poleciał zdumiony po stróża, którego od lat dwudziestu o tej porze nikt podobnem, dzikiem nie

obudził żądaniem. Stróż chciał odłożyć do jutra otwarcie drzwi, ale służący za tłumacza Anglikowi Włoch, Genuńczyk, dał mu do zrozumienia, iż szło o rzecz nadzwyczajną i nadzwyczajnie opłacić się mogącą. Anglik żądał otwarcia cmentarza i oświetlenia, tak aby go oglądać mógł przy pochodniach.

Dziwna ta myśl niepraktykowana, niesłychana, zdała się stróżowi (który machinalnie schwycił był już klucze, pomnąc na buona mancia jaką miał zyskać), nieco świętokradzką, trochę rewolucyjną, w ostatku może dla spokoju i bezpieczeństwa mieszkańców Pizy niebezpieczną. Spoglądał na żonę, myślał, drapał się po głowie i nie wiedział co począć.

Kilku sąsiadów przywabionych zgiełkiem w mieszkaniu, weszło, porzuciwszy morę i wieczorne markarony, stało i usiłowało zrozumieć o co chodzi.

Genuńczyk najęty za tłumacza uśmiechał się jako więcej cywilizowany i przywykleszy do wszelakich dziwactw człowiek.. z powagą męża stanu tłumaczył im, Pizanom, że żądanie bogatego Anglika nie miało w sobie nic tak niezwykłego, ani straszliwego, że było prostą fantazją turysty, który pragnie wrażeń innych niż powszednie i zużyte... i że miało się opłacić dobremi gwineami...

Argument ostatni był najmocniej przekonywającym... Włosi zaczęli szeptać pomiędzy sobą, że koniec końcem rzecz była możliwą... choć dosyć trudną. Gdyby podróżni zwykle zwiedzali Campo Santo wieczorami, stróż miałby zapas pochodni i ludzi po temu... ale zkad wziąć iluminację, gdy się do niej nie przygotowało? w całej Pizie pochodni oprócz tych, które towarzyszyły niekiedy pogrzebom dostojniejszym, nie

było... latarnie także i świece nawet były rzadkością. Starożytna lampka o dwóch lub trzech dziobkach z bawełnianemi knotkami, nawet po hotelach używana dotąd, jasno przypominała stare rzymskie dzieje. A oświecić Campo Santo, tak, aby w nich cokolwiek było jasno... nie zdawało się łatwym... korytarze ogromne, ciemne, pochłaniające blask wszelki.

Stróż kiwał głową, nie wpadając na żadną myśl, a Genuenczyk się niecierpliwił.

— *Accidente!* — szeptał pod nosem z gniewu... — cóż wy za ludzie jesteście w tej umarłej Pizie, sami jakby już nieboszczyki... pochodni pożyczyć u księży lub u przedsiębiorcy pogrzebów, policzą je na rachunek Anglika, do niesienia ich każdy, kto parę franków chce zyskać, zdatny być może... płacimy i płacim dobrze.

Szepty pomiędzy Pizanami, którzy zarobku stracić nie chcieli, dobrą czyniły nadzieję, że się coś przecie sklei... Genuenczyk siadł zmęczony ocierając pot z czoła, a stróż porozsyłał w różne strony usypiającego miasta po przybory do oświetlenia... Przyszło mu na myśl, że dany przykład przez dziwaka Anglika mógł być zaraźliwym i napędzić mu zarobku w przyszłości...

Gdy się to dzieje na uboczu, rodzina angielska z flegmą czekając skutku poselstwa Genuenczyka rozłożyła się na stopniach u wejścia Campo Santo... Sir Price nawet zapalił cygaro... które więcej gryzł niż go używał, spoglądając w stronę, z kąd się spodziewał stróża i pochodni. Tym czasem traf chciał, by podróżny, któregośmy widzieli wchodzącego do Pizy, zatrzymał się także, widząc te przybory u cmentarza...

było mu obojętnem przyjść do hotelu trochę wcześniej lub później, chciał doczekać się co też to z tych niezrozumiałych przygotowań wyniknie.

Weturyna wysłał przodem, aby najął gdziekolwiek mieszkanie nad Arno, a sam przystanął zdaleka około baptysterjum...

Oprócz niego dzień ten przywiódł o mroku kilku jeszcze podróżnych, którzy się wszyscy w części dla oglądania gmachów przy blasku wieczora, w części dla rozwiązania zagadki tego ruchu tak tu niezwyčajnego zatrzymali.

Anglik nie był z tego nie rad, każda ekscentryczność potrzebuje świadków, podziwu i rozgłosu. było mu na rękę, że tak mnogich w pustyni widzów zsyłał mu przypadek...

Rodzina angielska, jakieśmy już wspominali, składała się z Sir Price (Augusta), z syna jego młodego Roberta Price, z pani Florence i panny Marji Price... nielicząc guwernantki szwajcarki, panny Julji Joly, która grała tu w istocie rolę bardzo podrzędną.

Siwy podróżny o pargaminowej twarzy, który wszedł pieszo do Pizy, był pierwszym z obcych, którego widok tych przyborów zatrzymał zdaleka. Wkrótce po nim idący pieszo, młody ciemnowłosa mężczyzna, wiodący pod rękę kobietę piękną i majestatycznej postaci, stanął także, nie mogąc sobie widać wytłumaczyć tego ocknienia Campo Santo.

Z pierwszego wejrzenia poznać w nim łatwo było Włocha, jeden z tych typów Italji prawie pospolitych ale odznaczających się regularnością rysów energicznych i wybitnych, kruczego włosa, czarnych oczów, wysokiego dość czoła, zbudowany był jak

Herkules i widać że czuł swą siłę. Jasno patrzyło mu ze źrenic promienistych, a usta prawie z politowaniem uśmiechały się na widok cisnących przy kracie Anglików; kobieta, którą prowadził pod rękę, równie słusznego wzrostu, znakomicie piękna, wyglądała jak przybrany posąg starożytny, który się wyrwał z pod klucza konserwatorjum muzeów Pioklemnetyńskich. Oboje ubrani po prostu byli widocznie miejscowi i należeli do klasy wykształconej.. Teka pod pachą mężczyzny zdawała się oznaczać artystę, towarzyszka jego miała w ręku koszyk z robotą... Oboje stanęli szepcząc do siebie i czekali.

Nieopodal od nich dwóch pieszych z kijami w rękach, naradzali się także, spozierając ku Campo Santo.

Byłito oczywiście turyści, ale dla utrudzenia czy fantazji odbywający podróż pieszo. Pierwszy z nich, niskiego wzrostu, małej twarzy pospolitej, włosów jasnych, mocno wyglądał na Niemca, drugi chudy i słuszny, kościsty, żółty, krył tak dobrze swą narodowość w obliczu, które europejskiem nazwać się mogło, nie nosząc na sobie żadnej cechy szczególnej, iż ją odgadnąć było bardzo trudno.

Naostatek, na widok nagromadzonych tu osób, jadąca powozem najętym kobieta pięknej postaci, brunetka w średnim wieku, której twarz nosiła ślady cierpienia i walki, rozkazała także stanąć woźnicy i powoli poszła ku Campo Santo.

Sir Price był prawie dumny, że jego idea tak powszechne budziła zdziwienie... ale się trochę niecierpliwił, bo stróża cmentarnego nie było widać, a mrok padał coraz gęstszy. Nareszcie nadbiegł pędem Genu-

eńczyk oznajmując, że niedługo przybędą klucze, pochodnie i latarnie. Wkrótce potem z uliczki od Akademji Sztuk pięknych wysunęła się gromada ludzi, mająca na czele pół-warjata, idącego z tryumfującymi okrzykami, dalej stróża z godłem swych zajęć, pękiem kluczów i latarnią, — złożona z niższego rodzaju obszarpańców, dzieciaków, starych żebraków i gawiedzi zebranej po ulicach. Niektórzy z nich niesli pochodnie nadpalone, inni latarnie i przybory wszelkie do oświetlenia służyć mogące... Wszystko to cisnęło się, spieszyło i widocznie przejęte było ważnością roli, jaką pierwszy raz w życiu grać miało... Anglik podniósł się tryumfujący...

— Zobaczysz Florence, rzekł, jak się to wyda przy blasku pochodni! nikomu dotąd na myśl nawet nie przyszło oglądać te galerje w nocy... a pewien jestem, że one tak tylko wielkie i głębokie uczynić mogą wrażenie...

— Ale patrz Auguście, dodała Angielka trącając męża, co to osób się zatrzymało... wszakże nie zechcesz im bronić korzystania z tej jedynej zřeczności widzenia Campo Santo... w nocy i w blasku pochodni!

— Bynajmniej, wielcem rad gościom, których będę miał honor przyjmować tutaj, trzeba tylko aby Genu-eńczyk zakazał stróżowi, żeby od nich osobnego nie pobierał podatku... ci włosi są bezwstydnie chciwi...

— Bo ubodzy, odparła wzdychając Lady Florence.

Stróż ze zwyciężkim uśmiechem, pokłoniwszy się Sir Price, otworzył wrota świątyni, z pod której sklepionych korytarzy wionęło chłodniejsze powietrze... gruba ciemność zalegała galerje, a trocha światła wpadającego z wewnętrznego podwórza ginęła pochłonięta

w mrokach sklepień, wśród których białe posągi i grobowce marmurowe jak widma zdaleka się wydawały.

Rodzina angielska stanęła pierwsza w progu, ale nie posunęła się dalej dopóki Genuieńczyk ze stróżem nie zapalili przyniesionych pochodni i latarni. Włosi mają wrodzony talent do improwizowania uroczystości; okazał się on tu zwycięzko przy iluminacji Campo Santo w rozstawieniu gawiedzi, która zwolna przenosić się musiała z podróżnymi z miejsca na miejsce, bo na oświetlenie całego gmachu, otaczającego pole śmierci, nie starczyło ani ludzi, ani pochodni i latarni.

Trzeba przyznać, że myśl Anglika nie była bez oryginalności i bez malowniczych zalet; Campo Santo jakoś dziwniej, poważniej a nadewszystko fantastyczniej wydawało się przy pochodniach, niż we dnie...

Światła padające na posągi, na starożytnie szczątki rzeźby, na zgromadzone tu zabytki sztuki, tworzyły obraz pełen cieniów głębokich, pełen tajemniczych głębi, wśród którego gdzieniegdzie tylko wyrastał marmur biały z zamkniętymi trupiemi oczyma...

Rozkazano iluminacji posuwać się powoli. Sir Price chciał się swem dziełem nacieszyć, żałował że nie było artysty, któryby tę scenę nocną mógł na płótnie umieścić... Żona jego z profesji swej, jako małżonka wynalazcy, była najzapaleńszą wielbicielką idei Augusta... nie mogła się nacieszyć; syn jako wielona opozycja milczał; zdaje się że panna trochę była nastraszona, a Szwajcarka która się duchów i cmentarza lękała, znajdowała wynalazek *d'un gout mediocre*.

Wszyscy ci, których los zgromadził na placu, spostrzegłszy oświetloną budowę, zapragnęli wniknąć w głąb i skorzystać z widoku, szło o to aby Anglika pozwole-

nie uzyskać... Pierwszy, co się o nie zapytał, był stary, siwy i obojętny im wędrowiec. Zostawiony u wrót, Genuńczyk, nie bez uśmiechu wyzywającego do dania mu buona mancia, oświadczył grzecznie, iż wstęp jest wolny dla wszystkich...

Cudzoziemiec wszedł i powoli, zadumany posunął się za rodziną angielską... Widząc go wchodzącego nie mogli się powstrzymać i inni, ów młody człowiek z żoną... owi dwaj wędrowcy z tłumoczkami na plecach, naostatek i majestatyczna piękna pani, której piękność— ruina, była w tak harmonijnej zgodzie ze wszystkim co ją otaczało... Każda z tych postaci, zawahawszy się na progu, wsunęła się do Campo Santo i doznała tego wrażenia, jakie się odbiera niespodzianie wśród podróży, znajdując drogi kamyk lub rzadką monetę. Najzimniejszym pozostał ów trudnego do rozpoznania wieku mężczyzna, który, jak się zdaje, niczemu już dziwić się i z niczego cieszyć nie umiał, jednakże na woskowej twarzy jego drgało jakieś uczucie i uśmiech mumii, którą za ciasno usznurowano do trumny, igrał po jego ustach...

Na twarzy pięknej pani samotnej prześlizgiwały się widocznie wszystkie smutki żywota, które widok śmierci swem sąsiedztwem i siłą z serca wyciąga.

Młodzi tłumoczkowi wędrowcy piesi, na widok tych galerji zarazem przypominających muzeum i cmentarz, a tak uroczo pięknych w oblewającej je ciszy i powadze nocy, nie mogli się powstrzymać od gorących szeptów między sobą... Zniżali tylko głos, aby ich rozprawy i spór nie doszedł obcych uszów.

Zbliżyli się tak wszyscy, idąc jakby procesja za Pric'em, ku głównej ścianie, na której Orcagna Dan-

tejskie skreślił widzenia, gdy ode drzwi dał się słyszeć krok przyspieszony, i nowy przybysz powiększył liczbę ciekawych gości.

Był to małeńki garbaty i krzywy człowieczek z długą twarzą i zbyt na swój wzrost wielką głową, ubrany wykwintnie i starannie... Poznać w nim było łatwo człowieka majątnego, u którego w każdym worku brzęczały pieniądze, który był pewien siebie mimo ułomności swej i niepozoru, bo czuł, że posiada talizman, czyniący go pożądanym, pięknym, dowcipnym i wielkim. Śmielej od innych, choć najpóźniej przybyły, podbiegł aż ku rodzinie Anglików, i z włożonemi w kieszeni rękami napawał się widokiem, jak gdyby zań zapłacił. Czuł bowiem że gdyby mu fantazja przyszła sprawić takie gody, mógłby sobie ich pozwolić. Sir Price prawie był obrażony śmiałością tego jegomości, który mu najmniejszej nie zdawał się okazywać wdzięczności...

Przed obrazem Orcagna stanęli wszyscy, ale mimo podniesienia pochodni do góry, malowanie wyraźnijszem się nie stało...

Obraz ogólny korytarzy zyskiwał, szczegółowe piękności jego nikły... na nie potrzeba było dnia. Anglik wszakże, twórca widowiska, antreprenier jego, znajdował że gdzieindziej z muru wyskakujące malowane postacie były żywiołem podnoszącym fantastyczność sztuki, do której odegrania należały pochodnie, posągi, kolumny, sklepienia, marmury, sarkofagi i kilka tajemniczych figur zupełnie sobie nieznanym.

Kobieta szła sama jedna w milczeniu ze spuszczo-

ną głową, małżeństwo młode tuliło się do siebie, jakby

chciało poczuć mocniej życie w obec otaczających ich i mrożącej chłodem swym śmierci.

Gdyby nie szepty i wykrzyki chłopaków niosących pochodnie, których nadzieja zysku aż do nieprzyzwoitych wybuchów śmiechu niekiedy rozpasywała, można się było sądzić wśród świata cieniów i upiorów.

Ten posąg niewiasty smutnej, której chodu nie dozwalała dostrzedz długa suknia przezroczysta, posuwający się jakby milczące zjawisko niecielesne... ten siwy człowiek bez gry i wyrazu w twarzy woskowej, nawet garbus mający w sobie coś szatańskiego, wyglądałi jakby nie byli z tego świata...

Młody artysta z żoną, tulący się do siebie przypominali Franczeskę Rimini i Lanciotta Danta... Dwaj wędrowcy z tłumoczkami mieli w sobie coś szlachetnego, jakby wyszli z obrazu Masaccia; kije ich zakrzywione i okurzone nogi, biblijnych przywodziły na pamięć wędrowców.

Cały ten obraz uroczystego pochodu przez mury ciche, milczące, grobowemi pomnikami zasiane, mógł być zadowolić najwybredniejszego dziwaka swą niezwykłością, barwą osobliwszą, wdziękiem niepowszednim.

Po dniu, ten cmentarz Pizański, otoczony galecjami na których murach najciekawsze pomniki sztuki i poezji średniowiecznej się uchowały, przeistoczony dziś w rodzaj muzeum, bo w nim zgromadzono najrozmaitsze zabytki, wygląda bardzo dziwnie, malowniczo... ale światło dnia odziera go nieco z tajemniczości, z uroku, jaki narzuca noc, którą tylko smugi światła przeryniają, ruchomemi blaskami życia niemal wnosząc między posągi... Campo Santo istotnie było wiel-

kiej fantazji obrazem, widziane przy pochodniach w migających błyskach, światel, a włoskie dzieciaki, niosące w rękach pozapalane pęki sznurów, uśmiechały się same piękności tego widoku... stróż poprzedzający przychodniów zdumiewał się, stare te i znane rzeczy spostrzegając tak nowemi, tak innemi, cóż dopiero podróżni, których ta niespodzianka spotkała!

Sir Price stąpał jak wielki wynalazca, jako mąż, co w XIX wieku wpadł na rzecz zupełnie nową, choć Anglik i jako Anglik chętnie uważający się za wybrane dziecko świata, i w tej chwili czuł się skłonny do wywnętrzenia, do rozmowy poufalej, do braterskiego obejścia z prostymi śmiertelnikami, którym los nie dał się urodzić pod błogosławionem berłem królowej Wiktorji. Rysy twarzy jego promieniały... patrzył, nastreczał się, chciał znaleźć kogoś do rozmowy... dowodziło to jak był szczęśliwym!

Ale długi szereg ciekawych, korzystających z otwartych drzwi Campo Santo, nie spoił się jeszcze, pod wrażeniem wielkiem, w całość, w którą różnorodne pierwiastki zlewają się tylko, jak roztopione wulkanicznym ogniem kruszce... gdy potężne a jedno uczucie rozgrzeje wszystkie serca... Każdy z tych obcych nieznanym sobie ludzi szedł odosobniony... familja angielska przodem, za nią siwy człowiek wystygły, potem dwoje małżonków, czy kochanków dwoje... dalej dwóch wędrowców, jedna niewiasta ze spuszczoną głową, i najpóźniej przybyły garbusek, który przebiwszy się przez wszystkich, przybliżył się wkrótce do p. Price... ręce trzymając w kieszeniach... Po krótkim spoczynku przed obrazem Orcagni, prawie niewidocznym, szli wszyscy dalej, coraz nowe napotykając piękności. .

Z mroku nocy zbudzony nagle światłem wstawał posąg biały, marmur zdawał się drzeć... pochodnie oblewały go blaskiem coraz mieniającym, potem bladł, nikł i krył się w grubych cieniach nocy. Z ust wynalazcy tej iluminacji wyrwały się wykrzyki, i stawał, chciał przedłużyć godzinę nasycenia... pani dzieliła jego zachwyty, syn milczał, bardzo oględnie poruszał ramionami... panienka i guwernantka szły prawie przerażone i blade, nie śmiejąc szeptać nawet.

Stróż i cicerone zarazem przywykły od lat wielu do oprowadzania turystów po galerji, tłumaczenia im, co znaczą wiszące łańcuchy, co wyobrażają posągi, kto był autorem fresków, nie mógł się powstrzymać od spełnienia swojego obowiązku, mimo niezwyklej godziny i towarzyszących obchodowi okoliczności. Jego suchy głos nałogowo powtarzający jedno od lat wielu, nie potrzebował już myśli, coby go wiodła, śpiąc i dumając o czem innem, mógł na pamięć opowiedzieć z kolei, co zamykało Campo Santo... mógł nie patrząc pokazać, gdzie stała Vergognosa. Napróżno Sir Price, chcący wrażeń nie wiedząc jak się dać zrozumieć, dawał mu znać machaniem ręki, że się bez objaśnienia obejdzie, cicerone urywał, ale wkrótce usta mu się otwierały same, głos mimowolnie zapełniał gardło i słowa leciały, bo ich wstrzymać nie umiał, jak nie mówił to mrucał; biedak stał się machiną, i jak zegar, który musi bić gdy idzie, on także musiał mówić gdy szedł. Obeszli tak do koła całą galerję i obejrzelі wszystko aż do pozostawionych pudełek i rozpoczętych kopij artystów malujących tu jak wszędzie we Włoszech, gdy nienasycony Price dał znak, aby powtórzyć peregrynację. Nie wiem czy się kto za to z przytomnych pognie-

wał, prócz chłopaków, których pochodnie się dopalały do rąk, i cicerona, czującego już potrzebę spoczynku i odebrania przyobiecanej płacy... I on wszakże obliczył, że powtórzenie reprezentacji powinno zwiększyć jego *buona mancia*, a chłopcy się tego domyślili. Znowu tedy puszczono się ku Orcagni...

Dziwna rzecz, z szeregu nikt nie ubywał, młoda kobieta, którą pod rękę wiódł piękny mężczyzna, zdawała się go namawiać do odwrotu, ale on słowem jednym, szepniętem na ucho... skłonił ją do dalszej milczącej wędrówki, która na nim widocznie czyniła wrażenie głębokie.

W tym drugim pochodzie, i ludzie dobrze wychowani i nieśmieli... nie zbliżyli się jeszcze do siebie. Im bardziej ucywilizowanym jest człowiek, tem mniej staje się istotą towarzyską. Na szczycie cywilizacji stojący Anglik zmusza się do milczenia, do niegrzeczności, do ignorowania ludzi otaczających. W średnich klasach zachowuje się jeszcze jakieś poczucie braterstwa, jakieś ochotne zbliżenie do nieznanomych; w wyższym społeczeństwie prawidłem jest, nie znać kogo się urzędownie nie poznało. Nic zabawniejszego nad położenia, w których owa arystokracja cywilizacji zmuszoną jest ocierać się o tłum bezimienny; z jakąż to troskliwością unika wejrzenia, broni się by nie wymówić słowa, przeraża zaczepką każdą... Przyszłoby zwątpić o świecie, gdyby takie wyosobnienie za kwiat wykształcenia uważać można. Jest to po prostu ułomność, która ludzi pozornie najlepiej wychowanych czyni w istocie, przez miłość własną i dumę, najprzykrzejszymi w stosunkach z obcymi...

Narzucanie się nieznanym jest zapewne dowo-

dem prostoty i rzeczą często śmieszną, ale ten strach człowieka, to oszacowanie siebie tak wysoko, że nikt słowem ni wejrzeniem dotknąć nas nie jest godzien, nierównie bywa śmieszniejszym i smutniejszym zarazem. Wyjąwszy dwóch młodych ludzi i młode małżeństwo, reszta zgromadzonych była w położeniu dobrze wychowanych... unikała zbliżenia z otaczającymi, przez posłuszeństwo dzikim etykiety prawidłom.

Pozostałych czworo milczało przez nieśmiałość. Wszystkim wszakże bez wyjątku chciało się wewnątrz wrazeniami podzielić, świerzbiały usta, wyrwały się słowa. Sir Price odwracał się aż do tego garbusa, który na nim swą postawą i rękami w kieszeniach tak niemiłe zrazu czynił wrażenie. Powoli, w drugim pochodzie wszyscy się nieco ku sobie przybliżać zaczęli, przypatrywać sobie, zaglądać w oczy, ośmielać wzajemnie... potrzeba było tylko iskierki, aby rozpłonienią i otwarła usta, pragnące się otworzyć.

Tą iskrą był ogień niebieski...

Rzadkie są wprawdzie burze we Włoszech, ale gby się na nie zbierze, zaślubiny niebios z ziemią odbywają się z uroczystością wielką, z hałasem niezmiernym, z wrzawą i zbytkiem piorunów i błyskawic niesłychanym... Kogo z czytelników moich spotkała burza w Apeninach, nad brzegami morza, przypomni sobie jak ona wygląda i jak się rozpasuje szalenie. Zajęci oglądaniem Campo Santo i napawaniem się wrażeniami, podróżni nasi nie zważali wcale, że od strony morza gruba i ciężka chmura cichaczem się zbliżała... zakryci ścianą wchodową od tej strony, z której przychodziła, nie postrzegli jej aż wicher zaszumił gałęźmi cyprysów na polu umarłych, błyskawice rozdarły cie-

mności nadeszłej już nocy, i huk pierwszego inaugurującego burzę piorunu rozległ się uroczyscie na placu katedralnym. Prawie w tejże chwili drugi i trzeci szybko nastąpiły po nim z łoskotem jak gdyby duchy zamieszkujące Campo Santo, mszcząc się za świętokradztwo, chciały wstrząsnąć murami nad głowami wędrowców.

Wrażenie, jakie ta muzyka wichru, piorunów i ulewnego deszczu spadającego nagle, uczyniła w zebranych na cmentarzu, przeszło oczekiwanie Sir Price, który szukał nowych wrażeń... on jeden uśmiechnął się przekonany, że natura także przyczynić się chciała do niespodzianki. Reszta gości spojrziała po sobie strwożona... Rozmaite są usposobienia i temperamenta ludzi, w ogóle jednak rzadko kto lubi łoskot piorunów mogących mu spaść na głowę. Włochy poczęli się żegnać, spoglądając bojaźliwie przez otwory na czarno zaciągające się niebo, jeden tylko chłopak młody, po kilku żywo po sobie następujących uderzeniach, zawołał z uśmiechem:

— Ecco fa l'esercizio!

Zdało mu się, że słyszy musztrę artylerji W-go Księcia...

Samotnie idąca kobieta stanęła jak wryta, pobladła, przyłożyła rękę do serca, zakryła sobie oczy, usunęła się potem ku ścianie i oparła o nią, widocznie przerażona i nieprzytomna.

Stary garbus począł śmiać się oglądając, i zawołał w języku cywilizowanego świata, to jest naturalnie po francuzku:

— A to cudownie! Prawdziwie mamy szczęście!

— Prawda! odpowiedział mu żywo Anglik z mo-

cnym wyspiarskim akcentem, prawda? to się nazywa mieć niesłychane szczęście! nigdy w życiu nie zapomnę tego cudownego wieczora! Campo Santo naprzód widziane o mroku, potem przy świetle pochodni, naostatek w blasku błyskawic, przy muzyce piorunów! Oświetlenie i orkiestra widowiska nieopłacone!

Anglik innego wyrazu znaleźć nie umiał.

— Wszystkośmy to podobno winni, rzekł z odrobiną nieopuszczającego go widać nigdy szyderstwa (czuł się bowiem jako garbaty obowiązany do dowcipu) wszystkośmy to winni szczęśliwej myśli pańskiej...

— Tak, myśli, która mi w podróży z Genui do Pizy ciągle towarzyszyła, muszę to przyznać, rzekł Anglik chwytając zręczność wywnętrzenia się, choć przed cudzoziemcem.

— Ale nie wszyscy podobno, których oryginalny pomysł pana tu ściągnął, odpowiedział garbus, równie jak my są uszczęśliwieni z tej zmiany dekoracji...

Spojrzeli w głąb...

Biedna kobieta samotna oparta była o mur, cierpiała widocznie, ale oczy jej wlepione w bladego, włoskowego, podstarzałego człowieka, który zimno na nią poglądał, dozwalały się domyślać, że i on także... któż wie... zjawieniem się swoim przyczynił się może do widomego na pięknej twarzy przestachu...

Para kochanków, czy małżonków... tuliła się teraz do siebie czulej jeszcze, ale z widocznym niepokojem... kobieta jak prawowierna Włoszka była trochę przesadną, a ta burza, która ich zachwyciła na cmentarzu, przeraziła ją niezmiernie, żegnała się co chwila, łamała ręce, łzy oblewały piękne jej oczy. Naprózno wierny towarzysz uspokoić się ją starał, była więcej

niż zastraszoną, czuła w tym wypadku jakąś przepowiednię przyszłych nieszczęść, jakąś karę za naruszenie spokoju umarłych, dla prostej igraszki i zachcenia dziwaczego.

Dwaj młodzi ludzie... wedle wszelkiego podobieństwa artyści, cieszyli się pięknnością i artystycznym efektem tej sceny...

Pargaminowy człowiek stał z wlepionemi oczyma w samotną kobietę, jak gdyby go wcale burze i pioruny nie obchodziły.

Na Włochach, których była duża gromada, najrozmaitsze czyniła wrażenia burza: stróż był mocno zakłopotany. chwytały go zgryzoty sumienia... inni co wprędce spodziewali się wrócić z tej wycieczki, poczynali się trwożyć zachwyceni ulewą... Cicerone pobiegł wyjrzeć przez drzwi wchodowe, czy ten niespodziany uragan obiecywał trwać długo... Ale ujrzał tylko nieprzebite ciemności, które błyskawice czyniły straszniejszymi jeszcze, całe niebo było zasnutę, zaciągnięte, jakby jednym całunem czarnym... i ogniste gzyzaki tylko przerywały je niekiedy...

Wicher ryczał, wył, świstał i zakradając się w korytarze, najdzikszemi tony śpiewał pieśń zniszczenia...

Pizańskie muzeum śmierci wydawało się teraz znowu inaczej, znów najfantastyczniej...

Niebieska światłość błyskawic, przy czerwonym pochodni ogniu zakradająca się w głębie korytarzy, nagle w nich z nicości wyprowadzała postacie, które ledwie dojrzone nikły w cieniach powracającej nocy. Szum wichru, gra wody, która spadała z dachów szmerząc głosami jak przyspieszony pacierz mnichów

w chórze, wydającemi się z dala; huk grzmotów dalekich, trzask bliższych gromów, wszystko to razem składało obraz, jaki chyba w dekoracjach teatralnych widzieć się trafia... biednie naśladowany.

Miss Price, młody człowiek, Szwajcarka składali grupę wystraszoną prozaicznie, a może tem wyraziściej, że głowa rodziny, Sir August Price, okazywał się nad miarę szczęśliwym...

— *Accidente!* wołał stróż wstrząsając kluczami, burza zabiera się na długo, a powozy tych państwa wszystkie przed nią pouciekały do Albergów nad Arno... Czyż oni tu będą nocować? co ja z nimi tu pocznę? *Accidente!* (*Accidente* we Włoszech to to tak jak u nas wszyscy diabli...)

Do osamotnionej kobiety, której przestrasz naj-
lepiej rozumiała biedna Włoszka bojąca się okrutnie i płacząca z obawy, zbliżyli się oboje młodzi... ze słowem współczucia i ofiarą posługi... ale kobieta nieznaną wyprostowała się dumnie, spojrzała na nich w koło, i jakby się opamiętała, rozśmiała się dziko... zapewne z omyłki tych ludzi, co jej osłupienie wzięli za skutek piorunów. Pargaminowy mężczyzna nie odwrócił od niej swych szklanych oczów, wlepił je jeszcze chciwiej, a potem jakby tknięty sprężyną zwrócił się nagle do grupy, którą złożyli Anglicy z garbusem.

— Przewspaniałe, odezwał się po francuzku... przepyszne! cudowne.

— Nie prawda? powtórzył Anglik... burza przejdzie, ale wspomnienie tego wieczora wartoby upamiętnić... co za szkoda; że tu niema między nami artyści!

— Jako niema? zawołał garbus żywo... zdaje mi

się, jeżeli mnie moja domyślność nie zwodzi, że ich tu jest aż trzech... i po fizjognomii i po tece pod pachą w tym Włochu czuję artystę, który chwilowo dał za wygraną sztuce dla miłości... A ciż dwaj okurzeni pieaszacy nie jestże to naród wędrowny zapaleńców, co szukają piękna po świecie, myśląc że go można jak rzadki kamyk znaleźć na drodze? Masz pan tylko kłopot wyboru... każdy z nich szczęśliwym będzie z zamówienia... roboty tak mało, a chleb tak codziennie potrzebny!...

— Myśl przewyborna! podchwycił Anglik, idzie o to aby się przekonać, czy w istocie są to artyści...

Pioruny i błyskawice szły tymczasem swoim trybem, a stróż u drzwi powtarzał z niecierpliwością *Accidente!*

— Pozwól mi pan usłużyć sobie i zastąpić go, odezwał się garbus... winniśmy mu wszyscy rzecz w życiu drogą, silne i pamiętne wrażenie, radbym się wywdzięczyć...

— Oh! zawołał z uśmiechem Anglik, przykładając rękę do czapeczki i kłaniając się, oh!

Garbus uważając to za zezwolenie, podszedł ku dwóm młodym pieszakom, stojącym w pośrodku korytarza i rozmawiającym po cichu.

— Jeśli się nie mylę, rzekł z pańską fantazją, którą daje pełna kieszeń... panowie musicie być artyści?

— Tak, rzekł wyższy, chudy i suchy, więc cóż?

Ton, jakim to wymówił, nie był wcale zachęcający do rozmowy. garbus spojrział nań, ruszył leciuchno ramionami, skrzywił usta i dodał, zwracając się do mniejszego, którego twarz niewiele obiecywała.

— A pan?

— Jeśli się nie śmiem nazwać artystą, odrzekł mały, dobijam się przynajmniej o to zaszczytne nazwisko...

— Ah! zawołał garbus... w jakim rodzaju?

— Jestem, lub pragnę być rzeźbiarzem...

— A towarzyszu pański! spytał garbus, niechcąc już narażać się, pytając go wprost, na odpowiedź dumną i usiłując mu dać do zrozumienia, że się z nim obszedł nieprzyzwoicie.

— Towarzysz, odparł sam wysoki mężczyzna... ma honor aspirować do tytułu malarza, i na klasycznej ziemi włoskiej pragnie zakrzyknąć całą piersią: anche io son' pittore!

— W rodzaju? spytał garbus.

— Dziwnie pan jesteś ciekawy... rzekł sucho wysoki... pozwólże i mnie być tak szczerym, jak jesteś niedyskretnym... Jest rzeczą widoczną, dla mnie równie jasną jak dla pana, że ja jestem artystą, a że pan nim nie jesteś... ja pieszy i ubogi łowiec piękna, pan bogaty i obojętny członek konfraterni milionerów, która rządzi światem... jesteśmy wedle niego w takim stosunku, że ja powinien się czuć zaszczycony tem, iż pan raczysz przemówić do mnie. Zdaje ci się, że głodny, goły będę sobie mieć za szczęście spełnić twój kaprys za parę sztuk złota! nieprawdaż? i dla tego przychodzisz pan do mnie i pytasz mnie, czym artysta, jak byś przyszedł do sklepiku spytać, czy w nim dostanie siarniczek do zapalenia cygara? a cóż? nie! Tak, jestem artystą, jestem ubogi, ale nie najemnik... jestem artystą dla siebie, dla czci piękna, a moje ubóstwo jest mi tak drogie, że bałbym się je sprzedać za kupę złota, coby mnie popopolitym zrobiła człowiekiem.

— Bravissimo! zakrzyknął garbus... szczerze się cieszę, że w panu znalazł niepospolitego bazgracza, jakich jest tysiące, ale dumnego i oryginalnego człowieka... daj mi pan dłoń, przepraszam...

Wysoki mężczyzna podał mu rękę, zmiękłszy nagle i zamilkł; garbus odsunął się i podszedł do Włocha który stał z żoną nieopodal od samotnej kobiety.

— Daruj pan, rzekł grzeczniej tym razem, czy przypadkiem nie jesteś pan malarzem?

— Staram się nim być, odpowiedział Włoch z ukłonem.

— Czy ten obraz, którego jesteśmy świadkami, nie budzi w panu ochoty do przeniesienia go na płótno?

— Zgadujesz pan myśl moją... zawołał Włoch, właśnie robię wewnątrz tych galerij... i cieszę się, że będę miał cały nowy przedmiot do obrazu, o którym już marzę... Campo Santo oświetlone pochodniami i burzą...

— Cudownie, rzekł garbus, na ten widok masz pan gotowego nabywcę... i wskazał mu Anglika, który odgadując rozmowę, uśmiechnął się z wyrazem uszcześliwienia i aż klasnął w ręce.

Włoch prawie się przestraszył, widząc się tak szybko chwyconym za słowo.

— Przepraszam, zawołał, niepodobieństwem jest dla mnie przyrzec dzieło, które zaledwie poczyna się rodzić w mej głowie i rozkołysywać piersi; nie jestem tak niesumiennym, bym lada czem zbyć chciał i człowieka. co mi zaufa, i moją własną sławę... Jeżeli to co zrobię zadowolni mnie samego, ponieważ nie jestem tak bogaty, bym mógł sam moje dzieła nabywać, odstąpię je; jeśli to co w tej chwili tak żywo, pięknie, przedziwnie, fantastycznie przedstawia się mej wy-

braźni, wcielone niedoleżnie nie odpowie pojęciu obrazu... wówczas zrobię ze szkicem, com uczynił już z wielu innymi, spalę go...

Te pół głosem wymawiane wyrazy doszły do uszu dwóch pieszych wędrowców, których ciekawość przybliżyła ku nieznanemu; wysoki, który tak dumnie odpowiedział garbusowi, przysunął się żywo do Włocha, skłonił z poszanowaniem i podał mu rękę.

— Pozwól mi szanowny towarzyszu, abym uściśnęła twą dłoń, rzekł głośno, z obawą czekałem, przyznając się, twej odpowiedzi, drżałem gdyś poczynała... Nie szło mi o jednego człowieka, ale o cześć naszego bóstwa, sztuki! Niestety! tylu ona ma fałszywych kapłanów, którzy w nią nie wierzą i śmieją się jak starożytni augurowie spełniając ofiarę... dzięki ci towarzyszu, żeś profanom, co sądzą, że za złoto wszystko kupić można, odpowiedział godnie artysty...

Włoch uśmiechnął się w milczeniu, kobieta wzrokiem łagodnym zmierzyła dwóch nieznanomych.

— Prześlicznie, rozśmiał się garbus, ale pozwólcie, ponieważ burza ustać nie chce, a my tu jesteśmy jak w więzieniu, trochę się przy tej zrzeczności posprzezać... Co się tyczy godności sztuki, dostojęstwa jej kapłanów, nie mam słowa do powiedzenia... uznaję, poklaskuję... Ale maszże ty być sędzią własnego dzieła? Gdybyś był zarozumiałym i dumnym jak wielu, byłbyś najgorszym sędzią w jednym kierunku; jesteś trudnym dla siebie, skromnym, wymagającym... będziesz więc równie niesprawiedliwym. Omyłki w sądach o dziełach sztuki, nierzadkie w żywotach wszystkich artystów... czytajcie panowie Vasarego... (jeśli możecie), czytajcie historie literatury, wszystkie wiele ich jest... Nie tra-

fiasz się to, że artysta ukocha jak matka najslabsze, najniedołężniejsze ze swych dzieci, a na najlepszem się nie pozna?

— Masz pan słusznosc, rzekł Włoch, ale takie zaślepienie jest wyjątkowem?

— Niekoniecznie, odparł garbus, wyjątkowe raczej jest jasnowidzenie... o tem jeszcze bardzo wiele mówić byśmy mogli.

Anglik z całą rodziną zbliżył się do grupy, która się powoli formowała, pozostał tylko na uboczu pergaminowy człowiek i kobieta osamotniona, rozdzieleni kupką ludzi, ale dziwnie spoglądający na siebie.

— Przepraszam, rzekł Sir Price, nie dosłyszałem o co chodzi?

— Kwestja artystyczna. odparł garbus, uśmiechając się, ten pan... artysta i właśnie malujący wnętrze Campo Santo... jakże się pan nazywa?

— Giovanni Sestini...

— Pan Sestini... prawie przyobiecuje przedsięwziąć obraz... ale w zbytku sumiennosci, nie przyrzeka go panu odstąpić, aż sam osądzi iż z niego będzie zadowolonym...

Anglik nie zrozumiał dobrze.

— Cóż pan ocenia tę pracę? spytał żywo, biorąc pugilares, aby imię artysty w nim zapisać.

— Ta praca dotąd jest w głowie, ani jej rozmiaru, ani wartości, ani czasu, jaki mnie kosztować będzie nie umiem oznaczyć, naturalnie zależy to od tylu warunków.

— Oceńmy więc jak najwyżej... uparcie wtrącił Anglik...

— Doprawdy, nie śmiałybym się obowiązywać, rzekł malarz... pomówimy o tem...

— Tak! dobrze... przewspaniały obraz! nieprawdaż... i nie tylko o jego reprodukcji, ale o wrażeniach tego pamiętnego wieczora godziłoby się pomówić dłużej... los nas tu zgromadził i zaprezentował gwałtem jednym drugim... gdybyśmy dopełnili tego co on rozpoczął i... poszli razem do Hotelu Angielskiego na herbatę, na którą miałym przyjemność panów zaprosić?

Ze strony formalisty Anglika był to wysiłek niesłychany, syn własny go nie poznawał... shocking! wyrwało się z ust jego na pół otwartych... cóż to? ewangeliczna uczta? goście zebrani z ulicy!!

Sir Price upojony widowiskiem, sam widział, że popełnił rzecz śmiałą i niesłychaną, rzecz nawet nieprzyzwoitą, ale sobie obiecywał w duszy, że jutrzejszy dzień zerwie te stosunki, że żadnemu z tych panów na ulicy spotkanemu nie ukłoni się...

Zaproszenie i drugim wydało się dziwne, wszyscy zamilkli; przeczuwszy je pargaminowy człowiek cofnął się o krok, a kobieta odwróciła twarz w inną stronę.

Tymczasem burza wściekła powoli ustawać zaczynała, deszcz lał jeszcze, błyskawice krzyżowały się, pioruny huczały nad głowami, ale czuć było, że największa siła nawałnicy już była gdzieś poszła na bagna około Luki... a stróż postrzegł w stronie morza jasny pas nieba pogodnego, rozszerzający się powoli... dający nadzieję, że za kwandrans może, księżyc w pełni obleje spokojnem swem światłem cichy plac i pole śmierci.

Milczenie wziął Anglik za przyzwolenie, a że mógł rachować, iż nieco dalej stojący pargaminowy mąż nie dosłyszał zaproszenia, posunął się ku niemu powtarzając uprzejmie.

— Wieszże pan, kogo zapraszasz? spytał zimno zagadniony...

— Jak to?

— Uspokoję pana naprzód, że co do osobistej mojej professji, to niema nic zastraszającego... jestem szlachcic i próżniak... ale... jestem znudzony, kwaśny, nie miły... Chceszże octu do swej herbaty?

Sir Price nadto był Anglikiem do szpiku kości, by osobistej swobody człowieka nie umiał poszanować, odezwał się tylko oh! i uśmiechnął; pozostawała owa piękna pani, którą opuścić było prawie uchybieniem, a zaprosić prawie niegrzecznością... Widocznie odwracała się, radaby była uciec, gdyby nie burza, a położenie jej dręczyło ją okrutnie.

Zarysowaliśmy zaledwie tę postać, która budziła ciekawość i pokrywała widocznie głębią pełną tajemnic.

Są ludzie przez których jasną powierzchowność widzisz na wskroś jak przez czyste wody potoku... nic w nich nie ma skrytego, odgadujesz ich jednym wejrzeniem; ale więcej takich, których osłonięta twarz, omglone spojrzenie, zapieczętowane usta... zwiastują grób pełen szczątków, pełen przepaści ciemnych.

Kobieta, o której mowa, należała do tych istot napiętnowanych urokiem tajemniczym...

Czarne jej oczy głęboko zapadłe patrzyły obawą, aby w nich nie wyzrytało życie, czoło osłaniało się,

by ze zmarszczek jego nie odgadnięto przeszłości, usta zdawały zrosłe, tak tuliły słowo i westchnienie.

Była widocznie niegdyś piękna, piękna jeszcze jak wspaniała ruina, którą słońce zachodnim blaskiem ozłaca, ale we wszystkich jej rysach znać było znużenie, złamanie życiem, coś zmęczonego dziwnie i błagającego o spokój i zapomnienie, o przebaczenie i litość, pozorna jej dzikość była widocznie nieśmiałością i trwogą. Wiek jej, jak charakter, jak przeszłość trudno było z twarzy odgadnąć; mogła być prawie młodą, gdyby odżyła szczęściem, wydawała się prawie starą, tak ją zgmiotła boleść. Smutny gorzki uśmiech błędził po sinych wargach, a oczy za zbliżeniem się człowieka zdawały wyskakiwać z powieki, wysadzone strachem do obłąkania prawie dochodzącym.

Strój jej zresztą okazywał dostatek, a wybór sukni dowodził niezmiernego smaku i umiejętności ubrania, która się nie nabywa; jest to cecha wrodzona prawdziwej kobiety.

Domyśliwszy się z krótkiej narady między P. Price i jego żoną, że idzie o zaproszenie tej pani, paragaminowy człowiek z nieznacznym półsmiechem zbliżył się do Anglika.

— Jeżeli się nie mylę, rzekł, idzie państwu o zaproszenie tej nieznanajomej?

— Tego nikt z państwa nie dokaże, dokończył, ale ja jako współziomek podejmuję się posłannictwa.

To mówiąc okrążywszy grupę, powoli począł się zbliżać do niej. Kobieta jakby to przeczuła, ruszyła się zrazu myśląc uciekać, ale przestraszywszy się sama tego pierwszego wrażenia, drżąc pozostała w miejscu...

Oczy jej wyrażały taką obawę, jakby widziała zbliżającego się kata.

Pargaminowy człowiek podszedł grzecznie, ukłonił się i rzekł powoli:

— W imieniu tego pana zapraszam panią na herbatę do hotelu; wiem, dodał z przyciskiem, że mu pani odmówić nie zechcesz.

Słowa zabrakło jej w ustach. głowa pochyliła się na piersi i niby dała znak przyzwalający; człowiek, którego widok sam tak przykre na niej czynił wrażeńie odstąpił natychmiast.

Burza ucichała zwolna... przez kratę wchodową błysnął księżyc i nagle odsłonięte jego oblicze zajrzało we wnętrze cmentarza.

Była to trzecia już zmiana widoku, której Sir Price w uniesieniu nie wiedział jak przyklaskiwać... pochodnie gasły, po namiętnej dzikiej burzy, cisza i grobowy spokój zaglądały do tej pustyni i nadawały jej nową fizjognomję. Rzekłbyś, że za czarodziejskiej laski dotknięciem duchy wywołane płomieniami błyskawic wróciły do swych grobowisk i nieruchomości... cmentarz usypiał, cyprysy nie śmiały szumieć, aby mu nie przerywać spoczynku, na kolumnach galerji ślizgały się sinawe promienie księżycy i zakradały w głąb, niosąc z sobą białe smugi umarłej światłości grobowej na groby...

Może w tej ostatniej szacie śnieżystej księżycy, cmentarz Pizański wyglądał najpiękniej, najwłaściwiej sobie, zdawał się mówić... o wiecznym spoczynku i wiekuistej światłości innego świata.

Wszyscy goście obejrzawszy się raz jeszcze po galerjach, skierowali się ku wyjściu... Szcześnie Ge-

nuęczyk zabiegły, który przeczuł, że po błocie trudno się będzie dostać nad Arno do hotelów, uprzedził panów pod parasolem, i nakłonił weturynów, aby przybyli po swoich patronów... powozy stały na placu... wszyscy się jakoś dobrali do nich.

Włoch malarz z żoną zaproszony przez nieznaną kobietę, która była samą, może dla tego, aby się do niej kto inny nie wprosił, pojechał milczący. W hotelu Anglika zamówiona herbata oczekiwała z całym wykwintem, na jaki zdobyć się mogła gospoda pizańska. Trzy maszyny, jak trzy trójnogi ofiarne z kipiącą wodą i płomienistymi fajerkami... zwiastowały, że herbata może być przynajmniej znośną.

Po Campo Santo widzianem w blasku piorunów, przy pochodniach i po księżycu, po obrazach surowych Orcagna, po posągach Pizanów, po marmurach, które rzeźbiło poetyczne uczucie, wpaść nagle do hotelu nad Arno, przygotowanego na przyjęcie angielskiej rodziny, jest to jakby z niebios i obłoków przez zbrukany komin wcisnąć się do prozaicznej kuchni. Dziwniejszej sprzeczności trudno sobie wystawić, żadna kąpiel lodowata bardziej człowieka ostudzić nie może.

Nie wiem, czy tego doznali wrażenia goście zebrani w jadalnej sali angielskiego hotelu nad Arno, niegdyś pałacu jakiegoś magnata dziś przeistoczonego na najpospolitszą w świecie jadalnię.

W każdej karczmie włoskiej odartej i brudnej, jednej z tych, które się spotykają w Apeninach, z szerokimi wroty wiodącemi do zakopconego wnętrza, ze studeńką pełną kwaśnego wina, z ogromnym kominem i prostemi ławy, byłoby lżej duchowi spocząć, niż

w tej comfortable oberży angielskiej, której ściany nawet przyochlebiać się starały podróżnym.

Był to wszakże salon wcale przyzwoity z wielkim stołem pośrodku, ostawionym wygodnemi krzesłami, na stole paliły się świece (zbytek niesłychany), a oprócz tych machin do herbaty, wszystko czego wieczorem zapragnąć może znużony i ogłodzony podróżny, znajdowało się przyjemnie ustawione na bardzo białych serwetach. Zrobienie nawet herbaty zostawiono paniom, co było wielką grzecznością i uznaniem własnej nieudolności, rzadkiem w hotelach. Szynki, masło, pieczone, miód, deser, owoce, czekały na głodnych...

Kilku służących, którzy powkładali rękawiczki perkalowe i białe krawaty, stali na rozkazy.

Naostatek w pośrodku z kokieterją ustawiony był bukiet, którego jaśminy białe rozlewały woń cudowną, ale przy wieczerzy zbytecznie może przypominającą pomadę...

Po wrażeniach Campo Santo. niejednemu mile się to wydać mogło. Anglik był wesół i uszczęśliwiony... rodzina jego milcząca poważnie, garbus śmiejący się zacierał ręce i jak gastronom ukośne rzucał wejrzenie na talerze... Włoch artysta zdawał się nieco zakłopotany, ale żona jego w światłach salonu wyglądała cudownie; kobiety pierwsze uderzone były jej niezmierną pięknnością... rozpromieniona podobną była do Junony Ludovici. Garbus spoglądał na nią przynajmniej równie łakomie, jak na potrawy zdobiące stół wieczerzy..

Pargaminowy człek wszedł obojętnie, padł na piękne krzesło u ściany i spuściwszy głowę na piersi, spoczywał ziewając szeroko.

Największej zmianie uległa kobieta samotna, którąśmy widzieli przed chwilą przestraszoną i złamaną... przez drogę uczucie jakieś, czy siła woli zupełnie ją przeistoczyła... Weszła z twarzą wesołą, uśmiechniętą, ale ze śmiałością dziecka, które w wielkim strachu nadrabia fantazją, dopóki się nie rozplacze.

Tylko rozpacz takich cudów dokazywać może.

Weszła krokiem śmiałym do sali, jak kobieta przywykła być panią, spojrzeniem królewskim powiodła po przytomnych i dostrzegłszy Włoszkę od której się była usunęła w Campo Santo, żywo zbliżyła się do niej.

— Darujesz mi pani, rzekła uśmiechem wdzięcznym odmłodzona, żem się tak niegrzecznie znalazła tam... ale ja się tak boję piorunów, że w czasie ich jestem prawie nieprzytomna, nawet w drodze jadąc do hotelu. Jeszczem do siebie przyjść nie mogła. Jakaś pani uważała... tu oddecham... czuję, że stąkam po ziemi, że jestem na świecie, żem jeszcze nie umarła i nie pogrzebiona na tym strasznym cmentarzu waszym... który wygląda na więzienie, z którego zdaje się, że duszy ulecieć nawet trudno... ah!

I usiadła przy Włoszce na krześle, zrzucając kapelusz i poprawiając prześliczne czarne swe włosy, które się jakby na umyślnie rozpuściły, aby pokazać, że są długie i piękne...

Ze swego kąta pargaminowy człowiek patrzył i prawie się uśmiechał na tę metamorfozę, gdyby skrzywienie ust ledwie dostrzeżone uśmieszkiem nazwać się mogło.

— O! jakżem zmęczona! zawołała, jakże to piękny był, ale jak przerażający ten cmentarz z pio-

runami przy pochodniach, po księżycu... całe życie chyba śnić mi się będzie.

— Nieprawdaż? przerwał Anglik, było to coś uroczego.

— Tak, wielkiego, uroczystego, ale przerażającego, dodała kobieta, coś jakby sen dławiący... I dla czego my... z różnych świata krańców zbiegli ludzie. koniecznie my i my tylko wyznaczeni byliśmy na świadków tej sceny?

Tak! — rzekła ciszej, ale wyraźnie nic się nie dzieje bez celu, nic bez myśli.. we wszystkim jest fatalizm, prawo, los, przeznaczenie... dla czego my? dla czego cmentarz, dla czego burza i księżyc po niej?

Wstała nagle, spojrziała na siedzącego pargaminowego ziomka i powtórzyła:

— Dla czego my?

— Ja to pani wytłumaczę, rzekł zbliżając się suchy ziewający gość, który się przywłókł do stołu i zajął swe miejsce, naprzód biorąc nóż z nakrycia i zaczynając się nim bawić, jakby pod wrażeniem włoskich obyczajów, o jakiejś coltellacie zamysłał... — mnie się to zdaje bardzo naturalnem...

— A ciekawym? rzekł garbus, który się przysunął z rękami w kieszeniach i ironicznym swym śmiechem.

— Zaraz zaspokoję tę ciekawość, która wedle jezuitów jest grzechem śmiertelnym... Otóż ja naprzód człek wyżyty, nie wierzący w nic, znalazłem się tu, aby wam służyć za wystudziciela i odczarownika... Co tam było osobliwego lub pięknego? Stare mury w kwadrat, okryte malowaniami popsutemi i niewidocznemi, które wyobrażnia mogła sobie karykaturami Gavarniego i Daumier dopełniać... obszarpancy niosący pocho-

dnie, posągi pootłukane i dziwaczne, ni to muzeum ni cmentarz, ni magazyn starożytności trzeciego rzędu... Panu Bogu równie się illuminacja nie udała jak stróżowi, pochodni było za mało i żaden piorun nie uderzył chociaż w cyprysy stojące w pośrodku, co gdyby było się trafiło, mogło być wcale nieszeptnem... Zresztą lichota!! widzicie państwo, że ja to już w zgromadzeniu mam taką rolę, jak w śpiewaczych chórach mniszych turbator chori... Szanowny nasz gospodarz, mówił dalej wskazując Anglika, po to tam był, aby spił kwiat i śmietankę z obrazu, którego tylko zachować chciał stronę poetyczną, oryginalną, osobliwszą... Po co znaleźli się artyści, to jasne i niepotrzebujące tłumaczenia: jedni wyniosą jaką myśl, którą po swojemu wykrzywią, a drudzy zwątpią o sobie... Najtrudniej mi będzie zrozumieć, po co tam byłaś pani? ale i to zdaje mi się nie Edypową zagadką. Widok ten był dla cię orzeźwiająjącym, bo wcale inaczej teraz wyglądasz: odzyskałaś pani humor, śmiałość, zdrowie, czego winszuję...

— A przynajmniej gorączkę, szepnęła kobieta, — to pewna...

— Wszystko się na świecie tłumaczy, rzekł pierwszy, oprócz tego, dla czego herbata jest taka zła we Włoszech... a kobiety tak brudne?

— O! to! przerwał garbus, który widocznie pragnął się popisać z dowcipem... i trochę zazdrościł pierwszemu mowy,—jak może być herbata dobrą tam gdzie jest niepotrzebną? W tutejszym klimacie to trucizna... kobiety zaś są brudne, bo wiedzą, że są tak piękne, iż nawet powalane, do bóstw będą podobne...

Spojrzał na Włoszkę żonę artysty, która rzuciw-

szy nagle rękawiczki, wyciągnęła ku niemu dwie przedudowne rączki białe jak kość słoniowa, wołając:

— Ale to potwarze! my się przecie czasem umywamy!

Wszyscy śmiać się zaczęli, Anglik dał brawo, guwernantka szwajcarka znajdowała tylko całą scenę *d'un gout mediocre*, prawda że w niej nie grała żadnej roli.

Dwaj piesi artyści stali na uboczu, przywykli do wiejskiej oberży, do albergów ubogich, do czarnego kwaśnego wina, sera i chleba, spoglądali na tę ucztę Baltazara okiem naiwnego łakomstwa i niewiary... rozmowa także wydawała się im wyrafinowaną rozpustą...

— Hę! rzekł wysoki, ktoby powiedział, że my do tego stołu zasiądziemy? to chyba sen, patrz, mięso! pieczyste! wino przezroczyste, chleb biały i świeży! i talerze jak zwierciadła czyste?

— Wiesz, odparł ciszej drugi, — wolałbym szklanę kwasu ladajakiego, kromkę czarnego chleba, byleśmy odzyskali swobodę... zabrnęliśmy nie w swój świat... możemy zabłądzić.

— Słuchaj, — rzekł wysoki, — co nam on szkodzi, wszystko trzeba widzieć i wszystkiego spróbować; ponieważ nic nam zeń, bądźmy w nim swobodni i nie dajmy mu sobie imponować. Do góry głowa, jak przystało na wychowañców Muz i Apollina... a z tej arystokracji naśmiejemy się do woli. Nie tchórz proszę... bo nas zadekczą... we Włoszech artysta powinien się czuć królem.

— Ale ba, odrzekł drugi, królowie ci bez butów tu chodzą.

— Cóż? kiedy ciepło w nogi i ziemia mięka! buty są przeżytym przesądem, który obalić potrzeba jak wiele innych.

Wszyscy zaczęli zasiadać około długiego stołu, do którego Anglik zapraszał, z rozmaitemi wrażeniami na twarzy: gospodarz uszczęśliwiony, pani jego sztywna, córka zmęczona, syn zgorszony, guwernantka kwaśna, garbus rozciekawiony i głodny, ubodzy artyści onieśmieleni, piękna pani w gorączce, pargaminowy człowiek mimo chłodu zdając się prawie gniewny, a para kochanków zajęta sobą... Słudzy poczęli roznosić...

— O ile niezwyczajnym, odezwał się garbus, był widok w Campo Santo, o tyle i nasze zebranie u jednego stołu dziwnem mi się wydaje, gdyż wyjąwszy *ta vola r o t o n d a*, przy której gromadzą się nic do siebie nie mówiąc ludzie zjednoczeni głodem i groszem jaki na objad mają, nigdzie się nie spotyka towarzystwa tak urozmaiconego; w dodatku nie możemy pozostać milczący, obcy sobie, sama przyzwoitość wymaga, abysmy usta otworzyli i trochę się zbliżyli, choćbyśmy do tego nie mieli najmniejszej ochoty, przyjęliśmy wezwanie, to obowiązuje...

— Do jakiego stopnia? odparł człek kwaśny; przestregalem gospodarza, dodał, że mu dolać mogę octu do herbaty moim humorem, wolno mi więc przypomnieć tu anegdotkę o Chopinie... którego ktoś zaprosił na objad, a po objedzie zmuszał do grania...—Ja tak mało jadłem! rzekł cicho dowcipny artysta... Więc naprzód do jakiego stopnia obowiązani jesteśmy wywdzięczyć się spowiedzią myśli za herbatę!

Anglicy pobledli na te szyderstwo wymówione chłodno.

— Schocking! mruknął młody syn p. Price.

— A! a! przerwał gospodarz, zostawiam państwu zupełną swobodę, zawołał szybko, nie obowiązując do niczego, prócz do rozgoszczenia się dla nich samych jak najwygodniejszego. Kto chce milczeć, ma najzupełniejsze do tego prawo...

— Nie, zawołał garbus... ja inaczej trzymam, zbliżył nas los nie nadarmo, powinniśmy jedni od drugich czegoś się nauczyć... proponuję jedno, rzekł: abyśmy się zameldowali i zapoznali z pochodzenia i rodu... To nikomu przykrem być nie może...

— Jakto pan wiesz! zapytał pargaminowy, są narody i są rody do których przywiązane są przesady... przeciw którym są zastarzałe wyobrażenia niesłuszne?

— Chociażby! rzekł Anglik... ale my wszyscy nie hołdujemy podobnym przesądom... ja obywatel kraju swobody, nie mam żadnych... miłoby każdemu z nas było wynieść ztąd pamiątkę osób, z którymi podzielał miłe i dziwne wrażenia tego wieczoru...

Służący hotelowy, jakby zrozumiał rozmowę, w tej chwili położył przed gospodarzem ogromny foljał, w którym od lat wielu wpisywali się wszyscy goście... Obok wielu nazwisk stały tu sentencje, zdania, uwagi, wykrzykniki ciekawe...

— Wszyscy się wpiszy z kolei, każdy z kilką słowy... to nas najlepiej zapozna, zawołał garbaty...

— Zgoda, potwierdziło kilka głosów... a potem rozmowa, znajomość pójdą już gładko i łatwo...

Przyniesiono kałamarz i pióra, które pisać znużone nie życzyły już sobie, ale je do tego zmuszono. Anglik pierwszy usiadł wygodnie i wielkimi głoskami rozpoczął, pomyśliwszy chwilę:

Sir August Price Esquire...

Wypadło coś dodać, metodyczny turysta dołożył datę, a poniżej zanotował:

— Dzisiejszy dzień zostanie mi pamiętny widokiem, którego myśl nastreczyła mi się w podróży z Genui... oglądaliśmy Campo Santo przy świetle pochodni... uroczyście i wspaniale wyglądał wiekowy cmentarz w blaskach tych fantastycznych... Niebo samo podjęło się go dopełnić, zsyłając burzę a po niej księżyc... Cztery razy zmieniała się dekoracja i oświetlenie... mrok, pochodnie, błyskawice, światło księżyca urozmaicały je, dusza moja jest przepełnioną... Cudownie!

Po gospodarzu ujęła pióro jego żona, niewiasta metodyczna i rozmyślała, co by dołożyć jej wypadało; badając swe uczucia czuła się tylko bardzo zmęczoną, ale *shocking* było taką rzecz zapisywać, szło jej o jakiś ogólnik przyzwoity, niezbyt wyrazisty a harmonizujący z notatką męża... Męczyło ją to, że oczy były na nią zwrócone, pospiesznie więc wpisała:

— M. Florence Price. Są cuda na ziemi i niebie, o których się ani śniło filozofom naszym.

To przypomnienie Shakspearera, jakkolwiek fraza była wyszarzana i sponiewierana tysiącznem jej używaniem, wywołało przyjemny uśmiech na twarz Sir Augusta, który się ucieszył, że jego żona się tak dobrze wywiązała z zadania.

Kolej przyszła na młodego opozycjonistę Roberta, który nie śmiał wszakże zapisać na wieki swego antagonizmu z ojcem na kartach księgi hotelu, zadumał się, umoczył pióro i grubo, zamaszysto wysmarował:

Robert Price Esq. — „Helas! poor Yorick.“

Ta cytata ze Stern'a miała najgłówniejszą zasa-

dę, że była zupełnie niezrozumiała, dozwalała tylko przypuszczać, że Sir Robert był Yoryckiem i że wrażenia podróży niezupełnie go zaspokajały. Ojciec lekko ruszył ramionami, książka poszła ku panie Marji, od początku żywo naradzającej się z guwernantką szwajcarką nad tem, co miała wpisać w album hotelu.

Nieśmiałą rączką, długą i chudą ujęła pióro panna Marja i pensjonarskim charakterem nakreśliła:

„Marie Price... Jestem bardzo szczęśliwą, dzieląc z rodzicami wrażenia tej cudownej podróży.“

Nie można było dziecinniej i poczciwiej młodej panience wyłamać się z konieczności powiedzenia czegoś i niepowiedzenia nic; w istocie p. Marja w tej chwili czuła tylko lekki ból głowy i zębów, skutek wilgoci, i małą chętkę do snu, następstwo zmęczenia.

Panna Julja Joly, która jako guwernantka musiała górniej wystrzelić, a bała się zbyt śmiałą myśl rzucić, wzięła pióro i pospieszyła po francuzku dodać pod uczennicą:

„Julie Joly... Najwspanialsze widoki zwracają myśl ku ojczyźnie, nie zazdrości się obcym krajom, dziwi i tęskni.

Jak na Szwajcarkę było to wcale dobrze, trochę długo i niezbyt zaokrąglone, ale pośpiech tłumaczył wiele.

Księgę położono przed piękną panią, która zdjęła rękawiczkę, białą dłonią ujęła pióro, spojrzała na pergaminowego człowieka i żywo długimi literami powłóczytymi, napisała po francuzku:

„Hrabina Adela Żywska, z domu księżniczka Mężka... Tu się nieco zatrzymała i dorzuciła po chwili.—Pochodnie pogrzebu, gromy burzy, spokojne księ-

życa światło... cmentarz, i śmiechy, całe życie ludzkie w jednej godzinie. A potem wszystkim? stypa w gospodzie! możnaż co dodać do obrazu, dzięki Amfitrionowi.

Frazes był za długi, chciał mówić za wiele, nie wypowiedział nic prócz ogólnika, ale miał minę pokąźną... Malarz, który wziął książkę potem, przeczytał go i zawahał się trochę, zmuszony coś wpisać także. Wreszcie napisał nazwisko:

„Giovanni Sestini. Italo moja! cmentarzu wielki, jakże cię kochać łatwo... gdy tylu widokami, myślami, pamiątkami mówisz do serca! Niech żyje Italia.“

Wszyscy się dotąd zdobywali na nic nie mówiące ogólniki, jako ludzie przyzwyczajeni, którzy przed publicznością nie rozbierają się do koszuli... towarzyszka p. Sestini, uśmiechnęła się do niego, spojrzała nań czule i drżącą rączką tuż przy nim wpisała:

— „Giulia Sestini. Tutto con te mi piace...“

Było by to niedarowanie pospolite, gdyby w tych kilku słowach piosenki nie wyrażało się głębokie uczucie; skromnie, cicho, nie potrzebując nawet wdzięczyć się przed ludźmi, szepnęła do ucha tylko miłemu, jedno, zawsze jedno. Con te! Towarzysz uścisnął jej rękę... i uśmiechnęli się sobie, tylko sobie.

Z dwóch artystów siedzących za nimi, słuszniejszy wziął księgę do ręki, i podpisał się zamaszysto:

— „Herman Spauer von München, — dodając motto:

— Życie wyraża się w sztuce całe.

Po nim mniejszy zadumał się długo nad białą kar-

ta, ale w końcu drobnym charakterem u spodu wyraźnie i starannie nakreślił:

— „Jacek Przeręba.“

Pomyślawszy nic nie znalazł nad bardzo pospolite: *Ars longa, vita brevis*. Niemiec siedzący przy nim uśmiechnął się z tego komunału i szepnął:

— Jest to stara bajka jak wiele innych... sztuka objawia się człowiekowi jak bóstwo, cała do razu w blasku swym i chwale, jak Bóg Mojżeszowi w ogniu i piorunach... ten co ją po troszeczkę, po kropli chce zebrać, nigdy jej nie zrozumie, nie pojmie, nie ujrzy... Ale daruję ci tę herezję, bo nie wiedzieć, co tu pisać na popis... a myśl jest wstydliva i obnażać się nie lubi, woli się parawanem takim osłonić.

Gdy szeptali, książka już poszła była dalej... pozostawali garbus, który pióro gryzł, bo chciał siarczyстым dowcipem wystrzelić i pargaminowy człowiek, który poziewał.

Garbus napisał swe nazwisko: *Vicomte Anatole de la Meilleraie*... i stanął. Nadto był dobrym sędzią, żeby się lada czem mógł zadowolić, a doświadczał w tej chwili tego, co wielu bardzo ludzi, że na zawołanie dowcip przychodzi leniwo...

— Najczęściej tak bywa, że gdy się zbierze dziecięciu rozumnych ludzi, jedenastu między nimi znajdzie się głupich, w skutek cudownej siły stworzenia.

Obejrzał się po przytomnych odsunawszy księgę, a pargaminowy włożywszy szkiełka na nos, niewyraźnie nabazgrał:

„Hrabia Zygmunt Żywski... — Życie jest potrawą, którą każdy przyprawia do swojego smaku: pieprzem, solą, octem, lub cukrem, a wszyscy po niej ma-

ją wargi spalone. Na tę z gagę nie ma doktora... myślę się, jest jeden, śmierć...“

Książka zaczęła krążyć z rąk do rąk...

— Ale mi się zdaje, rzekł garbus Vice hrabia, iż państwo nosicie jedno nazwisko? Jeżeli dobrze umiałem wyczytać?

Wszystkich oczy zwróciły się na panią Adele i pargaminowego człowieka, milczano.

— Popeliłem może niedyskrecję, spytał garbaty... ale te imiona polskie, wszystkie są do siebie podobne... Karr powiada, że dosyć jest coś złamać i dodać ski, aby razwisko Polaka utworzyć...

— Europa też dosyć nałamała historję naszą i pojęcia o nas, przerwał p. Jacek Przeręba; do swoich wyobrażeń dodając tylko ski, pisała całe nasze dzieje, wedle recepty pana Karr... i powstała z tego znakomita łamanina...

Skutkiem podobieństwa nazwisk, jednoplemienności pana hrabiego i pani hrabinej polskiej, którzy oboje zdawali się unikać, choć ich nazwiska zbliżały, oczy gości ciągle się na tę tajemniczą parę zwracały.

— A pan jakich jesteś Przerębów? spytał żółty hr. Żywski artystę po polsku.

— Jakto? jakich? niedobrze zrozumiałem! odparł mały malarz.

— Jakiego herbu? dodał hrabia...

— Ja? jestem tych Przerębów, którzy żadnego herbu nie mieli i nie mają, rzekł obojętnie malarz, z tych Przerębów, którzy rąbiąc drwa podobno dostali imienia, pracując w kacie żyli i umarli... tych Przerębów, którzy z herbami wcale się nie znają...

— A! rzekł pargaminowy, a to pięknie bardzo wszystko być sobie winnym.

— Chcąc czy niechcąc, odpowiedział malarz, każdy tak samo wszystko jest winien sobie, mości hrabio... talent, szczęście, dołę, truciznę którą w piersi nosi... Majątek jest środkiem, imię narzędziem, których też potrzeba umieć użyć...

Pargaminowy zagryzł wargi, kobieta niegdys piękna spojrziała na artystę z wyraźną jakąś wdzięcznością zadaną śmiałą imiennikowi odpowiedź.

— Ale, przerwał Vicomte de la Meilleraie... przewracając karty albumu... sądziliśmy zapisując te imiona nasze i myśli, że to na coś posłuży, do zawiązania rozmowy, tym czasem żadnego do niej wątku... a już ciż godziłoby się raz w życiu u jednego stołu losami do jednej szynki przypędzonym ustom, ozwać ku sobie tem szczerzej, im nieodwołalniej jutro każdy z nas pójdzie swą drogą aż do drugiego spotkania na Józe-fatowej dolinie. A że na owej dolinie, dosyć, mówiąc między nami, ciasnej, wątpię, żebyśmy się mieli czas przywitać i przypomnieć sobie... jest to więc wśród ogromnej wieczności jedyne spotkanie... Czemużbyśmy szczerzy być nie mieli aż do... aż do zuchwalstwa? jakby to było pięknie... Zamiast krochmalnych kilkunastu osób dobrze wychowanych, ujrzeć ludzi żywych, szczerych i zapominających na chwilę o gorsecie konwencjonalności, który ich uciska...?

Jesteśmy już karnawałowe maski, czemu by z przywileju masek nie korzystać? Sir Price sprawił nam jedyne w swoim rodzaju widowisko, sprawmy sobie jedyne w swoim rodzaju wieczór... ludzki .. Zapo-

mnijmy żeśmy obcy, bądźmy z sobą jak na Józefatowej dolinie...

Część angielskiej familji i P. Julja Joly. która może miała powody obawiania się. na tę propozycję niesłychaną zrobiła wielkie oczy... a P. Herman Spauer z München przerwał.

— Ale są, zdaje mi się ludzie między nami, których to nic kosztować nie może dla tego, że do światła... tego co wy zowiecie światem, nie należą...

Mógłbym wam wypowiedzieć się z życia i myśli moich, jak dawni chrześcianie, publicznie.

— A! a! rzekł garbus, to panu honor czyni! znać życie czyste...

— Nie może, ale wielką miłość prawdy; nie wstydę się słabości moich, bo czuję siłę, która za nie płaci... zresztą artystą jestem i przywykłym do ofiary osobistości.

— Jakto pan rozumiesz? zapytała hrabina Żywiska.

— Artysta, który żyje w sobie i dla siebie, nie jest godzien tego nazwiska... rzekł Spauer... On jest niczem, dzieła jego są wszystkim; całego ducha, co ma najbardziej Boskiego w piersi w nie wlać powinien... to co stworzy będzie nim, on sam narzędziem, przez które natchnienie i myśl Boża przejdzie w te utwory. Dla tego często wielki mistrz nie odpowie wyobrażeniu, jakie sobie pospolicie o nim czynią! szukają oni w nim tego czego już w nim nie ma, co przelał w dzieło... i dziwią się gdy zobaczą suchą łupinę... Ziarno już arcydziełem rozkwitło... Dodam, że ci co zalotnie chcą się przedstawić jako wielcy ludzie i wszystko dla siebie chowają co im Bóg dał, nigdy nic znakomitego nie tworzą...

— Teorja osobliwsza, przerwał Sir Price, paradoks. ale nie bez pewnej podpory... może znowu pan go bierziesz za zbyt absolutną prawdę, gdy w nim jest tylko cząstka jakaś...

— Ja to tak rozumiem, odparł Spauer... niech każdy z braci artystów powie, czy nie czuje, że ci co grają wielkich mistrzów i ludzi, nigdy dzieli swojemi wyobrażeniami jakie z osobistości ich powzięćby można o nich... nie odpowiadają.

— Tak, przerwał Sestini, ale bracie w sztuce.. zapomnieliście o jednym, to, że artysta który tworzy nie zuboża się, ale bogaci... Jest w tem tajemnica niepojęta... Przychodzi myśl... wcielasz ją... wlałeś w nią duszę twoją, stanął utwór rąk i ducha twojego przed tobą... jest w nim więcej nad to coś ty tam włożył, ono tam spłynęło niewiedzieć z kąd i jak... Od dzieła twego promienie zwracają się ku tobie, ono cię oświeca, ono cię podnosi... uczysz się od tego dziecka trudów twych i potu... Jesteś pełniejszym, gdysy myślał, żeś się wyczerpał...

— Drogi paradoks... uśmiechając się rzekł Anglik...

— Jabym je pogodził, dodał garbus... Artysta wedle obu tych teorji jest to rodzaj konduktora elektryczności, który im więcej sprowadza iskier i wciąga prądów, tem w ściślejszy wchodzi stosunek z niebiosami... A niebiosa znalazłszy drogę do przelewania się na ziemię. obracają swe siły tym szosowanym gościńcem...

Artyści uśmiechnęli się.

Na twarzy hrabiny rozmowa widocznie wywołała młodość i rumieniec, oczy jej błyskały ogniem coraz żywszym; w oczach odświeżała się jak owa róża Jery-

chońska, która potrzebuje trochę wody, aby zakwitła, gdy ją już za uschłą wyrzucić myślą... stawała się tak cudnie piękną, że młodsza od niej i przedziwnych rysów Włoszka, pani Sestini, gasła przy blasku tej twarzy; Julja była szczęśliwą i spokojną a spokój i szczęście mieszcza się w duszy i nie wychodzą świecić na wierzch, gdy burze duszy całe piorunują oczyma i ustami. Dla tego może fizjognomia hrabinej, która cierpiała i usiłowała walczyć z jakimś nieznanem cierpieniem, tak majestatycznie była rozpromienioną. Sestini patrzył przypominając sobie Sybillę Dominikina i najcudniejsze utwory włoskich mistrzów... Przed chwilą w Campo-Santo, była to ruina, teraz kwiat wspaniały, kobieta w pełni życia namiętności i rozbolenia.

Oczy pargaminowego człowieka wlepione w nią były z dziwnym wyrazem wzgardy, gniewu zarazem i wyrzutu. Ale w źrenicach jego obumarłych iskry tego ognia przelatowały i gasły... zdawało się, jakby jakaś siła wewnętrzna tamowała je i nie dawała im wybuchnąć...

Garbus, który widział z pociechą rozmowę wychodzącą nieco z ram powszednich, był jak parobczak przy kominie podsycający ognisko.

— Zły kierunek bierze rozmowa, rzekł, bo choć wszyscy objeżdżający Włochy mniej więcej duszą jesteśmy artyści lub tym rodzajem hybrydów, których zowią dyletantami, lepiejby wejść na zadania bardziej ludzkie.

— Odwołuję się do tego, com w księdze wpisał, rzekł Spauer; życie wyraża się całe w sztuce...

— Tak, ale sztuka nie wyraża całego życia... zawo-

łał pargaminowy po długiem milczeniu. Bierze ona z żywota ludzkiego śmietankę, okrawa co jest najsmaczniejszego, postępuje jak dzieci, które chodzą około stołu zastawionego ciastkami i szczypią z nich rodzenki i cykatę...

— Przepraszam! ozwał się Sestini milczący dotąd... Sztuka prawdziwie dobrze pojęta jest sturamienną, ale my całej nie obejmujemy wejrzeniem, który z nas ma jakiś w niej dział ulubiony, który zowie sztuką par excellence i część bierze za całość! Czegoż nie obejmie sztuka...

— A! nędzy żywota... rzekł hrabia, łachmańców tych ona nie śmie dotknąć, aby się o nie nie powalała... rzuca je, aby gnily przy drodze... sztuka jak elegantka brzydzi się tem co cuchnie, co jest ostre, co poczwarne, a życie nie składa się przecie z samych woni i piękniadeł... Tam nawet. gdzie jak w tragedji greckiej, dobywa się do środka boleści i żywo serce zakrwawione wyrwa z piersi człowieka, musi je wprzód w pachnącym spirytusie zamarynować, nim z niem wystąpi... W sztuce nie ma prawdy!

— Jest najwyższa, podchwycił Spauer gorąco... ale sztuki zadaniem jest życie... w zgniliźnie moralnej i materjalnej nie ma życia! dla tego sztuka je odrzuca, omija... uszlachetnia, upięknia. gdy ich dotknąć jest zmuszona. One zresztą stanowią kraniec jej sfery, ona się o nie opiera w biegu rozpędzona, ale po nich bujać nie może.

— Kto waćpanu powiedział, porywczozawołał pargaminowy hrabia, że zgnilizna życia nie ma? Ma ona je, ale inne, ale niedojrzane oczom waszym... Ty ją nazywasz kresem i skrajnym wyrazem, ona jest pierw-

szym bełkotem nowego języka... wrotami nowego świata... Spójrzij przez mikroskop na zepsute serce człowieka i ser przegniły... zobaczysz tam światy...

— Światy dla nauki.. kolebkę żywota.. nie przeczę, rzekł artysta... ale sztuki zadaniem, życie w pełni, a nie Embryon bezkształtny...

— Dla czegoś powiedziałaś pan i napisałaś, rzekł cicho garbus z uśmiechem złośliwym, że sztuka całe życie wyraża? Wszystko jest życiem... śmierć sama jest życiem nowem... w nowej formie...

— I stoję przy swoim. mówił Spauer...

— A! jacy oni nudni! cicho szepnęła skrywając ziewanie panna Julja Joly, możemy się wysliznąć, nie spostrzegą...

Nie wszyscy wszakże równie nudną uznawali tę rozmowę, tak surowie osądzoną przez Szwajcarkę; kółko się coraz ściszało, a na twarzach malowało się żywe zajęcie temi zadaniem, które obchodzą gorąco wybrańsze dusze.

— Tak jest, tak jest, nieśmiało dorzucił Przeręba, powiedziałbym, że sztuka ma pewne momenta życia, w których się szczególnie rozmiłowuje, do których powraca chętniej, ale nie wyrzeka się ona niczego... Co sto lat, co pół wieku zjawia się geniusz, który nowe dla niej państwa zdobywa; przychodzą koloniści i obsiadają ją; to co zna ogół ze sztuki nie jest nią całą, obszary które zajmuje niezmiernie, a nie wszystko jeszcze co podbić może i powinna, podbiła... te światy zgnilizny, te formy tające się swą drobnotą przed oczyma, jutro mogą być pochwycone przez nią, jeżeli dziś jeszcze nie są...

Spauer ścisnął rękę Przeręby.

— Tak, dodał, dopowiedział on wybornie myśl moją... Skarżą się miałkie umysły, że wszystko już wyczerpane, że naśladownictwo tylko pozostało nam, cośmy przyszedli za późno, że geniusz ludzkości zleniwiał: ale skargi to są tych, co dalej za skorupę tego co jest nie przejrżeli... Mamy ogromne lasy dziewicze do zdobycia... Dam jeden przykład: w starożytności krajobraz był prawie nieznanym, jest on nową zdobyczą.

— Ale sztuka się poniewiera stając naśladownicą, rzekł garbaty.

— Tam gdzie ona tylko naśladuje, a nie tworzy, nie jest sztuką, jest sztuczką, odparł Spauer... Sztuka zdobywa formy a wlewa w nie myśl swoją, pełniejszą, potrzebne one są jej jak ciało... ale nic nie znaczą bez ducha...

Hrabina Żywka tem uważniej zdawała się zajęta rozmową. im goręcej śledziły ją oczy pargaminowej mumji. Pomimo żywego przedmiotem opanowania, przytomni przeczuwając jakiś dramat między temi dwoma istotami, śledzić je nie przestawali... Garbus nie spuszczał ich z oka... Sir Price lubował się tą biesiadą, nie dla wartości tego co się tam mówiło może, ale dla tego, że ona stanowiła uwieńczenie tego cudownego, wieczora i przypadała doń wybornie. Pani Florence dzieliła rozradowanie męża... a młodzieniec nawet powoli przekonywając się, że traf nienadto pospolitych ludzi do koła tego stołu zgromadził, godził się z nimi i z myślą ojcowską. Jak wszyscy Angliacy młody dziedzic imienia Pric'ów szanował inteligencję i uznawał jej wartość w życiu. Któż wie, może ogniście czarne oczy hrabinej, które powoli wszystkich oczarowywały i jego dumę złamały... Milcząca ale co-

raz żywiej jaśniejąca jakimś ogniem wewnętrznym, Adela czuć sama musiała wrażenie, które czyniła. Artysty, garbus, Anglicy, Sestini i jego żona, zdawali się mówić tylko dla niej, ją brać za sędziego, a choć się prawie nie odzywała, czytali w jej oczach jak wielki udział duszą całą brała w rozmowie, odgadywali sąd jej o sobie... Urok tej kobiety z każdą chwilą stawał się większy, choć nic go nie tłumaczyło... działał tajemniczo jak wypity napój odurzający, oczy jej ciągnęły... krępowały, królowały. Tylko pargaminowy człowiek uśmiechał się wzgardliwie widząc ten tryumf, który zdawał się go powoli do gniewu pobudzać. Urągająco, wyzywająco patrzył na nią... choć ona unikała tego wzroku, który usiłował ją ostudzić, upokorzyć i złamać.

Garbus rozumiał teraz, że dwie te postacie walczące z sobą w milczeniu, ani obce sobie, ani obojętne być nie mogły; paliła go ciekawość, myślał jakby ją wywieść na scenę i zmusić do wydania się... mimowolnego.

Mumja mówiła milcząc, uśmiechem szatańskim:

— Czegóż się zwracacie, jako obalamucone księżycem słoneczniki, ku tej istocie, której cały blask jest fałszem, chwilą zalotności zimnym popisem...

Ja ją znam do głębi.. jasność ta nie ogrzewa choć olśni... nie jest to ogień życia, jest to światło gnijącego próchna... Głupcy! głupcy! całą tajemnicą jej próżność... świeci dla was, ale w piersi jej zimno i pusto!...

Są chwile życia, w których myśl ludzka tak tryska oczyma, tak oblewa czoło. tak wybitnie się uwypatnia ruchami, postawą, że jej wypowiedzieć nie trze-

ba, czytają wszyscy jak w otwartej księdze w człowieku. Na czole hrabiego i Adeli równie jasno pisała się ona... Garbaty rozumiał, co tamte ogniste mówiły oczy.

— Nie wierzcie szatanowi... chciałby mnie pochwycić z sobą w przepaście, ale jam jest duchem swobodnym, porwanym ku niebu... drze szatę moją, a nie pociągnie mnie z sobą w otchłanie... Z walki tej ja wyjdę zwycięsko... W oczach moich świeci niebo, w jego wzroku śmieje się urągowiskiem piekło, wszystkiemu co ziemia ma niebieskiego...

Hrabia Zygmunt widocznie w tej niemej walce coraz bardziej czuł, że nie potrafi zwyciężyć, spuścił oczy na stół, podparł się ręką, zadumał... a ile razy źrenice jego przyćmiły się, wzrok hrabiny jaśniał goręcej i żywiej. Milcząca odważyła się w końcu zabrać głos, a harmonijny dźwięk jego, był nowym urokiem.

W głosie tym osobliwszego rodzaju nie było już wiosennej słodyczy, ale jakby ogromnej burzy przebrzmiałej dźwięczały echa... i burza wszakże ma harmonję swoją.

— Panowie, rzekła, cudną jest rzeczą sztuka, ale jako wyraz życia jest tylko nową formą jego, nie dla wszystkich dostępną... mówmy lepiej o tem, z czego ona powstaje, o życiu samem i jego niedoścignionych zagadkach... Stanie nam to na dłuższą biesiadę, niż Dekameronowe anegdotki... a mamy prawo rozrywać się, jak owi Florency tchórze co się obawiali moru... bo i nasz wiek pełen jest zaraz i śmierci i oczu od nich odwrócić się nie godzi, aby trochę nabrać siły, na cierpienie, które całą ściga ludzkość...

— Mówić o życiu, a o sztuce, to jedno, rzekł Sesti-

ni, prawdy artysty są inaczej tylko może wypowiedzianymi prawdami filozofa...

— To prawda, zagadnęła kobieta, więc dotknięte już zadanie obróćmy inaczej... Sztuka powiedzieliśmy brzydzi się pewnymi strefami zgnilizny, fermentacji tajemniczych, bezkształtnych gnojowisk życia... gra w nich siła zniszczenia... Cóż to jest to złe, to zniszczenie, ten Ahriman ziemi? ta noc duszy, te duchy szatanów, które nam psują harmonję życia? Po co to istnieje i na co nas boli?...

Choć nie patrzyła na mumję, choć oczy hrabiego wlepione były w stół, wszyscy spostrzegli jak drgnął, jak się wstrząsł... Przed chwilą możeby nie było jej komu poprzeć, teraz już miała we wszystkich sprzymierzeńców i obrońców...

— Pani zadajesz pytanie, rzekł nagle zwracając się hrabia. nad którym pracowały wieki... jest to owa Sfinksowa zagadka, która Edypom pokruszyła zęby na granitowym swym grzbiecie... Ale... ta noc, to zniszczenie, to złe naprzód jak ono wygląda? czy anioły czasem ze złocistymi skrzydłami nie bywają przebranami szatany?

Odpowiedź była przezroczyście złą i gniewną... ale hrabina uśmiechnęła się na nią, a Spauer przerwał zaraz pytanie, i odrzekł gorąco:

— Znów kwestja sztuki, rzekł, tak dalece prawdą jest, że życie a sztuka to jedno... Zaczepiliście państwo o wielkie zadanie filozofji i estetyki, o znaczeniu formy samej... Nie, mój panie, anioły są aniołami. a djabeł choć przyczepi skrzydła, to je chyba od nietoperza pożyczywszy.

Forma i ciało nie są wcale rzeczy obojętne i bez

znaczenia. mimo największej usilności, nikt ich sobie nie daje dowolnie. Natura ducha wyraża się doskonale w cielesnej jego powłoce... Ciało nie jest antagonizmem psychy, ale jej uosobnieniem... Nic na świecie nie może być przypadkowym, ani obojętnym; człowiek nosi na twarzy całe swe życie i skryć go nie może... robak, drzewo, kwiat nawet nie łudzą, chyba tych co łudzonymi być pragną...

— I trucizna nie może być wonną i słodką? spytał hrabia...

— Gdy ją ręka ludzka przyprawi; gdy ją tworzy Bóg, wie dla czego i dla kogo; wonną ją czyni dla tych, co się nią struć powinni, odrażającą tym, co od niej uciekać muszą...

— Mój panie, rzekł śmiejąc się Żywski, wyznajesz więc, że Bóg truje pewne istoty...

— Gdybym ja tego nie przyznał, życie by całe świadczyło, że tak jest, śmierć potrzebną jest, konieczną, i to co zabija istnieć też musi.

Piorun pada, gruchoce jedną istotę, ale ogień jego ożywia całą otaczającą naturę... trzeba umieć zastosować do praw ogólnych i nie wyłamywać dumą z podprzeznaczenia ofiary...

— Zaszłście panowie w manowce, przerwał garbus uśmiechając się... możemy po nich błądzić wieki... a nie trafić do cichej gospody, której każdy pragnie.

— Tak, to prawda, niema nic niebezpieczniejszego nad ogólniki, zawołał Anglik... zejdźmy do praktyczniejszych kwestji...

Wszyscy zamilkli... ale niemy dramat wejrzeń ciągnął się dalej. Śledzili się oczyma... czytali w so-

bie... Pomimo spóźnionej pory nikt oprócz Szwajcarki z jej uczennicą nie myślał odchodzić.

Garbus pierwszy po długim przestanku usta otworzył.

— Niedość, żeśmy bardzo przyjemnie część wieczora. a może i część nocy spędzili... rzekł... godziłoby się, aby na pamiątkę choć oprócz gołych tych nazwisk wpisanych w księdze, zostały nam po sobie jakieś ślady... Czy godzi się rzucić propozycję... aby czyja wola, powiedział dokąd i po co się udaje?

— Podstępnie pan postępujesz... rzekł Anglik, który coś notował w swej agendce podróźnej... jam to dawno chciał zacnemu towarzystwu zaproponować? Drugi raz w życiu się nie zejdziemy... moglibyśmy wzajemnie sobie ofiarować nie oklepiane fotografie naszych fizjognomji, ale maluczkie biografie własne...

— A! domagasz się pan rzeczy niesłychanej, rzekł garbus.. Któż o sobie powie prawdę nieznanym?

— Nieznanym właśnie mówi się lżej prawda... nie mamy interesu kłamać, rzekł Spauer z kolei.

— A interes miłości własnej? podmruknęła muma...

— Trochę w tem prawdy... podchycił Vice-hrabia... Na ulicy wszyscy się chcą pięknymi wydać, do ulicy stroją się w najlepsze suknie, różują i bielą... w domu chodzi się brudno...

— Ale i na ulicy oko badacza pod bielidłem odkryje marszczki i zżółkłe lice... kto trochę żył, tem kłamstwem się nie złudzi i czyta z niego prawdę, choć zacyfrowaną starannie...

— Więc z pozwoleniem poetyzowania, gdybyśmy

sobie udzielili nieco biograficznych wiadomostek? wniósł garbaty.

Wszyscy milczeli.

— Ja pierwszy dam przykład jako gospodarz, rzekł Sir Price uśmiechając się, — kto zechce pójdzie za mną, ale każdy jest swobodnym uczynić wedle woli.

— Tylko naturalnie, szepnął garbus, kto zamilczy lub uciecze, dozwoli nam się domyślać, że w życiu jego są rzeczy potrzebujące utajenia.

Tej złośliwej uwagi połowa towarzystwa zdawała się nie słyszeć, ale nikt się nie usunął, i owszem gubernantka P. Joly z panną Marją powróciły do sali, znalazłszy pokój sypialny jeszcze nie gotowym na ich przyjęcie. Piękna hrabina głęboko zapadła w swój fotel zwracając oczy na Anglika, który tak mówił począł:

— Panowie, nic mniej ciekawego nad żywot człowieka, mojego stanu w Anglii... formę jego gotową znajdziecie wszędzie, wyjść z niej nie pozwalają obyczaje nasze i praktyczność. Doświadczyliśmy, że nam tak dobrze i trzymamy się drogi ubitej, z której rzadko nas namiętności i szczególne wypadki sprowadzają. Ojciec mój Sir Archibald Price z Price-Court w Lancashire zrobił znaczny majątek w przedsiębiorstwach przemysłowych, ja odebrawszy wychowanie staranne, poszedłem jego śladami... powiększyłem go jeszcze... Jestem żonaty jak widzicie i ojciec familji... Życie płynęło mi i płynie strumieniem jednostajnego cichego, spokojnego szczęścia... którego znaczną część winienem Florence mojej, tu ścisnął jej rękę, a ona spuściła oczy skromnie.

Ale ponieważ nikt być nie może bez wady, przy-

znają się wam do mojej... im regularniejsze życie więdziemy przez część roku w Londynie, a drugą połowę w Brighton i Price-Court, tem chciwszy jestem nadzwyczajności w wykradzionych tej monotoni szczęśliwej godzinach... Podróżuję szukając wrażeń... byłem już trzy razy na Wezuwjuszu, zawsze na nieszczęście po wybuchu, i gdyby wybuch był do kupienia, byłbym się dawno on z Włochami potargował; jeździłem na Girandolę do Rzymu, na regaty do Wenecji, szukałem burzy na morzu i zamieci w stepach sybirskich... tak jak w Pizie zachciało mi się illuminować Campo Santo a giorno... Oto jest moja słabość, mój grzech, moja śmieszność jeśli chcecie. Ale gdy w życiu człowieka braknie nadzwyczajności, musi ich po troszę szukać za niem. Mogę panów zapewnić, że dzisiejszy dzień i noc, którą uprzejmem zaproszenia mojego przyjęciem uczciłicie, nigdy z pamięci mej nie wyjdą...

Skłonił się grzecznie.

— Bardzo zręcznie zbył nas ogólnikiem, rzekł garbus... ale nie wypada nalegać na tego, który daje herbatę, aby do niej jeszcze sporo biografji dokładał.

Pani Price odezwała się po cichu, przymrużając oczy z minką pretensjonalną.

— Mimo najżywszej chęci powiedzenia coś o sobie... trudno, bym co zajmującego znalazła; życie moje tak się zespoliło z życiem Sir Augusta, a pobraliśmy się tak młodo, iż próżnobyśmy coś własnego znaleźć chciała. Myśli, uczucia, przygody, wszystko nam było wspólne, zdaje mi się, że wady nawet, dodała z uśmiechem; wyznam chyba to, że umiając czuć jak on przyjemności podróży... wolałabym może ciszę domową, gdyby ją wolał Sir August... Bardzom z dzisiejszego dnia szczęśliwa... bardzo, panowie i panie...

To znaczyło, nic wam nie powiem... Garbus się skłonił i szepnął:

— Chwała Bogu, obawiałem się spowiedzi tej... byłaby to kropla essencji w wiadrze wody... wołę szklanekę wody czystej.

Obejrzawszy się do koła, młody dziedzic imienia Priców chciał się widać jak najprędzej zbyć wcale nieprzyjemnego popisu z wrażeniami jeszcze niedożytej młodości, i rzekł dosyć cicho:

— Prawdziwie byłoby śmiesznie, gdybym opowiadać chciał państwu życie, które zaczynam dopiero; są w niem zaledwie zarody przyszłości, nic skończonego, a wiadomo artystom i miłośnikom sztuki, że dzieło nie powinno być sądzone dopóki mistrz doń ostatniej nie przyłoży ręki... tym mistrzem jest czas... za lat trzydzieści, zapraszam panów do Pizy, do tego samego hotelu na rocznicę dnia tego... będę szczerzym i więcej spodziewam się mieć do powiedzenia...

Panna Marja, która stała przy bracie odezwała się co do ducha:

— Jestem zdania preopinanta... i milczę.

Panna Julja Joly chciała się wysunąć, ale ją gwałtem wstrzymano prawie.

Była to osoba z powołania przywykła do niezmiernej przyzwoitości, i spowiedź dla niej była *d'un gout mediocre*, rzeczą przerażającą, niemożliwą, okropną. Ale wszyscy dla zabawy, począwszy od Sir Price zaczęli mocno nalegać na nią, aż w końcu biedne dziewczę dostało mocnych kolorów i postradało cierpliwość.

— Panowie, odezwała się Szwajcarka z pewną dumą, która ją uczyniła poważną, jeżeli wyobrażacie so-

bie, że godzi się i wolno istotę słabą i w położeniu chwilowo podrzędnem nękać bezkarnie, czynicie rzecz nieprzyzwoitą i omyłkę popełniacie wielką! wicie bardzo dobrze, iż miałabym wiele może do powiedzenia... rzeczy, które niemiło by wam słuchać było, czujecie, że ich wyrzec nie mogę, bawicie się z okrucieństwem biedną guwernantką... to się nie godzi. Jeżeli kiedy napiszę pamiętniki moje, obiecuję każdemu z was przysłać ich po jednym egzemplarzu... dziś, aby się nie pokazać dziką, powiem wam, że jestem córką ubogich, bardzo ubogich rodziców, że matka moja dziś jeszcze sprzedaje owoce przy moście Rousseau w Genewie, że się nią chlubię tak jak ona mną... Uczyłam się na pensji, dawałam lekcje, winnam wykształcenie sobie. Z życia wzięłam tylko prozę i tę część, która żywi ciało i podnosi umysł, broniłam się od uczuć, nie znam ich, więc sądzę, że niebylibyście wcale ciekawymi historji serca, które kochało tylko matkę i brata... nie wstydzę się niczego, nie mam co tajić, ale wyobrażeń jakie powzięłam o świecie i o ludziach nie mam do wyrzucenia przed nieznanymi... jest to łup i zdobycz lat krótkich, przeżytych spokojnie.

Skłoniła się i oblawszy tą zimną wodą przytomnych odeszła ze swą uczennicą.

— Przysięgnęłbym, że jest protestantką i wyznawcą surowej nauki Kalwina, szepnął garbus... Sucha jak zapalka... a jednak jak większa część zapalek — zgaszona na wieki... będzie mądry kto ją rozplómi...!

Szeptano do koła.

— Panie Spauer, zawołał Vice-hrabia de la Meilleraie — na pana kolej, ale pan się tu nam nie wykreścisz jak drudzy, wymagamy po nim obszernego stu-

djum... artysta. . powiedz nam, choćby swój żywot artysty...

— Powiem wam wszystko co chcecie, odparł Spauer, ale jest jedna rzecz śmieszna, której koniecznie potrzebować będę, abym mógł powoli wam się spowiadać... Wiecie, że nieśmiertelny Kant potrzebował mówiąc patrzeć na jakiś guzik błyszczący jednego ze swych słuchaczy, ja... nie mogę mówić... bez dymu i piwa.

— Piwo się znajdzie, choćby angielskie, rzekł Anglik... i spodziewam się, że nie uczyni wstydu starej wesołej Anglii, ale dym...

Spojrzano na damy... noc prześliczna księżycowa oblewała blaskiem srebrzystym spokojnie płynące pod oknami Arno...

— Otwórzcie państwo okna, zawołała hrabina... I zapalcie cygara...

Artystom wszystkim zabłysły oczy... a pargaminowy nawet człowiek sięgnął po pugilares do kieszeni. Anglicy tylko w imię oryginalności tej sceny zgodzili się milczeniem... dla nich było to wielką ofiarą, bo cygaro... cygaro przy kobietach w Anglii... Schockingly Schocking...

— Z góry przepraszam państwa, rzekł zasiadłszy nad kuflem piwa Spauer, jeśli powiem wam co nieprzyjemnego... Są tu ludzie między nami, należący do wyższych sfer towarzystwa; niech mi darują, że ich zbyt szanuję, abym przed nimi nie miał wypowiedzieć co myślę...

Dosyć jest spojrzeć na historję umysłową przyszłych wieków i dzisiejszego, aby dostrzedz ogromnej różnicy jaka zachodzi w ludziach, co się niegdy odzna-

czali, a co dziś przychodzą do imienia, do sławy, do talentu...

Dawniej po większej części uczeni, artyści nawet, rośli na pniach wielkich rodzin, możnych domów, dziś coraz mniej arystokracji krwi w arystokracji geniuszów... najwięcej biedaczków na tronie... Przepraszam jeszcze raz hrabiów i Vice-hrabiów, ale jeśli dawniej byli plemieniem wybranem, dziś już niem być przestali... I my ludzie z ludu jesteśmy przypuszczeni do uczyty ludzkości... zdobywamy nasze miejsca za stołem w pocie czoła i boleści...

Z tego wstępu już się dorozumieć łatwo, że nie pochodzę z książęcej rodziny, że ojciec mój był i jest prostym pracowitym chłopem, że nim nauczyłem się lepić z gliny, wyrzynałem z drzewa główki do lalek...

Ojciec mój zapracowanych rąk i opalonej twarzy, wiele myślał i nie mając nauki, ma potężne władze, rozwinięte myśleniem samoistnem... Gdy ujrzał we mnie cień jakiegoś talentu i porywanie się zawczesne do tworzenia, rzekł mi raz surowo :

— Słuchaj Herman, ty myślisz o sztuce... nie o rzemieśle spodziewam się? Inna więc jest droga aby zostać artystą, nie ta którą sobie obierasz... Stań się naprzód sztukmistrzem w duchu, idź się uczyć, nie zaniedbuj rąk, ale nie sądź aby ręczna wprawa więcej ci co dała nad rzemieślniczą biegłość. Do szkoły! do akademji! a gdy wykształcisz w sobie człowieka, staniessię artystą, jak zechcesz... bądź nim wewnątrz naprzód... ucz się, myśl, czytaj...

Miał stary wielką słusność: rzeźbiąc byłbym doszedł co najwięcej do misternego rzeźniania poręczy do krzesel, ucząc się mam nadzieję być godnym imie-

nia artysty... Nie zapuszczam rąk, ale piastuję ducha naprzód w sobie...

Udałem się pieszo z węzełkiem na plecach do München, ujrzałem tam dzieła sztuki w całym blasku i majestacie, padłem na twarz przed nimi, poczułem się prochem... a z tego prochu wstaję powoli i mozolnie...

Lżej zaprawdę było pierwszym artystom co przyszli na świat na najżyźniejsze zagony, my jesteśmy jak owi co po zajęciu kraju przybywają ostatni i najchudsze zajmują ziemi kawałki... użyźnić je potrzeba potem czoła... Co najpilniejszego było już stworzono, już wypowiedziano świetnie, potężnie... silnie...

Ale po arcydziełach Michała Anioła w Sykstyynie, czyż jeszcze Sąd ostateczny nie jest do wyjaśnienia na nowo... inaczej? Czy po Rafaelu mistrzu spokojnego wdzięku, nie ma do wymarzenia nowej Madonny?... Oba ich wielbiąc nie trzeba tylko naśladować... ale zapomnieć i z siebie dobyć nowe widzenie...

W nawale mierności pokaźnych i cudownie wielkich a zapomnianych tworców, przebić się, zwrócić na siebie uwagę, ściągnąć sąd i krytykę... trudno jest dzisiaj, powołanie artysty wielkie, zadanie straszliwe... tem lepiej... Ochotniej się idzie na stromą skałę...

Nie wszystkim jednak chce się na nią drapać, i to nieszczęście naszej braci... nie jeden przebiegłszy muzea, przepatrywszy wiele, zrozpaczy o sobie i stanie się... rzemieślnikiem... W tem zguba nasza...

Nie grzeszy kto sztukaterję robi od łokcia dla la-dajakich architektów, ale winien kto ją robi bez myśli, bez ducha, dla tego że są zapłacone tanio, że jak powiada... mozoł jego nie wróciłby mu się... Dla mi-

łości sztuki wszystko co się tknie z ukochaniem robić się powinno... i to co za trzy grosze robimy w niedostatku i to co za milion tworzym doszedłszy do sławy i wziętości.

Nie jeden zaniedbując się w pracach dla chleba powszedniego, gdy zapragnie później pracować dla sławy, nie znajdzie w sobie ducha, którego sam zasuszył, zacisnął, sam udusił własnymi rękami...

Ale to są nasze tajemnice i sprawy, dodał...

Radbym państwu czemś tę gawędę zabarwić, a doprawdy mi trudno, jestem więcej artystą niż człowiekiem... Westchnął i rzekł ciszej:

— W mem życiu jest tylko jedno wspomnienie, podzielę się niem z wami.. nie śmieście się z niego proszę, bo by mnie to bolało.

Gdym pierwszy raz samoistnie pracować począł, wszystkiego mi brakło, miejsca, materiału, wzoru... Wielką oszczędnością dobiłem się przecie do najęcia najgorszego studjum w całym mieście, ale i to dla mnie było dobrem, bom się nauczył nie wymyślać...

Miałem wszystko już... ale myśl, ten gość z nieba... idea nie przychodziła, a potrzeba było wystąpić z oryginalną pracą, aby otrzymać choć mały zasiłek na ową podróż do Włoch, która dla rzeźbiarza zwłaszcza jest koniecznością... Kto nie widział muzeum Piolementino i bronzów w Neapolu, nie wie jeszcze czem była rzeźba w świecie klasycznym... brak mu jednego zmysłu... jemu muzea europejskie nie starczą za te dwa... one dają przecucie, te tylko dają wiedzę przebieżonej drogi... wszystkiego co uczynione już było... i czego świętokradzko powtarzać nie wolno.

Męczyłem się okrutnie szukając pomysłu do pra-

cy... chodziłem całe dni szarpiąc mózg na próżno... Myśli było tysiące, wszystkie zużyte, spowszedniałe, oklepane, chciałem coś oryginalnego, nie wiedząc jeszcze niestety, że cała może oryginalność geniuszu jest w formie... liczba idei bardzo jest ograniczoną.

Wychudłem i wybladłem na tem polowaniu za ideą... włóczyłem się w ostatku myśląc, że idea gdzieś strzeli do mnie od jakiegoś przedmiotu i rozbudzi śpiącą w mózgownicy siostrę...

Był to dzień jesieni ale złocisty i prześliczny, a jak na słotną i wilgotną Bawarję naszą, ciepły i miły... chodziłem daleko po za miastem nad rzeką, zaszedłem na łąkę pokoszoną... pasły się na niej najprozaiczniej w świecie krowy... na kamieniu siedziało dziecko bose, ledwie przyodziane, w szarej koszuli, ale z głową całą przybraną w polne kwiatki jesieni...

Nagle rzucając wzrokiem roztargnionym, wstrzymany zostałem i przykuty przypatrując się tej istocie niedorosłej jeszcze, przechodzącej z dzieciństwa do weselszych, bujniejszych dni młodości. Dziewczę to mimo swego opuszczenia, ubóstwa i pastuszej doli, było najdziwniej piękne nieopisanem wdziękiem, w którym łączyły się dwa uroki: niewinność dzieciństwa i namietność nieśmiało rozkwitających dni wiosny... jako rzeźbiarz naprzód oko zwróciłem na kształty... zdumiałem się ich doskonałością... była w nich przez sam wiek ów nadana niby archaiczna jakaś suchość, ale zarazem czystość linji i prostota niewysłowiona.

Typ naówczas ten zdał mi się nowym zupełnie, nie wiedziałem, że sztuka starożytna i nowoczesna już się o niego rozbijały.

Zapaliłem się do mojej idei, do ubóstwianego

w marmurze tej doby ludzkiego życia, która jeszcze nie jest całkiem młodością, a przestała być już dzieciństwem... W myśli ujrzałem w niej Ewę, Ewę pierwszej chwili niewinności w raju, taką jaką wyszła z rąk Bożych, prototyp niewiasty...

Dzika pastuszką widząc, że się w nią zapamiętałe wpatruję, rozśmiała się zrazu, wody strumienia musiały jej już powiedzieć, że była piękną, potem odwróciła głowę i pochmurniała. A była w tym wianku kwiatów z tą ubogą koszulką swą, bosemi nożętami i rączkami cudownie wdzięczną... ale nie patrzył w tej chwili jak na żywą istotę, tylko jak na posąg, do którego za wzór mi służyć miała...

Cały przejęty myślą moją, powoli, obojętnie zbliżyłem się do niej, pies strażnik, który u nóg jej leżał, poczciwe wierne zwierzę, pokazał mi zęby, zawarczał, dziewczę go pogłaskało i rozśmiało się... a głowę odwróciło odemnie... Nie sposób było z tem dzieckiem przyjść do rozmowy, udawała że nie słyszy. Gdybym był studentem uganiającym się wprost za wrażeniami miłostek wieśniaczych, mógłbym pójść precz, ale miłość sztuki nie dopuściła mi zrazić się. Podobnego typu nie znalazłbym łatwo. Znałem wszystkie modele w pracowniach, żaden nie miał tej świeżości form, tej czystości i prostoty linii, które życie proste i praca ciężka nadały temu cudownemu dziewczęciu.

Mimo szczekania psa i odwracań głowy na wszystkie strony, przybliżyłem się do niej, a głos mój spokojny, wcale nie namiętny i wyrazy proste, nareszcie wywołały niewyraźną jakąś odpowiedź.

— Jak się zowiecie dziewczeczko? spytałem..

— Gretchen, odpowiedziała. Faust Goethego i jego utwór pełen cudownego wdzięku przyszedł mi na pamięć, ale mój typ tak był inny, że się aż pogniewałem za to przypomnienie mimowolne, bojąc się by mi jedna idea nie pożarła drugiej.

— Widzę, moje dziecko, dodałem po chwili, że się mnie boisz, wcale niepotrzebnie, jestem artysta... patrzę na ciebie, bo mi się wydajesz piękną... ale bez złej myśli...

Pokręciła głową, rumieniąc się niedowierzająco, musiano ją przestrzedz zawczasu... aby się wystrzegła młodzieży.

— Daleko mieszkacie? spytałem...

Wskazała mi palcem niepokazany domek za miastem.

— Ot tam, rzekła u wdowy Halm.

— Jesteś jej córką? — Ruszyła ramionami i potrząsała głową.

— A rodzice twoi?

— Nie mam rodziców, rzekła z westchnieniem, jestem sierota... nie paślałabym bydła na błoniu, gdybym nie była sama jedna na świecie...

Piękne jej niebieskie oczęta zapełniły się łzami...

Stałem opodal napawając się widokiem mojego arcydzieła przyszłego, dziewczę pochwyliło różeczkę i poszło powoli ku zagrodzie, pies z nią, ja za nią. Postanowiłem dostać się do wdowy Halm i pomówić z nią, czyby mi dziewczę nie mogło za wzór do posągu posłużyć.

Wdowa Halm była otyłą kobietą, zasapaną, niepokojną i podejrzliwą, zbyła mnie zrazu hałasem jak

ostatniego łajdaka, ale gdym cierpliwie przetrwał burzę pierwszą, poczęła mnie słuchać uważniej.

Po godzinnej jednak argumentacji zamknęła drzwi pod nosem, odprawując przekleństwem wcale niemilem. Odszedłem niezrażony ważąc w głowie jakich środków użyć na dostanie za wzór Ewy, która w tej chwili właśnie doła krowę w zamkniętym dziedzińcu.

Powróciłem do miasta w gorączce... Szczęściem dla mnie poczciwa moja gospodyni, która mnie dobrze знаła jako człowieka surowych obyczajów, podjęła się negocjacji z wdową Halm i dziewczęciem... Skutkiem jej zabiegów dziewczę zgodziło się stać mi na wzór do mojego posągu, pod dozorem starej kobiety, dobranej za stróża... czego za złe mieć nie mogłem.. Stałem do roboty z gorączką jeszcze, która czasem tworzy arcydzieła, ale najczęściej przeszkadza do opanowania zupełnego przedmiotu. W gorączce należy marzyć, ale chłodno wykonywać... choć często i przeciwny proces się trafia.

Myśl moja mózg mi paliła, wyrosła ona tak w mojej wyobraźni nim Gretchen wytargowano dla mnie, że gdy wzór nadszedł wydał mi się mizernym, karykaturą prawie, i ideał go prześcignął, choć na jego tle tworzył.. Zląkłem się, ochłonałem, począłem pracować... Gretchen ośmieliła się powoli, poznaliśmy się bliżej... Niewykształcona ta istota... obdarowana była z natury równie cudownie na umyśle jak na ciele... nie wiem może starzejąc pod ciężarem lat i powszednich trosk byłaby wyszła na bardzo pospolitą niewiastę, ale w tej chwili było to dziewczę zadziwiające... W głowie jej zarosłej krzakami niewiadomości, przesądów, ze środka tych chwastów strzelały kwiaty jasne i promienne...

Zadziwiająco czuła instynktowo sztukę... rozeznawała piękne od miernego, olbrzymie od przesadzonego, odgadywała myśl utworów i wyrażała ją po prostu, dziko ale nadzwyczaj trafnie...

Zdawało mi się, że z bogacić ten umysł było koniecznym obowiązkiem... namówiłem ją, żeby zaczęła chodzić do szkoły i zapłaciłem za nią...

Gretchen stała się moją wychowanicą, w rok poznać jej nie było można... niestety! dojrzewała jak te owoce, które przed latem opaść mają z gałęzi...

Moja Ewa odlana z gipsu, na wystawie zyskała wielki medal złoty, mogę się do tego przyznać bez chluby, że istotnie utworzył typ świeży i piękny... alem go był winien tej dzikiej pastuszcze... Nie zepsułem wzoru zbyt znacznie go starając się wywdzięczyć, wyokrąglić, wycackać, zostawiłem tam trochę jego surowości pastuszej i to właśnie posążkowi nadało charakter co go odznaczał, był to ideał wszczepiony na płonce rzeczywistości.

Gretchen przychodziła teraz bez obawy jak dobra siostra do brata i nazywała mnie bratem, umysł jej, zarówno i ciało szybko, zbyt szybko się rozwijały... W pół roku nieco lepszego bytu, przy pracy innej lżejszej, harmonia sił inaczej się w niej układać zaczęła... wyrosła i stała się dziewczęciem, straciła wiele pierwszego wdzięku ale nabyła nowego... Potem nagle oczy jej wpadły, oddech się stał ciężki, rumieńce wyskoczyły na twarzyczkę... smutek ją ogarnął, prawie zniechęcenie do życia... Napróżno starałem się tę rozkołysaną duszyczkę i serce ukoić, zażegnać w niej burzę... Gretchen uśmiechała mi się... ale nie było z nią dobrze... Wywdzięczając mi się za braterskie zajęcie wychowa-

niem jej, którego wartość czuła, podjęła się mojego gospodarstwa... Sama mi zaproponowała potem abym z niej modelował jeszcze... zrobiłem w rok Hebę prześliczną... ale niestety! tyle jest Heb prześlicznych! moja będąc piękną jak mój wzór, niezwróciła uwagi, była pospolitą...

Nie była nią wcale Gretchen, inny artysta stworzyłby z niej może typ nowy zachwycający, mnie, przyznaję się ręka drżała. Serce przywiązało się do tej biednej, opuszczonej sierotki... do tego smutnego dziewczęcia a zaczynałem się ze wszech miar obawiać o nią... naprzód, żeby nie wpadła w chorobę piersiową do której zdawała się mieć skłonność, powtóre by w tej chwili niebezpiecznej tęsknicy dziewiczej nie pokochała, nie dała się obalamucić lada melancholicznej piosnce jakiego bursza jasnowłosego... ale gdym ją oto badał, uśmiechnęła się z pogardą.

— Pamiętasz mówiła mi... gdyśmy się po raz pierwszy spotkali z sobą, jak pies i ja warczałam na ciebie... odtąd bracie miły, nie zmieniła się ani zmniejszyła moja obawa ludzi i niedowiarstwo... bądź spokojny...

Dziwny był nasz stosunek z sobą, przywiązałem się do niej gorąco ale chyba po bratersku, szanowałem ją jak powierzone mi dziecko, a strzegłem zazdrośnie. Widziałem, że była mi wdzięczną, ale nieokazywała mi nigdy czulszego uczucia. była zemną tak chłodną, tak spokojną, tak uśmiechniętą, że wcaleśmy nie byli podobni do dwojga kochanków, choć nas o to posądzano.

Gretchen, gdy ją te wieści dochodziły, marszczyła brwi i ruszała ramionami jakby obrażona. Zachwyceni coraz żywiej rozwijająca się jej pięknnością, rze-

źbiarze, profesorowie akademji, wiedząc, że mi za wzór służyła, starali się ją namówić, aby pozwoliła się modelować... odmówiła prawie z gniewem. Warunki były bardzo korzystne, niechciała o nich słuchać nawet. Czas zbywający od nauki obracała na małe robótki, z których przy pomocy mojej utrzymywała się ubogo, oszczędnie bardzo, ale zaręczając mi że jej jest bardzo dobrze. Najęła sobie w tym domu w którym stałem izdebkę na poddaszu i urządziła tak, że z nędznego kątku, stała się prawie wesołem gniazdkiem.

Rzadko kiedy tam zachodziłem, unikając plotek o które ona niedbała, ale mi one były przykre. Rano zbiegała ze swych wschodków jak ptaszyna do mej pracowni aby w niej zrobić porządek... co często nie było łatwem. Dopomagała jej stara Hausfrau, obie robiły dla mnie kawę, którą często pijaliśmy razem z nią i ze staruszką, potem z koszyczkiem w ręku szła do szkoły, a wieczór po dniu pracy, gdy nie było nikogo, o szarym mroku szczebiotanie jej rozpromieniło mi parę godzin, którebym smutno przepędził na rozmyślaniu lub w bawarji. Rozmowy nasze były jakby głośnem myśleniem, w którym nieraz umysł jej podziwiał mi przyszło.

Mimo, że mi jej właściwie, rzec mogę, nie kochał, lub kochał raczej sam o tem niewiedząc, miłością czystą i spokojną, było nam z nią dobrze jak w niebie i te dni mojego życia zawsze mi świecić będą, jak gwiazda mojego poranku niezmazanej czystości.

Gretchen smutniała wszakże, wiedła widocznie, musiałem potajemnie sprowadzić doktora, który nic niepowiedział stanowczego, nie nastraszył bardzo, ale przepisał różne leki dla biednego ciała, nie wiedziałem, nie mogłem się domysleć, że serce było chore.

I jednego wieczora kaszlnęła w chusteczkę, chowając przedemną pierwszą krew ze zranionej już piersi...

W parę miesięcy potem leżała w ubogim łóżeczku uśmiechając się do wiosny, marząc o zdrowiu, gdy dni jej już były policzone.

A potem miała jakby nagłe przecucie śmierci przedwczesnej i powiedziała mi gdzie był grób jej rodziców, na cmentarzu za miastem, abym ją tam, przy nich pochować kazał.

— Nie żałuję życia. szepnęła mi ostatniego wieczora, tak mi było na świecie dobrze, pójdę ze świata nie skosztowawszy jego goryczy. Starzejąc człowiek się psuje, dziwacznieje, usycha, życie robi się chłodne i niesmaczne... a tak... A! było mi tak dobrze... Ale mi żal ciebie bracie Hermanie, tobie trochę, trochę będzie może po mnie tęskno... ty pożalujesz siostry, dla której byłeś tak dobrym bratem. Zarzuciła mi ręce na szyję i na czole uczułem gorący jej pocałunek, był on dla mnie niemem objawieniem uczucia, które się i w mojej obudziło piersi. Łzy mi się rzuciły z oczów, serce rozdarło... nie mówiliśmy więcej, dusze się rozumiały, ale nazajutrz jej duch uleciał, a skrzepłe zwłoki biednej dziewczki pochowaliśmy całe kwiatami okryte, w ubogiej trumience, przy grobie rodziców u których nóg spoczywać chciała. Była ich godną, czystą i świętą.

Spauer westchnął, otarł oczy i poszedł powoli do okna.

Długie milczenie panowało w sali, opis ten przejął wszystkich, poszanowano boleść z jaką ten człowiek dobył go z piersi, nikt się odezwać nie śmiał.

— Prześliczna sielanka, rzekł Vice-hrabia. — Ludwik Richter by ją wyillustrować potrafił cudownie, ale czas ubiega. kto z państwa łaskaw...?

— Noc późna! zawołała mumja.

— Przesiedziemy noc, odpowiedział Sestini, któż by z nas snu żałował, gdy żyć może i w nowe dla siebie wędrować światy?

Pargaminowy ruszył ramio nami tylko, a Spauer rzekł:

— Darujcie mi państwo, że weselszej bajki nie miałem. kłamać bym nie potrafił aby zbyt rażącego po mojej powieści nie było kontrastu. kolego malarzu ty mów.

Jacek Przeręba zarumienił się mocno, ale nie wymawiał, spuścił oczy zbierając myśli.

— Po synu pracowitego wieśniaka, syn rzemieślnika kolej właściwa, ale smutno mi, że nie wiele z życia mojego dla was wydobyć potrafię.

Zacząłem naturalnie od rysowania człowieczków na klasowych zeszytach i karykatur panów profesorów, powołanie objawiło się gwałtownie choć nic go nie obudzało w naszym domu. Ojciec mój jest ślusarzem, a ślusarstwo dzisiaj nie ma żadnego ze sztuką związku, choć dawniej go miało. Wszystkie te piękne wyroby z żelaza zastąpiły dziś pospolite odlewy. Ojciec, człek zacny ale prosty, matka najlepsza z matek, nie mogli pojąć nawet aby się dziecko czuło pociągniętem gwałtowniej do jednej pracy jakiejś i do niej zdolniejszym, miałem więc wiele do przecierpienia, nim zezwoli na to abym ze szkoły wyszedłszy kształcił się na malarza. W kraju naszym nie wiele też znalazłem po tem środków. Pomnę wielkiego jednego pa-

na, najgodniejszego człowieka, którego opiece mnie polecono, bo rodzice byli ubodzy bardzo, a który mi na wstępie powiedział: kraj ubogi, artystów mamy aż do zbytku, sztuka u nas nie jest jeszcze potrzebą, trudno by wyżyć potrafiła. Zrazu nie wchodziłem głęboko w znaczenie tych wyrazów, dziś widzę jak fałszywe niosły z sobą pojęcie. Nie ma tak ubogiego kraju któryby powołany czując się do sztuki, na podtrzymywanie jej nie starczył, bo sztuka nie jest rzeczą zbytkowną, jest objawem pewnego usposobienia w narodzie, którego zapierać nie godzi się. Może być brak chleba, a jednak pójdą ludzie malować gdy im duch każe być artystami.

Obok pojęć tak surowych jak owego magnata któremu wymienił, objawiała się w kraju z innego źródła pochodząca niechęć ku sztukom: w chwili kwaśnego usposobienia podobało się świetnemu paradoksalnemu pisarzowi rzucić na nie klątwę, jako na środki wycieńczające, niweczające naród i odbierające mu energię. Przypomnienie Platona i potrzeba popisu z myślą której objawienie mogło być sympatyczne przez formę w jakiej na świat wychodziła, natchnęły pisarza, była chwila, że wielu istotnie uwierzyło temu dziwactwu człowieka, któremu szło nie tyle o rzecz, jak o oryginalność pomysłu i popis za świetną elokubrację! Właśnie w tym czasie tak u nas nieprzyjaznym sztukom i sztuce przyszło mi się wyrabiać na artystę o własnych siłach. Przyznać też muszę, że jaśniej dziś widząc horyzonty, które sztuka roztacza w pierwszych dniach życia, szedłem ku nim raczej instynktowo niż z wiedzą pełną o ich obszarze, jak Kolumb płynąłem do Ameryki szukając Indij. Serce mi mó-

wiło, tam cel twojego życia... ale mi się dopiero później stopniowo miał rozjaśnić.

Nie byłem tak szczęśliwy jak towarzysz mój Hermann, by mi ktoś od razu jasno powiedział, podnoś duszę a ręka jej będzie posłuszną, pracowałem nad ręką, prawie nie myśląc o duszy. Ale i tą drogą trudniejszą, mozolniejszą, dojść można do czegoś, ręka u mnie rozwijała powolnie ducha. Powtarzając nieudolnie utwory cudze, myślałem nad tem jak one stworzone być mogły i trafiłem na drogę, począłem się uczyć, czytać, a wielkie pragnienie zostania artystą zrobiło ze mnie tak ubogiego wędrowca, który dziś idzie o kiju szukać piękna, aby niem duszę napoić.

Jestem na drodze, nie doszedłem do celu, nie wam nie powiem o sobie, panowie i panie, to co bym mógł powiedzieć nie da się zamknąć w kilku słowach, a historia walki z ubóstwem i nieświadomością jest nadto straszną, i nadto maluczką, abyście słuchać chcieli. Historia natchnienia o głodzie! wzbudziła by w was litość tylko, lub obrzydzenie... więc dosyć.

Są zresztą rzeczy, dodał Przeręba ciszej, których wywieszać się nie godzi przed oczyma profanów... obudziły by śmiech choć zrodziły łzy krwawe.

Nikt nie śmiał nalegać na ubogiego chłopaka, który z dumą obwinał się milczeniem i spuścił głowę na piersi.

— Panie Sestini, rzekł garbus, ponieważ jesteśmy w świecie sztuki, na pana kolej lub na piękną towarzyszkę jego.

— To wszystko jedno, przerwała Julia, nasza historia od dzieciństwa jest wspólną, krótką i mało zajmu-

jąca... są to dzieje ludzi szczęśliwych a ludzie i narody szczęśliwe nie mają historii, jak wiecie.

— Ale jeśli tak jedni pod pozorem szczęścia, drudzy pod pozorem niedoli, będziemy się wyłamywali, w końcu zamilkniem wszyscy, rzekł żywo Vicomte de Meilleraie...

— Ja, odpowiedział Sestini, wcale się nie wymawiam, z góry tylko Julja i ja przeprosić musimy, że ubodzy w wypadki zajmującego nic wam nie przyniesiemy. Kto z panów jechał na Chiavari?

— My, odparł Anglik gospodarz.

— To nasze miejsce rodzinne. kończył malarz... a biednemu pejzażyście w śliczniejszem położeniu urodzić się było trudno. Nad temi brzegami Śródziemnego morza biegając swobodny od Genui do Pizy chłopcikiem jeszcze, przepoiłem się widokami morza, gór, niebios i włoskiej naszej natury. Nieraz w dzieciństwie siadałem gdzie na skale nad cichą zatoką i całemi dniami wlepiąłem oczy w zmieniające się panorama, na którem grały światła coraz różne, coraz dziwniejsze, myślałem tylko o tem jakby tę żywą naturę, to morze ruchawe pochwyć z całą myślą, którą Bóg w jego oblicze włożył. Kto zna ten kraju włoskiego kawałek, ten uoczy, cichy, śliczny, bogaty w różne obrazy, pojmie jaka rozpacz ogarniała mnie na widok cudów, których utworzenie zdawało mi się przechodzić siły ludzkie. We Włoszech sztuka jest we krwi pokoleń, w tradycji wieków, mimo nieszczęść jakim kraj ulegał, żył zaś nią zawsze więcej może niż innemi żywioły... W chwili najgorętszych wojen domowych wielcy mistrzowie leli posągi, budowniczo wie wznosili świątynie i pałace, sztuka nie stawała na dro-

dze żywotowi politycznemu, podpieraa go przynosząc jednym ogniem więcej do wszystkich ogni jakimi gorzała Italja, utrzymywała w niej życie, a gdy się ono inaczej jak przez nią objawiać nie mogło, świadczyła, żeśmy nie umarli. Później może da się chyba ocenić rola wielka sztuki w odrodzeniu narodu, wszystko co szlachetniejszego w nim istniało, lało się tym strumieniem użyźniającym, nigdyśmy nie mieli Potterów i Teniersów bo spokoju nie znaleźmy, a malarze dziejowi i religijni, nawet portrety stare tradycją wielkich idei uwieczniali. Nie zmiękły Włochy uprawiając sztukę. Ale po cóż nam mówić dłużej o tem?

Małym chłopięciem rozkochałem się w naturze: ojciec mój był właścicielem kilku rybackich większych statków, czas swój spędzał na wyprawach morskich, matka gospodarzyła spoglądając na sine wody po których on pływał, jam się z jej tęskniami oczyma po morzu błąkać nauczył, pierwsze nasionka sztuki rozsiane są po całej ziemi naszej, łatwo tu zażądać zostać artystą, dzieła nawet najpospolitsze noszą na sobie piętno wielkich tradycji. Ale mnie dusza ciągnęła ku temu właśnie rodzajowi który najmniej był uprawiany...

Szukałem napróżno obrazów morza i natury, te które spotykałem były niedołęźnemi ogólnikami, dzieckiem jeszcze wpadałem do Muzeum w Pizie. do kościołów. nigdzie tego o czem marzyłem znaleźć nie mogłem. A zdawało mi się, że morze, skały, niebiosy tak dobrze mówią o Bogu i człowieku, jak posągi, jak twarze... jak dziejowe wielkie obrazy, zdawało mi się iż bez natury pojąć całkowicie niepodobna jej mieszkanie i króla. Zarazem z Juliją napawaliśmy się widokiem fali, ruchu morza i niemych skał o które roz-

bijały się bałwany pieniące. Ona była pierwszą powiernicą moich myśli i nie śmiała się ze mnie, gdy zapragnął schwycić niepochwycone... życie w naturze. To zachcenie gorące rozbiło się o pierwsze próby nie-doleżne. Ołówek mój chwycił rysy, ale martwo je powtarzał. poczułem, że bez barw niema krajobrazu.

Męczyłem się długo, szukając wzorów i niemo-gąc ich znaleźć. Muzea pełne były ludzi, natury nie było nigdzie, opuściła ją sztuka lekceważąc lub rozpaczając by jej potęgę wielkość i życie opanować potrafiła. Dniem dla mnie pamiętnym będzie ten, w którym u brzegu morza około Genui spotkałem się z podróżnym średniego wieku niosącym z sobą pudełko malarskie; przecuciem poszedłem za jego śladami, uczepiłem się go natrętnie, ofiarowałem mu się ulżyć ciężaru. Szukał widocznie miejsca na krajobraz, znalazł go i w moich oczach przygotowawszy kawał kartonu naszkicował cudownie owe morze i brzegi, których odtworzenie dotąd zdawało mi się niepodobieństwem, ten maleńki obrazek był dla mnie objawieniem. W zapale, zachwycie pobiegłem za nim do Specji ciągle się przypatrując, starając podchwycić tajemnicę. Był to zacy artysta, który ani się śmiał z mojego nieuctwa, ani gardził chłopięciem, jemu winienem pierwsze pojęcie trudności mojego zawodu.

Walczyłem z niemi mozolnie, walczę jeszcze... Mógłbym tu powtórzyć co tak dobrze wyraził towarzysz mój w sztuce, który mnie poprzedził z zajmującą powieścią o swem życiu, nie rękę ale ducha kształcić potrzeba przedewszystkiem. Umiałem już dobrze przekopiować krajobraz, alem go stworzyć nie potrafił jeszcze, do tego potrzeba było znać wszystko co

wchodzi do wielkiego wizerunku natury: powietrze, światło, siły przyrody, processa życia, tajemnicę świata Bożego. Nie zastąpi tu nauki nawet geniusz.

Ta historja mojego kształcenia się jest dla was za jednostajną, a była by dużo za długą, gdybym ją chciał opowiadać ze szczegółami. Dzieje mojego serca są całe w niej.

Tu wskazał na prześliczną Włoszkę spoglądającą nań z uczuciem serdecznego przywiązania.

— Proste to dzieje,—razem bawiliśmy się kamyczkami nad brzegiem morza, zbierali kwiatki na górach, razem rośliśmy i miłość rosła z nami, byliśmy jeszcze dziećmi gdy nas już zwano mężem i żoną. Nikt się naszej wzajemnej nie sprzeciwiał skłonności, a gdy wybiła godzina, żem mógł na chleb dla dwojga zapracować, poszliśmy do ołtarza wzięwszy się za ręce. Żadna burza nie zaćmiła lazurowego nieba naszej doli, i da Bóg, że przejdziemy wyznaczoną nam drogę spokojnie i cicho do końca.

Gdy to mówił Sestini, mumja siedząca naprzeciw wlepiła weń oczy dzikim jakimś zaczynające pałać ogniem, na twarzy tej wyschłej odmałował się wyraz zazdrości i szyderstwa. Nagle usta hrabiego skrzywiły się uśmiechem, zatrzęsły wargi i przerwał głosem drżącym, malarzowi.

— Naiwny młodzieńcze, żal mi cię prawdziwie! Jako? wyobrażasz sobie, żeś wyjątkową istotą? że możesz być szczęśliwym gdyś całe swe szczęście powierzył sercu niewieściemu? Jako? sądzisz, że ta co cię dziś kocha tak czule, nie zdradzi cię z nudów, z ciekawości, przez zemstę! przez dziwactwo! przez niespokój i gorączkę! Ha! ha! zabawną jesteś i wy-

jątkową istotą!.. Więc uszedłszy burzy przez młodość nie przerażasz się tem, żeś był szczęśliwym? i zdaje ci się, że przeszłość jest rękojmnią przyszłości?

Słyszając ten syczący głos Kassandry, małżonkowie przytulili się do siebie z przerażeniem, oczy pięknej Julji zaszyły łzami, patrzyła na złowrogięgo proroka z gniewem namiętym, zdawała się szukać noża aby go nim pchnąć i zmusić do milczenia. Mimo-wolnie serce jej obejmowała boleść nieznaną i przestraszającą. Sestini był spokojny, ścisnął jej dłoń, a gdy gwałtowny wybuch hrabiego skończył się śmiechem, rzekł łagodnie i powoli:

— Mój panie, daleki jestem od tego bym się miał za wyjątkową istotę, godną szczególnej łaski losu, przeczuwam, że ten los może mi zatruć godziny przyszłe, że będę miał do zniesienia nieszczęście... boleści, ałem uzbrojony na wszystko, czuję się człowiekiem i wiem do czego człowiek jest obowiązany w obec doli i niedoli. Wiem i to także, iż w przeznaczeniach każdego los ma udział, ale nie mniejszy sama dłoń własna człowieka. Jeśli pan tak czarno spoglądasz na życie, lituję się nad nim, bo pewnie wzrok sam sobie przyćmiłeś na blaski. Julja będzie mnie kochać dopóki będę godnym jej miłości, nic się nie dzieje bez przyczyny, serce nie tak jest nielogiczne jak utrzymują.

Kobieta siedząca w fotelu w czasie tego krótkiego przemówienia się artysty z hrabią, powstała, wychyliła się, słuchała z natężoną uwagą, a gdy Sestini skończył, przyklasnęła mu uśmiechem, wzrok jej ukosem padł na mumję i uderzył ją jak pchnięcie sztyletu.

— Na miłość Bożą, zawołał Vice-hrabia w chwili
Na cmentarzu, na wulkanie. T. I.

gdy zamilkli, panowie klóćcie się, nie może nic być w świecie bardziej zajmującego nad podobną klótnię... prosimy! prosimy!

Ale pargaminowy człowiek zakąsiwszy usta, siedział już niemy, a Sestini musiał przerażoną prorocstwem żonę jak dziecię kołysać i ośmielać... płakała. Na te łzy hrabia co je wycisnął, patrzył z jakąś dziką przyjemnością.

Milczenie lekkim przerywane ziewaniem trwało chwilę.

— Ażeby ożywić rozmowę, rzekł garbus, ofiaruję się sam państwu... jako holokaust za winy tych ichmościów co ją tak niefortunnie przyprawili łzami. Pozostaje nas troje tylko... wypadaloby, żebym ustąpił pierwszeństwa pani, dodał skłaniając się przed hrabiną, czy pani sobie tego życzysz?

— O! nie! nie! mogę opowiedzieć moją historję kiedy się panom podoba! to mi wszystko jedno! teraz, potem, kiedykolwiek... ale ponieważ wy Vice-hrabio macie zapewne weselsze zwierzenia niż moje, wypadaloby aby po łzach... trochę nas odżywił uśmiech... więc mówcie proszę.

— Jestem gotów do jak najszczerzych zwierzeń, rzekł garbus, tylko zlitujcie się państwo nie przedstawiajcie sobie z góry, że was zabawię, abym się wam nie wydał nudnym!!... Historja moja nie jest wesołą, a ja także udaję tylko może uśmiech, aby nim pokryć łzy...

Dam dobry przykład moim następcom, — tu skinął głową ku hrabinie i hrabiemu, — spowiadając się szczerze i bez wykrętów.

Urodziłem się w r. 1814, gdy cesarstwo padało,

a Francja po dniach chwały miała rozpocząć dni postu i pokuty; rodzina moja należała do tych które wierne-
mi pozostały prawej dynastji, ale ja wejrzawszy na
świat w dniach upadku tych orłów, co naszą wielkość
tak daleko rozniosły, nie wiem dla czego i zkaąd,
w kolebce już stałem się renegatem tradycji rodzin-
nych. Zamiast kochać Burbonów, począłem kochać
Francję, było to daleko bezpieczniej, i na wszelki wy-
padek dawało mi możność zwijania się jak chorągiew-
ka bez powinienia o zdradę. Naprzód tedy uczynię
państwu moje wyznanie wiary politycznej... nie nale-
żałem nigdy i nie należę do żadnego stronnictwa,
wszelkie oddanie się partji uważam za kajdany i nie-
wolę. śmieję się ze wszystkich głupstw które one po-
pełniają, poklaskuję ich czynom, korzystam z ich zdo-
byczy, nie wiążę się żadną chorągwią. Nie jestem ani
legitymistą, ani arystokratą, ani demokratą, ani libe-
rałem, ani republikaninem, ani socjalistą, ani imperja-
listą nawet. Chcę być przedewszystkiem człowiekiem
swobodnym, choćby mnie miano za marudera poczytać,
nie zaciągnę się do żadnego obozu.

Rodzina moja miała znaczne dobra w południo-
wej Francji, ale dziaduś wczesnie jakoś przewidział
rewolucję, wyprzedał się, kapitały umieścił na banku
hollenderskim a sam umknął i życie ocalił. Wielka
katastrofa przeszła nietknąwszy nas, żadną jej nie
opłaciliśmy ofiarą, ani krwi ani mienia. Może z tego
powodu skłonny jestem do przyznania, że zalety 89..
mają swą dobrą stronę, a świat dzisiejszy nie jest gor-
szy od tego, który poprzedził Ludwika XVI i Marję
Antoanetę. Za cesarstwa rodzice moi spokojnie po-
wrócili do Francji, najstarsza moja siostra służyła na-

wet cesarzowi Napoleonowi do urzeczywistnienia w części jego programu, zlania przeszłości z przyszłością i wydano ją za generała cesarstwa, który był synem kowala, ale wcale przyzwoitym człowiekiem. Powrót Burbonów zwrócił nas na dawną ścieżkę legitymizmu, chociaż Ludwik XVIII podobno nie zbyt łaskawem na mego ojca spoglądał okiem, nie sądzę, żeby to nadto martwiło mojego rodzica.

Wcześniej dosyć postrzeżono, że mi się obiecywał wyrosnąć garb na plecach i męczono mnie daremnie, ażeby gwałtem zrobić prostego i głupiego człowieka. Wiadomo bowiem państwu, że my garbaci od prapradziadka Ezopa mamy przywilej złośliwości i dowcipu. Orthopedyczne doświadczenia ze mną nie powiodły się, nie zgłupiałem, ale garb rosł jak na złość wyśmienicie, trzeba się było z tym darem natury pogodzić. Obchodził on więcej podobno krawców co mi suknie szyli, niżeli mnie. Ubogi możebym się nim martwił, wiedziałem, że byłem bogaty, i żartowałem sobie z niego. Garb dał mi bardzo zawczasu sąd o życiu i świecie bez złudzeń, jemum winien, że nie miałem wcale zawodów, bom od razu do najgorszych rzeczy był przygotowany.

Jestem dziś tego przekonania, że komu los dał pieniądze, niezawisły i niczem nie zamącony sąd o ludziach, temu nie najgorzej być może w życiu. Nie należy tylko od niego wymagać więcej niż ono dać jest w stanie, nie trzeba chcieć rajów, ani marzyć niebios na ziemi, a wcześniej zabić w sobie gniew, na nic się nie oburzać, niczemu nie dziwić, i śmiać ze wszystkiego.

Przyjemny zasłodzony egoista, nie dziki ale cy-

wilizowany, jest istotą i w towarzystwie wielce miłą i zawsze szczęśliwą... ale egoistą przyzwoitym nie każdy być potrafi. Ja nawet nie doszedłem do tej doskonałości choć się o nią staram i dobijam jej, ideały zawsze są nie poścignione.

Widzicie już państwo całe moje życie jak na dłoni. bom był wierny moim zasadom zawsze. Ale któż nie podpada słabości. i ja, mąż żelazny, miałem raz w życiu chwilę niedołęztwa serdecznego... a wypadek ten jako prawie jedyny muszę państwu opowiedzieć.

Od bardzo młodych lat powzięłem to przekonanie, iż nie ma nic wygodniejszego dla sybaryty nad podróżę, najswobodniejszym człowiek jest w obcym kraju. Naprzód nie ponosi się mnóstwa ciężarów, które nań we własnym spadają, obywatel świata, gość pożądaný wszędzie, protegowany przez poselstwa, dobrze widziany przez obcych co na jego pieniądze polują... jeździ, bawi się, zdala rozśluchuje o sprawach ojczyzny i zdrowiej nawet o nich sądzić może niż ci co tam wśród jej zawieruch pracują. W dodatku człowiek tak włączając się nabywa pożądaney obojętności na wszystko i oducza się rozczulać lada czem, mazgać, sympatyzować, pomagać, poświęcać itp. co jest wielkiem i niedorównanem głupstwem. Szanowny naród angielski może w tych nieustannych wędrówkach nabył niezmiernej praktyczności, którą się odznacza.

Straciwszy zawczasu ojca, który niedożył rewolucji lipcowej i zmiany dekoracji, mając tylko matkę kobiecinę spokojną, zamkniętą w swym starym dworze na przedmieściu St. Germain, ledwie dorósłszy puściłem się w świat już gdy nowa gałąź dynastji zasiadła na tronie... Miałem pieniędzy dosyć, humor we-

soły, zdrowie dobre, sceptycyzm polityczny zupełny, głowę dosyć otwartą, a trochę młodości mimo mego garbu czyniła mnie nie zbyt odrażającym. Wcześniej bardzo powiedziałem sobie, że do serc kobiecych szturmować nie będę, i że ich zdobywać nie potrzebuję, wielki wielbiciel tych złotych motylków cieszyłem się patrząc na ich migocące skrzydełka, ale za nie łapać wcale nie myślał. Bawiłem się z kobietami, wykradając im chwile ale nic nie dając od siebie, nie miałem wyobrażenia, żebym był w stanie zakochać się i móżdżek stracić głowę, może dla tego spotkał mnie wcale niespodziany i dość śmieszny przypadek.

Lubiłem życie wygodne, klimat ciepły, i dosyć mi do smaku przypadają Włochy; przebiegłszy naprzód prawie cały półwysep, na zimę przyjechałem do Rzymu. Miałem listy rekomendacyjne do pierwszych domów stolicy świata. Towarzystwo tej zimy było bardzo świetne i liczne, Rzym szczególnie obfitował w cudzoziemców.

Smakowałem dosyć w towarzystwie Włochów, Anglików i innych narodowości ludzi, ale muszę się przyznać, choć nigdy na *chauvinisme* nie chorowałem, że Francuzi moi ziomkowie jakoś mi najlepiej do smaku przypadali. Francuzi w przyprawieniu egoizmu na użytek codzienny, nie dają się nikomu przescignąć.

Ich samolubstwo łyżką się jeść daje bez najmniejszego wstępu, czasami bywa tak wybornie osmażone, że je za najwyższe poświęcenie połknąć można.

Do salonów najświetniejszych tej pamiętnej dla mnie zimy, należał hrabinej de la Souche... Hrabina była młodą wdową, niesłychanie pobożną, szanowaną wielce, a tak miłą, przytem dowcipną, wesołą, naiwną

i pełną prostoty, że nie było człowieka któremu by głowy nie zawróciła. O jej życiu przeszłem nie umiano nie powiedzieć, żyła długo na prowincji, do Rzymu przyciągnął ją urok religijny stolicy katolicyzmu, a tu tak powszechne zyskała uwielbienie... iż począwszy od kardynałów do uliczników wszyscy przed nią padali. Muszę dodać, że była prawdziwej piękności, której opisywać nie chcę, bo bym jej nie podołał, majestaticznej, promienistej, wspaniałej... Wprawdzie młodość jej nie była pierwszą, ale nie była ostatnią także, miała przed sobą jeszcze kilka metamorfoz wdzięków.

Dziwniejszej istoty nie spotkałem w życiu, w najliczniejszym towarzystwie złożonem z ludzi najróżnorodniejszych usposobień, hrabina bez wysiłku, bez przymusu, bez widocznych przemian umiała oczarować wszystkich: starych, młodych, arystokratów, demokratów, kogo tylko zapragnęła. Była gdy chciała uczoną, naiwną, młodą, trzpiotowatą, poważną, zastosowywała się do każdego i nic to ją nie kosztowało... Każdy by był poprzysiągł, że w tej chwili gdy z nią mówił była sobą, że jej w tej roli było najwłaściwiej, każdemu się zdawało, że dla innych czyniła wysiłek, a dla niego tylko miała współczucie. Patrzałem na to i... uwierzcie państwo czy nie, ja garbus biedny wyobraziłem sobie, że ona mnie kochała... byliśmy z nią na najlepszej stopie, coraz bliżej, coraz poufalej, coraz serdeczniej, tak dalece, że się jej wypowiadałem ze wszystkiego aż do wnętrzości mojej kieszeni, co jeszcze podwoiło jej miłość ku mnie. Tak! niestety była to miłość przy najmniej z mojej strony, była to miłość! okrutna, pierwsza w życiu i ostatnia, szalona... Wyperswadowała mi, że ludzie nie mający garbu są kalekami, że

garb dodaje pewnej powagi, że jest miłą ekscentrycznością, że wyprostowane dudki chodzące jakby popołykali kije są niezności. Uwierzyłem w to że byłem Antinousem i na Appollina Belwederskiego poglądałem z pewnem lekceważeniem. Wieść o mojem szczęściu rozeszła się po Rzymie, zaczęła się wiosna, i zdało mi się, że pierwszą w życiu widział, tak byłem szczęśliwy.

Postanowiłem się żenić, po cichu daliśmy sobie słowo, jakieś tylko formalności papierowe opóźniały jeszcze moje szczęście, które do pewnego czasu kazało mi ukrywać...

Oszalałem zupełnie, nie śmieście się państwo miłość większych dokazuje cudów... gdy teraz przypominę sobie własne uczucie chce mi się śmiać i płakać. Żał mi tego złudzenia tak śmiesznego, z którem przecie byłem tak szczęśliwy!!

Tu garbaty westchnął, po licu jego przeleciał jakiś grymas dziwny, otarł chustką spocone czoło i mówił dalej:

— Wśród tego rajy, jednego wieczora hrabina oznajmiła mi o blizkiem przybyciu swojego rodzonego brata, który miał jej przywieść pewne papiery i wiadomości potrzebne. Oczekiwałem go z jakimś niepokojem, pragnąłem zawczasu zaskarbić sobie całą rodzinę.

Brat przybył nareszcie, hrabina przedstawiła mi go. Dziwnym trafem nie mieli wcale podobieństwa do siebie; był to prześliczny, bardzo prosty mężczyzna, blondyn, świeży, rumiany, barczysty, ale od przybycia swego, mimo najwykwintniejszej z jego strony grzeczności, czułem w nim człowieka cywilizowanego, przez skórę przeczuwa się wroga; i istotę sobie niechętną na

pierwszy rzut oka. Usiłowałem w sobie złamać ten jakiś wstręt do brata mojej przyszłej żony, alem napróżno pracowałem.

Wpływało może na to, iż od jego przybycia, hrabina zmuszona zajmować się jakimiś interesami ważnemi, mniej była przystępną, mniej dla mnie czułą, zamykała się często po całych dniach, zdrowie jej nawet cierpiało od tej nieustannej pracy.

Malaria, która nam w roku przeszłym nie dopuściła zwiedzić oddalniejszych ruin i zabytków Rzymu, ustała, byłem znękany, potrzebowałem rozrywki, wybrałem się sam jeden. drzwi mej pani zastawszy zamknięte, z powodu jej zajęcia interesami, do termów Caracalli. Obszerne te i olbrzymie ruiny dosyć wyglądają malowniczo; wszedłem w nie zamysłony, roztrągnionemi oczyma rzucając po słupach potężnych i zawieszonych nad mą głową popekanych sklepieniach, Cicerona, który mnie chciał prowadzić i sprzedawać mi odłamki marmurów, odpędziłem precz, puściłem się w głąb. Wiadomo, że gdzie cienkie mury, to popodtrzymywane są dla ich wzmocnienia powznoszonymi ściankami, stałem właśnie w cieniu za jedną z nich, gdy nagle przez szczelinę starego słupa ujrzałem...

Hrabinę siedzącą z bratem na starej bryle upadłego muru... ale w dosyć dziwnej postawie... brat miał głowę spuszczoną, jej skroń spoczywała na jego ramieniu z czułością, z wyrazem smutku i miłości niewysłowionym, oboje byli tęskni, zdawali się znużeni. Tknęło mnie coś w serce, zastanowiłem się jak wryty, niestety, aby następującą usłyszeć rozmowę:

— Ludwiku, mówila ona, nie dręcz mnie, nie wyrzucaj mi, nie sądz, aby się serce moje dla ciebie zmie-

niło, ono cię kocha i wiecznie kochać nie przestanie, ale sam powiedz, mogę się wyrzec wszelkiej przyszłości, gdy ty mi jej zapewnić nie chcesz, nie możesz.

Tys żonaty, ja potrzebuję majątku, imienia, opieki, każesz mi dla miłości twej poświęcić wszystko? mów? mów?

— Ale ja nie żądam żadnych poświęceń, odparł żywo mniemany brat, idź za męża, nie wymagaj wszakże, by mi to było miło, bym się z tego cieszył, a! ja cię tak kocham.

— Czyż się obawiać możesz, odpowiedziała hrabina, bym się nie pokochała w tym pociesznym garbusie, który co dzień staje się śmieszniejszym, i im bardziej jest rozmiłowany, tem wstrętliwszy jest dla mnie?

Więcej anim potrzebował słyszeć, anim żądał. poszedłem oglądać termy Caracalli, wykurowany heroicznie z mojej szalonej miłości, nie gniewając się nawet na zdrajczynię, ale postanowiwszy uroczyście pomścić się nad nią.

Długo wszakże rozmyślać potrzebowałem nad rodzajem zemsty, delikatnej i przyzwoitej, której mi się chwycić wypadało, przechodziły mi przez głowę idee najdziwaczniejsze, najdziksze, najśmieszniejsze, wyboru w nich nie umiałem uczynić. Nie byłem już tak rozkochany, abym pragnął wielkiego hałasu i skandalu, chciałem tylko dać uczuć pięknej hrabinie, że szczęśliwym będąc, głupim przynajmniej nie byłem.

Nałamałem sobie głowy nadaremnie, bo tegoż wieczora znalazłem w salonie zgromadzony kwiat towarzystwa, ludzi poważnych, i zamiast innej zabawy, zaproponowano opowiadania w rodzaju Dekameronu, z warunkiem tylko, aby powieści były przyzwoitsze. —

Hrabina gospodyni opowiedziała bardzo zręcznie historyjkę jakąś sentymentalną, której treść była mi znana, niestety! ze starego romansu. bo ją z niego zapożyczyła, potem opowiadał jakiś Włoch epizod ze swego życia tragiczny, nosił po nim pamiątkę, bliznę od noża. kolej przychodziła na mnie. Napiłem się limonady, aby być jak najbardziej ochłodzonym, i począłem historyjkę niby słyszaną w Rzymie, która była moją własną, kończyła się ona owem niefortunnym spotkaniem w termach Caracalli. Na pierwsze słowa hrabina przeszła mnie wzrokiem sztyletującym, ale umiałem wytrzymać ogień jej oczów i dokończyłem dowcipnie, zręcznie i chłodno, tak, że oprócz niej i brata Ludwika, nikt się nie domyślił, iż sam jakąś rolę grałem w tem opowiadaniu. Muszę też przyznać, że hrabina, wyjąwszy malutką chwilę pierwszą, wybornie wytrzymała raz w pierś swą wymierzony i gdy skończył, odezwała się:

— Prześlicznie opowiadasz pan, ale historyjka oklepana strasznie i nie nowa.

— W istocie, rzekłem, wypadki podobne trafiają się co dnia.

Pan Ludwik zmierzył mnie oczyma groźnemi, po chwili, pod pozorem interesu pilnego, wyszedłem, aby więcej nie powrócić do tego domu, ani ja do niej, ani ona nie zgłosiła się do mnie. Byłem gotów złożyć ofiarę opiekuńczemu bóstwu, termów Caracalli, za to, że mnie od niechybnej wyratowało zguby. Hrabina znikła z horyzontu, z wielkim żalem całego towarzystwa, które ją niezmiernie oplakiwało.

Po tej ostatecznej próbie stałem się zahartowanym człowiekiem, i nie zachorowałem więcej na miłość,

a gdy się jakiej pięknej damie podobało dać mi do zrozumienia, że dla niej nie był obojętnym, kłaniałem się, pobawiłem i uciekałem co żywo.

Otóż jedyna historja, jaką się wam za gościnność wypłacić mogę, — dodał garbus, — od tej chwili stałem się szczęśliwym, jakim mnie państwo widzicie, nie, nawet wspomnienia nie mącą tego krzysztalu czystego dni jasnych, podróżuję, cieszę się, żartuję, i szydząc siedzę gdzie mi się podoba, jestem królem na wielkich gościńcach, i nie pragnę nic nad to, by mnie jaka namiętność lub chętką nie pochwyciła w swe szpony i nie wyrwała z tego edenu. Obawiam się, przyznaję państwu, jednej szczególnej rzeczy, do której mam pewną skłonność, manii kolekcjonowania. Czyniąc z sobą często rachunek sumienia, dostrzegłem od dawna w kąciuku ukryty zarodek tej nieszczęśliwej pasji, usiłowałem go zabić, struć, wyrzucić, ale dotąd jeszcze nie zwyciężyłem. Byłbym już rozpoczął zbierać czerepy Etrusków, monety greckie, potem egipskie starożytności, ale bardzo szczęśliwie w porę doszedłem, że to co mi sprzedawano było podrabiane, wyrzuciłem na śmiecie owe początki muzeów i chodzę dotąd swobodny. Mówią, że opanowani tą pasją są szczęśliwi, nie wierzę, pożera ich namiętność, mają ciągle pragnienie, jest to rzecz miła, ale w końcu może się przebrać napoju, a wargi zaschną. Kolekcjomania jest niewolą, a pragnę pozostać swobodnym.

Przepraszam zresztą państwa, jeśli ich ta krótka biografia zawiodła, czuję sam, że gdybym ją opowiadał zaraz po herbacie, i nie tak późno, byłaby zapewne bardziej zajmującą.

— Przerazasz pan mnie, śmiało odezwała się hrabi-

na nieco podnosząc się się z krzesła, ja przybywając na scenę tak późno, przez pana, zmęczona, a przytem z tęskniami materiałami do skreślenia żywota wcale nie zabawnego, jakże was zająć potrafię?

Postanowiłam być szczerą, tak jest, mam trochę kobiecej zalotności, chciałabym zająć słuchaczów, nie potrafię inaczej jak zupełną otwartością.

W tej chwili usłyszawszy głos jej, człowiek-mumja, który zdawał się usypiać w swoim krześle, rozprostował się nagle, porwał i wlepił w nią oczy, z których strzelał jakiś gniew i groźba, ale hrabina jakby przeczuła to wejrzenie, patrzyła w inną stronę.

Ożywiona rozmowa wieczora, wrażenia jego rozmaite, czyniły z niej wcale różną istotę od tej, która tak przestraszona i nieśmiała ukazała się na Campo Santo. Odzyskała całą moc nad sobą, jakiś dziwny ogień był w jej oczach, a gorączka w głosie, rumieniec żywy rozpałał twarz, — wszyscy skupili się dookoła stołu gdy mówić zaczęła, i z najżywszem słuchali zajęciem.

— Złamana jak ja życiem istota, jest bardzo pospolitą w naszych czasach, — mówiła hrabina, usiłując udać spokojną i wcale nie patrząc w tę stronę z kąd do niej dolatywały wejrzenia ostre hrabiego, — ale sędzę, że nie wiele niewiast tyle co ja odboleła za swe grzechy. Byłam jedynaczką u matki, urodziłam się w domu pańskim i pierwsze lata życia spędziłam w pieszczotach, jak gdyby życie chciało brzeg gorzkiej piołunem czary osłodzić, abym się go nie ulękała. O złote moje dni dzieciństwa i młodości, marzeń i nadziei, jakże mi one dziś jeszcze są przytomne, iluż je musiałam opłacić łzami! Możesz być, aby poranek tak pogodny

zgadzał się z dniem tak burzliwym, aby nawet przecucie nie zwiastowało, że po niem ma nastąpić całe pasmo boleści nie rozwikłanych?

Wszyscy słuchali z natężoną uwagą, hrabia pargaminowy drżał widocznie, zwrócony ku niej i jakby przelekleł, szukał jej wzroku i nie mógł spotkać oczów, które błędziły gdzieś w innej stronie. niekiedy jakby usiłując zwrócić na siebie jej wejrzenie, poruszał się żywiej, ręka jego trzymała i ścisłała nóż, którym bawić się zdawał czy grozić, ale hrabina z widocznem postanowieniem unikała go, nie spoglądając w tę stronę z kądem ją szmer jego poruszeń i szybki oddech dochodził.

Noc tym czasem miała się ku końcowi, świece dopalały się na stołach, a dzień szary zaczynał przez szyby zaglądać, światło jego walczyło z resztkami blasku księżycowego.

— Prawdziwie nielitościwi jesteście, — przerwał nagle z suchym śmiechem pargaminowy człowiek, — godzisz się tak nieszczęśliwą kobietę jak ta Pani, trzymać na czuwaniu do dnia, aby ją zmusić do spowiedzi o świecie, i dla dogodzenia prostej ciekawości turystów nie dać jej spoczynku, którego każda chwila jest tak drogą?

— Ale na Boga, gorąco zwracając się ku niemu zawołał Vice-hrabia de la Meillerie, to święty dług, który nam zapłacić należy! Pani to uczyni z ochotą dobrowolnie, nie przerywaj że pan.

Hrabina umilkła.

— Nie radzę mówić, dodał hrabia, nie radzę, nie życzę, protestuję, potrzeba spoczynku, ja także ledwie już siedzę, wdzięczni jesteście tym, z którymi tak

przyjemnie spędziliśmy noc, ale siły się wyczerpują, ja nie będę w stanie nic powiedzieć.

To mówiąc wstał.

— Nie prawdaż hrabino, rzekł, czas odpocząć, wszyscyśmy podróżni, każdy z nas ma ciężką pańszczyznę do odbycia, widzieliśmy Campo Santo, ale bazylika, wieża pochyła, baptysterjum, Academia delle belle arti, kościółek ciernia pańskiego i tyle ciekawych gmachów. Wszak jedziemy w świat, może się spotkamy gdzie jeszcze, dokończym opowiadania.

Mówił głosem przerywanym, niespokojnym, gorączkowym, hrabina się uśmiechała ale milczała.

— Sądźcie państwo co mam czynić, odezwała się cicho.

— Ale to okrucieństwo, pod pozorem dnia pozbawiać nas tego co wieczór mógłby nam dać najbardziej zajmującego, to się nie godzi, rzekł garbus. Gdybyśmy mogli przewidzieć, lepiej było jedną z poprzedzających historyjek darować, a nie tę, na którą zaostrza się właśnie cała ciekawość nasza.

— Ale to okrucieństwo trzymać nas do białego dnia, Sir Price odwołuję się do praktyczności, do grzeczności angielskiej, ta pani, — wskazał na hrabinę, — jest widocznie znużoną niezmiernie, historia obiecuje się jakaś bolesna, mamyż z łakomstwa doprowadzać ją do choroby może, do...

— Ja wszakże nie czuję się znużoną, przerwała hrabina, i gotowam spełnić to, do czego się zobowiązałam.

Sir Price poglądał po wszystkich okiem niepewnym, badającym.

— Jakkolwiek, rzekł, bardzo by mi było miło usłyszeć historję pani, i pana, coś nam ją winien także, ale nie śmiem, możebyśmy dla oryginalności dali sobie inną schadzkę w innem miejscu?

— Myśl wyborna, przerwał garbus, nie ma jak ci Anglicy do oryginalnych pomysłów, zgoda! zgoda! wszak wszyscy podróżujemy.

— Prócz nas, rzekł Sestini, ale ponieważ i ja w tym roku mam ruszyć na artystyczną wędrówkę, możebyśmy...

— Ale nadewszystko, dorzucił garbus, nie umawiajmy się spotkać gdzie w oberży, znajdziemy sobie odpowiednią, ciekawą jakąś i niepospolitą stację.

— Ja miałem ochotę jechać do Neapolu, rzekł Sir Price.

— Bardzo dobrze, historję swą hrabina dokończyłaby na Wezuwjuszu!

Sir Price pochwycił natychmiast podaną mu ideę.

— Przedziwnie! dajmy sobie miesiąc czasu i,—Wezuwjusz.

Wszyscy spojrzeli, śledząc na twarzach zgody.

— Albo w Capri przy kaplicy! widok tak prześliczny, miejsce tak dziwnie ekscentryczne, ta skała na morzu!

— Albo na kamieniach w grocie niebieskiej, rzekł uśmiechając się pargaminowy, mielibyśmy i tę jeszcze szansę, że morze by przybrało, zalało wnijście i konalibyśmy z głodu, opowiadając sobie męczarnie przeszłe tem wymowniej, że terażniejsze wrażenia stałyby z niemi w parze.

Garbus zacierał ręce, — Il Vesuvio! myśl pierwsza najlepsza.

— Albo Katakumby św. Januarego ubogich? Katakumby, ozwał się Spauer. opowiadanie w Katakumbach, c'est très original!

— Katakumby te nie są tak ciekawe, przerwał garbus.

— Pochowano w nich masę trupów w czasie cholery, rzekł pargaminowy ze złością, moglibyśmy zarazić się. to by było cudownie!

— Na głosy! na głosy! krzyknął Anglik, kto trzyma za Wezuwuszem?

Nawet mumja głosowała za Wezuwuszem, hrabina się uśmiechała dziwnie. — Za miesiąc na Wezuwuszu! rzekła cicho, wybornie.

— Zamawiam sobie, że przerwany ten wieczór, którego miałem szczęście być gospodarzem. dokończycie państwo, jako moi goście, na Wezuwuszu.

— Tym czasem trzeba by się postarać, abyśmy trafili na wybuch, któryby był wcale pożądany; możeby kto z nas życie postradał, toby doskonale zakończyło epizod podróży!! rzekła mumja szyderczo.

— Pan masz myśli tragiczne, ozwał się garbus.

— Kwaśne, kwaśne, uśmiechając się i poziewając razem odparł hrabia. a więc spotkamy się nad kraterem Wezuwjusza.

— Kto tylko będzie mógł, zawołał Spauer, my nawet piesi podróżnicy o kijach.

Hrabina patrzyła i uśmiechała się dziwnie.

— Dla jednej mojej historii doprawdy nie wartoby tylu zachodów. odezwała się, ale mamy drugą daleko zapewne bardziej zajmującą — pana hrabiego.

— Tak! tak! zawołał pargaminowy, moja istotnie żywo może was zająć, jest bardzo piękną, cudowną jak bajka, dziwaczną i nie będę z niej nic ukrywał, daję słowo, ręczę, iż ją znajdziecie nader ciekawą. osobliwie zakończenie!! o, postaram się o prześliczne rozwiązanie...

Sir Price uśmiechał się uszczęśliwiony, myślał może w tej chwili o iluminacji Wezuwjusza, gdyż głęboko był zadumany.

— Za pozwoleniem, przerwał Spauer. a jeśliby kto z nas miesiąca tego nie dożył?

— Słuszna uwaga, mruknęła mumja ożywiająca się coraz bardziej, i toby się trafić mogło!

— Ha! rzekł garbus z uśmiechem, duch nieboszczyka powinien się stawić na Wezuwjuszu, wszak ci duchy dostają niekiedy urlop na ziemię, powinien się zmarły postarać o pozwolenie, a wędrówka przyjdzie mu łatwiej jak nam.

Tym żarcikiem dosyć smętnym skończono rozmowę, dzień dobry świtał, gdy się rozchodzić poczęto do mieszkań zamówionych.

Sestini z żoną poszedł pieszo, korzystając z poranku do małego domku w okolicy, który zajmowali, a mumja posłała po weturyna, rozkazując co najprędzej zaprzęgać.

Stał on właśnie ziewając znowu, gdy piękna hrabina, na której twarzy znużenie i poranek po nocy bezsennej starły żywe kolory, przesunęła się mimo niego powoli.

— Więc do widzenia na Wezuwjuszu! zawołał szyderczo.

Odwróciła się powoli.

— Choćby w samym kraterze! odpowiedziała mu, nie będzie tam piekielniej jak było na ziemi.

Mumja uśmiechnęła się szatańsko.



Dzień był skwarny, ciemno-lazurowe niebo neapolitańskie, wypogodzone, przebiegały tylko białawe puszyste obłoczki, nad Wezuwjustem unosił się z lekka warkocz dymu, który chwilami ciemniał, to znów w niedostrzeżony prawie tuman się rozwiewał. Wulkan drzemał zmęczony i oddychał powolnie.

Nad cudowną zatoką, ukochaną niegdyś przez rzymskich Sybarytów, panowało uroczyście milczenie skwaru tamującego życie, przerywane tylko cichym pluskiem fali, jakby biciem pulsu morza, które się spiąc nawet kołysze. Całość tego widoku Neapolu i okolicy jaśniała cudowną harmonią wesela i rozkwitu, czuć w niej było istne tchnienie Boże, które te cuda zrodziło, barwy szafirowego morza, lazurowych niebios, szmaragdowej zieleni drzew, białych budowli, spalonych od słońca ruin, złocistych wybrzeży, i amethystowych oddaleń, wśród których jak sny i marzenia ukazywały się pobliskie wyspy i zlewały się w jedną pieśń kolorów grających hymn, oczom artysty rozumiały, dla pospolitego tłumu dziwnie pociągający i wdzięczny.

Najsmutniejszy z ludzi, stanąwszy z bólem w piersi musiał go trochę zapomnieć i poczuć jakieś upojenie naturą, jakiś szal powoli od zmysłów pochodzący do serca, z piersi idący do głowy. Tu tylko zrozumieć można, dlaczego odarty lazaron, leżący na

marmurowych wschodach Chiai, czuje się silen i nie dba o jutro, dla czego nuci w łańchmanach i śmieje się ze swej nędzy bez przyszłości. — Barwy, cisze, wonie, powietrze tego czarownego świata, poją letejską wodą zapomnień i wzgardy na jutro. Życie tak tu jest silne, tak w siebie wierzy, że zagłada nie wydaje mu się ani straszną ani możliwą; przeczuwa ono, że choćby prysły ogniwa łańcucha, znów się gdzieś spoją na nowo.

Pustki były i na wybrzeżu Santa Lucia i wzdłuż zatoki aż ku Resinie, psa prawie widać nie było, upał nieznosny trzymał wszystkich w cieniu winnic, na północnych stronach przyémionych mieszkań w chłodzie; — cudzoziemcy w towarzystwie okupionych drogo i wyrwanych spoczynkowi przewodników.

Zapewne chęć oglądania cudownego widoku jaki się z wierzchołka Wezuwjusza w dniu pogodnego odslania, pędziła ich właśnie w ten dzień skwarny na szczyt wulkanu, który spoczywał po niedawnym wybuchu. Jeden bok jego krwawą jeszcze raną rozplątany i gorejący nocami, świadczył o świeżej katastrofie, z której teraz tylko na pół zgasłe i zastygłe lawy pozostały potoki. Przewodnicy opowiadali ze zwykłą Włochom wielomównością i namiętnością o ostatnim wybuchu, opóźnionym wędrowcom, którzy nie zdążyli pospieszyć na widowisko.

W Resinie dnia tego do ostatniego konia i najlichszego zabrano osła, najmniej wprawnych przewodników oderwano od południowej siesty, a stowarzyszenie cieszyło się, że nawet kulawe szłapaki potrafiło zużytkować i najmłodszych uczniów wyprawilo na górę.

Żony ich na rachunek przyszłych zysków tego

szczęśliwego dnia, przysposabiały sutą wieczerzę maccaroni col fromagio i śpiewały u kolebek dzieci. Cisza głucha panowała w miasteczku, gdy nagle turkot corricolo, spieszącego od Neapolu. zbudził uspionych i spoczywających, i do głównej gospody starszego z przewodników gwałtownie biczyskiem zastukał woźnica, który przywiózł jeszcze jednego opóźnionego wędrowca. Ostatnia kompania po dobrym kwadransie puściła się na Wezuwusz, nie podobna już było do niej podróznego przyłączyć.

Maso, starszyzna rozporządzający wyprawami na górę, stał zakłopotany w bramie, jedną ręką podniósł czerwoną szlafmycę, drugą wyjmował z ust pogryzione cygaro, podobniejsze do osmolonego kija, niż do zwitka tytoniowych liści, milczał spoglądając na podróznego i jak człowiek, co się dobrze najadł, a któremu jeszcze jedną przynoszą potrawę, dumiał, czy jej jakim sposobem na jutro nie można zostawić?

Przybyły był podżyły, żółty, znudzony, kwaśny i niecierpliwy, zżymał się, ruszał ramionami, rozkazywał i przeklinał, w żadne targi nie myśląc się wdawać ze starym przewodnikiem, powiedział od razu, że bądź co bądź, za jakąkolwiek cenę, musi dziś jeszcze być na wierzchołku wulkanu. Nie słuchał wymówek, nie rozumiał trudności, rozkazywał.

— Ecco sospira al Vesuvio! mruknął pod nosem Maso, accidente! Co z nim począć? Ależ Eccellenca! dodał głośniejsz. cóż ja na to poradzę? nie mam już ani konia, ani osła, ani uczciwego człowieka, coby pana poprowadził!

— Nie masz? rozśmiał się żółty jegomość, dla czego nie masz, kiedy jesteś dowódcą przewodników

i mieć ich powinienes? kiedy ci ja płacę! Nie masz nikogo? to idź sam, cóżes ty lepszego od innych? Pierwszy lepszy koń i pierwszy z brzegu człowiek. a dam sobie rady z oboma, na konia mam biczysko, a na człowieka pięść i pieniądz, będą dobrzy.

— Ależ ostatni przewodnik powiódł tych dwóch młodych, i to dostał się im najgorszy niedolega, za najtańsze pieniądze, mrucał Maso, jużcić niepodobna żebym ja Resinę opuścił i łamał nogi dla lichego zarobku, w taki skwar! w taki skwar! a c c i d e n t e !

Stary ziewał słuchając a raczej przeciągał usta znudzony i rękę włożywszy do kieszeni brząkał w niej luidorami. miły ich dźwięk dodał wreszcie energii przewodnikowi, który zamyslił się głęboko i rzekł stanowczo:

— No mówcież co dacie! co dacie! a będziecie mieli ten honor że was sam przeprowadzę do obserwatorium, tam dopędzimy pewnie ostatnią kompanję, oddam was jej i powrócę do domu. Jeszcze jest pora doścignąć ich, bo się muszą zatrzymać dla spoczynku, a cóż mi dacie?

Zaczął się targ; Włoch był strasznie wymagający bo leniwy, stary się bronił, ale znać było że w końcu ulegnie.

— Ale, przerwał nagle, dużo ich tam przedemną pojechało na górę?

— O! o! już niewiem wielu, ciągną od południa jakby się zmówili, rachują widać na pogodny zachód słońca, będzie ich tam dosyć!

— Któż? Anglicy? spytał żółty wędrowiec.

— O! jedna familja angielska złożona z pani, pana, panny, panicza i guwernantki już od dwóch dni gości

w pustelnicznym domu na obserwatorjum, ale oprócz niej kto ich tam zliczy, co pociągnęło różnych ludzi, kilka kobiet, jakiś Francuz garbaty, nie pamiętam wreszcie.

— Kilka kobiet mówicie! spytał żółty jegomość, jedna osobno? sama? — Włoch na to pytanie rzucił na cudzoziemca wejrzenie drwiące z poufałością właściwą swojemu narodowi i rozśmiał się szydersko wpatrując w jego cytrynowe oblicze.

— Cóż tobie do kobiet! rzekł klepiąc po ramieniu oburzonego tą poufałością wędrowca, spojrzysz się jeno w zwierciadło miły panie! Stary cofnął się kilka kroków z furją, którą prędko pohamować usiłował, a Włoch się powstrzymał z żartami i odparł:

— Ha! ha! rozumiem! pytacie pewnie o tę panią, która jedna z najpierwszych pojechała dziś na Wezuwusz, nie wiem francuzka czy hiszpanka, piękna jeszcze kobieta, już ją tam pewnie niosą w górę, bo poprzedziła innych i najlepszych ma ludzi.

Pargaminowy człowiek dobił targu za dosyć wysoką cenę. a Maso sam podjął się go przeprowadzić; koniec końcem niegrzeczność i gburowatość więcej tu zrobiła skutków niż najgorętsze wyjednaćby mogły prośby. Wielki znawca ludzi, stary Maso, obrachował z łatwością, iż kto jest gburem, ten dobrze płacić musi, a bardzo grzeczni najmniej miewają pieniędzy. Szorstkości swej winien był hr. Zygmunt Żywski, że mu wynaleziono i wcale dobrego konia i niezbyt twarde siodło; buona mancia umówiona z góry i buonissima oprócz tego, zapłacić miały za wszystko.

Hrabia siadł na koń jak człowiek przywykły niegdys do szparkich rumaków, zażył włoskiego podjezd-

ka tak niecierpliwie, tak po pańsku nogą i biczem, że Maso, przestraszony, ledwie go mógł dogonić i wyper-swadować, iż tam gdzie przewodniczący chodzą pieszo za jeźdniami, jezdni stępują też jeździć powinni. Szczyściem kamienista droga, łożysko jakiegoś wiosennego potoku, wybrukowane najdziwniej nastrzępionymi skał złamkami, gorący ten zapęd powstrzymało. Musiał hrabia zwolnić kroku, bo jak żyw podobnej drogi nie przebywał konno i podziwiał rumaka, który po ostrych kamieniach stąpał z powagą i śmiałością starego ich znajomego.

Nic nie mówiąc, Włoch przypatrywał się człowiekowi, którego wiódł, okiem badawczem, posłuszny jakimś instynktowi czytał w nim i wczytując się zaczynał dziwne roić domysły. Twarz ta zeschła, pomarszczona, zimna, trupia, czyniła na nim przykre odstręczające wrażenie; obawiał się jettatury z tych oczów złowrogo mierzących z ukosa. W pierwszej chwili gdy się zatrzymał przed gospodą i gniewał i dąsał, podobniejszy był do żywych istot; teraz gdy mu powoli twarz wystygła i namiętność z niej uchodziła, rysy kamieniały, bladość zielonawa oblewała je, i Maso prawie go miał za upiora, a nie za Boże jakieś stworzenie. Mimo wielkiej odwagi ciągle trzymał palce tak złożone, aby każde wejrzenie odeprzeć ich talizmanem rogatym... figą.

Hrabia zamyślił się, po stężalych zmarszczkach jego oblicza, dziko wykrzywionego, niekiedy tylko przelatywało jakby drgnienie gniewu, konwulsyjny błysk namiętności zwierzęcej, pragnącej nasycenia; ale po tej przelotnej życia oznace, znowu zamierała twarz, nie wyrażając nic oprócz znudzenia i wyżycia.

Stary przewodnik, obywszy się ze strachem, na próżno usiłował zwykłą gawędką wesołą rozbudzić zmarzłego człowieka; nic go nie ciekawiło, nic poruszyć nie mogło. na niektóre objaśnienia uśmiechał się szydersko do Włocha, a śmiech ten przejmował Masa do kości i mrowiem chodził mu po plecach. Widząc że ani go rozbawi, ani mu się zasłuży, w końcu Włoch cofnął się, zapaliwszy cygaro, do końskiego ogona, i zostawił Eccelence głębokim dumaniom.

— Ale cóż to za stworzenie u licha, mówił sobie Neapolitańczyk popędzając konia, któremu cugle na kark upuścił hrabia, nie przypominam sobie żebym go kiedy widział tu na Wezuwjuszu, choć od lat dwudziestu niemal każdego podróżnego twarz oglądam; zdaje się jechać po raz pierwszy, a tak sobie obojętnie siedzi na koniu jakby do góry i widoku przywykły był od wieku, jakby dlań tajemnic i ciekawości nie miała! Ani patrzy, ani pyta, ani się ciekawości zdziwi. Coś go tam chyba wewnątrz gryzie. Czy ta kobieta o którą się tak dopytywał z niecierpliwością? Czy myśli dostać się tylko na wierzchołek aby dokuczliwe życie zakończyć przez salto mortale? Bądź co bądź, to jakaś ciekawa figura, a jeśli go Vesuvio nie obchodzi, po cóż się nań drapie i płaci tak drogo?

Hrabia milczał ciągle; wydobyli się z kamieni na szosowaną drogę, którą właśnie kończono, prowadzącą do obserwatorium. Ztąd już widać było nawet postacie różne, kręcące się pomiędzy kasztanami i przybierające do dalszej podróży. Maso był niepokojny, żeby mu kompanje, mogące przyjąć wędrowca i uwolnić go od dalszej wędrówki, nie uciekły,

popędzał więc konia żwawo, a oczy hrabiego, skierowane ku górze, także się zdawały wyprzedzać rumaka i szukać tam kogoś.

Powietrze było parne, przejażdżka nużąca, Maso oblewał się potem, koń był zgrzany cały, tylko hrabia zdawał się nie czuć skwaru i trząść jeszcze jak od chłodu. O dobre staje od obserwatorium i domku spoczynku przewodnik zaczął dawać znaki znajomym, aby tam na niego poczekali, i zdawało się że go rozumiano; dosyć znaczna garstka ludzi wstrzymała się, poglądając w tę stronę z której nowy podróżny przybywał. Maso rad był bardzo że się pozbędzie swojego ciężaru i utrapionej salitą.

W miarę jak się zbliżali do celu tej pierwszej a łatwiejszej części wycieczki, Maso ciekawie śledził na twarzy jadącego śladów wrażeń, ale nic nie dostrzegł prócz konwulsyjnych jej drgań i lekkiego chwilami szyderskiego uśmiechu. Zdała coraz wyraźniej malowała się grupa z mężczyznu i kobiet złożona, zdająca się oczekiwać na ostatniego przybysza; jasne suknie dam i letnie odzieże mężczyzn na tle ciemnej zieleni kasztanów bardzo się malowniczo zarysowywały. Na przodzie stał Sir August z lornetą obozową w ręku, przypominającą trochę Wellingtona, z miną wodza i rozjaśnioną twarzą. Był on tu gospodarzem, a gospodarować i przyjmować gości na Wezuwjuszu zdawało mu się wielce oryginalnem i w bardzo dobrym smaku; spodziewał się że Times, który był umieścił w korespondencji z Włoch opis krótki ale kolorowany wieczora w Campo Santo w Pizie, nie omieszka oznajmić światu o zdobyciu We-

zawjuszu przez jednego jeszcze Anglika i to w sposób niepospolity.

Obok Sir Augusta stała ugrupowana cała jego rodzina i panna Joly, której Vesuvio przypominał nieco Szwajcarję, znajdowała jednak że Alpy daleko są piękniejsze i wspanialsze, a ta góra z kominem i troczą dymu wydawała się jej d'un gout médiocre! — Sir August oglądał się ku wierzchołkowi ciągle i wzdychał, gdyby wulkan raczył umyślnie na jego przybycie wybuchnąć i gdyby! gdyby tak był grzeszny jak burza w Pizie! Niestety, przewodnicy nie śmieli obiecywać nic, góra zwykle pewnymi symptomatami zapowiada każdą mającą nastąpić erupcją, znaków tych przygotowawczych brakło, trzeba się było zadowolnić powszednim dymem, a może kilką kamieniami.

Pani Price, mimo obycia się z fantazjami męża, okazywała nieco przestachu i o tyle życzyła aby się wulkan zachował spokojnie, o ile Sir August pragnął aby się pogniewał. Młodzieniec Robert spoglądał obojętnie na piękny widok u stóp jego rozciągnięty, panna Marja przypatrywała się kwiatkom nieznanym, które postrzegła pod kasztanami. Opodal nieco stali ugrupowani artyści: Sestini w uniesieniu nad kolorytem krajobrazu tak żywym a tak doskonale harmonijnym, Przeręba zadumany może o chmurniejszym niebie, którego dawno nie oglądał. Spauer filozofujący nad naturą - artystą, i Julja Sestini napawająca się szczęściem męża, nie spuszczaająca oczów z jego twarzy rozpromienionej.

Tym może najwięcej kosztowało ofiar dostanie

się na Wezuwiusz i stawienie, wedle przyrzeczenia na dzień oznaczony.

O krok tylko od tej grupy widać było hrabinę Adelę, wspartą o pień starego kasztana w postawie malowniczej i pełnej wdzięku. Twarz jej znowu jaśniała młodością i wdziękiem, który winna była odżywieniu, znużeniu, podnieceniu i gorączce podróżnej. Stała jakby do portretu, z podniesioną głową, z oczyma wlepionemi w morza szafiry, zdając się cała zatopioną w uroczystej piękności otaczającego ją widoku, nie myślała może o ułożeniu sobie postawy, ale instynktowo przybrała jak najwdzięczniejszą. Pierwsze też wejście hr. Zygmunta przybywającego ze starym Maso padło na nią i spokój tej postaci odbił się jakby cieniem gniewu na jego twarzy. Rzekłbyś że się dąsał, widząc ją pełną męztwa i siły, gdy się może spodziewał zobaczyć omdlałą, wylęknłą, lub wcale jej tu nie spotkać.

Dokoła zgromadzonych kręcił się Vice-hrabia Anatole ze swym garbem, znacznie zmodyfikowanym zręcznym krojem sukni, która tę ułomność czyniła bardzo mało widoczną; uśmiechał się on złośliwie i bawił jakoś tem spotkaniem na wulkanie, które mu się wydawało bardzo pociesznem.

— A! a! otóż już jesteśmy w wielkim komplecie! zawołał postępując ku pargaminowemu. Co za słowność w wypłaceniu długu, prawdziwie po polsku panie hrabio! prawdziwie po polsku!

Żywski, zsiadając z konia żywo skinął tylko głową na znak powitania i podał rękę Anglikowi, który skwapliwie mu ją spieszył wyciągnąć, potem wkoło pozdrowił wszystkich, śledząc wrażenia jakie uczyni

na swej rodaczce. Zdziwić się musiał nie pomалу nie znajdując na jej twarzy najmniejszej oznaki bólu, jakiego się spodziewał, ani pomieszania, ani niepokoju. Nie mogła go niewidzieć, a jednakże stała, zajęta zątoką i Neapolem, jakby przybylca na świecie nie było.

Hr. Żywski zakręciwszy się, zbliżył nieco ku niej i niski oddał jej pokłon; skłoniła mu głową, ale nie odrywając oczów od widoku, który ją zachwycał.

Panu Price już pilno było wyruszyć na Wezuwusz, bo czas upływał, na wierzchołek dostać się nie jest łatwo, a należało być tam przed zachodem słońca, mieć czas rzucić okiem na ogromną przestrzeń tej panoramy i przed nocą nadchodzącą spuścić się jeszcze przynajmniej do doliny dzielącej Somnę od wierzchołka wulkanu i przejść zastygłe łożyska lawy. Obliczał on w tej chwili podróży; z jego rozkazu nie jeden, jak zwykle, z pustelni człowiek wyszedł z koszykiem wina i owoców, ale kilku służących Włochów niesło przybory do lekkiej przekąski u krateru, a w pustelni samej gotowano dla mających powrócić wspaniałą wieszczerzę.

W tej chwili obrachunku, Sir Price zobaczył na ustroniu człowieka, który do towarzystwa nie należąc, stał na uboczu; po kiju jego i sukni poznać było łatwo wędrowca, który jak inni przybierał się drapać na Wezuwusz. Trochę to nie na rękę było Anglikowi, że mu natręt już spojone wieczorem w Pizie towarzystwo, swem przybyciem popsuł i pilniej przyglądać mu się począł, usiłując odgadnąć czy ten żywioł nowy da się jako przyswoić, czy nie będzie nutą fałszywą w tym chórze. Ale nowy podróżny nie był łatwy do zadeterminowania na pierwsze wejrzenie postacią.

Strój jego, prawie ubogi, wyszarzany i zapylony, okazywał albo zaniedbanie, lub ubóstwo; dowodziła go także obojętność przewodników Włochów dla niego, krzątających się i nadskakujących innym podróżnym, a zdających się jego nie widzieć i wcale oń nie troszczyć. Od ubrania nie wykwintnego odbijała dziwnie twarz już nie pierwszej młodości, ale nadzwyczaj pięknych i szlachetnych rysów. Najczęściej tak zbudowanym obliczom posągowym brak jest duszy i życia, są one chłodne, bez wyrazu i nic nie mówiące; ta piękność rysów niepospolita połączoną była z tak wzniosłą myślą jakąś rozlaną po nich, że mimowolnie mężczyzna ów obudzał uszanowanie i cześć. Zdjął był kapelusz słomiany z głowy i Spauer, który jako rzeźbiarz pierwszy ocenił niepospolitą piękność tej postaci, stał przed nią w zachwyceniu; przypominała ona wspaniałe utwory Michała Anioła, powagą i spokojem siły, czującej się niezwykła. Twarz była nieco wielką do postawy, przedłużała ją bowiem jasna-blond trochę siwych włosów przemieszana broda, ale to nie psuło ogółu; wzniosłe czoło i wyłysiała czaszka, jakby z kości słoniowej wyrzeźbiona, świecąca, koronowała budowę ręki Bożej, na której autor wyraźnie się podpisał. Głowę tę można było śmiało wrzucić na ramiona apostoła jakiego, lub mędrca greckiego; przypominała ona, a raczej na myśl przychodził, patrząc na nią, boski Plato. Niebieskie oczy, osłonięte powiekami nieco znużonymi, wyrażały łagodne uczucia i myśli uroczyste spokojne; znać było że łza nie obcą im była, ale gościem na nich przelotnym.

Usta, które wąż spuścisty nie zupełnie osłaniał, uśmiechały się łagodnie. Najlepiej można było ocenić

charakter fizjognomji tej, porównyując ją z otaczającymi: wszystkie przy niej wydawały się pokrzywione, namiętne, zniepokojone życiem, przejęte jakąś obawą, gdy ta panowała taką wiarą w żywot swój i siłę, taką powagą, takim pokojem ducha, że samo na nią wejrzenie miało potęgę jakąś uspokajającą. Nie dodawał jej uroku ani strój, ani postawa skromna, a jednak wszyscy czuli że ta postać kryje w sobie jakąś wielkość, jakąś moc nieznaną a niezaprzeczoną.

Z kolei każdy napił się oczyma z tego oblicza trochę siły i ciszy...

Hr. Zygmunt nie rychło przybywszy, postrzegł tego pielgrzyma, stojącego z rękami na kiju wspartemi; i on nawet, ujrzawszy go, przystanął, zdziwił się, zastanowił, zdawał się chcieć przypomnieć gdzie go widział...

Artyści szeptali między sobą, oglądając kto to być mógł.

— Jeżeli to jest pospolity człowiek, rzekł Spauer, w takim razie forma jest niczem, hieroglif cielesny nie jest literą Wszechmocnego ręką napisaną, ale gzygza-kiem przypadku. Czekam jeszcze ostatniej próby, aby zdjąć przed nim kapelusz i pójść jak za mistrzem. Bywa bardzo często, że ludzka twarz póki zostaje nieruchomą, jest wspaniale piękną i prawie boską; niechże się człowiek odezwie, wyraz jej się zmienia, olbrzym maleje, szczytność zmienia się w karykaturę. Jeden uśmiech czasem rozbija złudzenie. Jeżeli ten apostoł, otworzywszy usta i poruszywszy się, nie przestanie być tak wielkim jak jest dotąd... wierzcie mi, to jakiś geniusz, lub świętość!

Vice-hrabia de la Meilleraie, który wykrzyknika podsłuchał, rozśmiał się szyderczo.

— Szanowny uczniu Fidjasza, zawołał, zdaje mi się, że ubóstwieniem formy wpadasz w niebezpieczne bałamuctwo... modelowałeś pewnie z owych wzorów, które się po kilka franków najmują na godzinę... na Boga Ojca i łysych apostołów... aleś nie widział, jak potem piją po szynkach owe ideały, a wszakże są prześliczne głowy między nimi!

— Nie, rzekł Spauer, to co innego, mają oni cień piękna tylko, z której prawdziwy artysta tworzy ideał, są glina, materialem do dzieła, a nie wzorem, ściśle wzięwszy. Spójrz pan na te roboty, które są powtórzeniem bezmyślnem modelów, czy w nich znajdziesz choć iskrę żywota? Wszyscy ci ludzie mogli być pięknymi, ale ich życie połamało i zbrukało, noszą ślad ręki Bożej i piętno szatana. Forma, dobrze zrozumiana, musi mieć znaczenie; inaczej na cóżby się przydała, gdyby z duchem była w antagonizmie?

Ów nieznamy, którego rysy już zaczynały rościć polemikę gorącą, bo garbus miał nowem szyderstwem odrzec na argumenta Spauera, patrzył tymczasem na okolicę i zadumał się głęboko, głękoko... Ale na nim ten widok smutnego nie czynił wrażenia, przypominał coś, pojmował, czytał powoli z dziejów tego zakątka ziemi, tak obfitej we wspomnienia, myśl Bożą snującą się nicią złocistą przez szare przedzie nędz ludzkich.

Anglik, który nie rad był, aby mu obcy intruz psuł dnia tego uroczystość, po namyśle zbliżył się do niego powoli, witając go ukłonem. Podróżny, zatopiony w dumaniach, nierychło się obejrzał na niego, ale nie okazał ani zniecierpliwienia z przerwanych rozmysłań, ani przybrał miny surowej, jaką zwykle każdy

prawie wdziewa, stykając się po raz pierwszy z nieznajomymi.

— Przepraszam bardzo, że mu przerywam może, rzekł Sir August Price grzeczniej niż był nawykł, ale widocznie promieniem oblicza oczarowany. Chciałem tylko spytać pana, czy także myślisz się z nami dostać na wierzchołek wulkanu?

— Czybym miał państwu w czem zawadzać? spytał łagodnym głosem nieznajomy. Spauer w tej chwili zdjął kapelusz, i oddał pokłon ideałowi; twarz bowiem podróżnego nie tylko nie straciła, gdy się jej usta otwały i nerwy zadrgały, ale nowego nabrała wdzięku. Panowie, zawołał z zapalem do otaczających, to wielki człowiek, albo nie ma prawdy na świecie!

— O! mówił dalej Sir Price, nie zawadzacie nam bynajmniej... ale szczególne okoliczności zmuszają mnie być mu natrętnym. Całe towarzystwo, które pan tu widzisz zgromadzonem, spotkało się miesiąc temu przypadkowo w Pizie na Campo Santo i dało sobie na dziś rendez-vous na Wezuwiuszu... Prawdziwie szczególne okoliczności skłoniły nas do zbliżenia i poznajomienia, jesteśmy więc wszyscy nie obcy sobie...

Nieznajomy spojrzał na Anglika.

— Powiedźże mi pan, odezwał się po chwili, od tyśiąca ośmiuset lat może człowiek człowiekowi jakiegokolwiek być obcym? Nie jesteśmyż wszyscy bracia, krewni, jedną rodziną, jedną społecznością?

Anglik prawie nie rozumiał.

— Nie obawiajcież się, kończył nieznajomy, cichy, milczący wędrowiec, wielbiciel dzieł Bożych i cudów stworzenia, nie zmieszam harmonji jaka między nami panuje, nie będę nutą fałszywą... a cóż wam szkodzi że

więcej jedna dusza z tej góry wierzchołka podziwiać będzie piękność natury...?

— Owszem, radziłyśmy, rzekł Anglik. gdy was los tu sprowadził, ażebyście przyłączyli się do nas i zbliżyli do tych, których braćmi zowiesz... Przykro by mi było, mnie gospodarzowi, widzieć was obcym i nie z nami...

— Jak chcecie, odparł pierwszy, nie stronię od ludzi bo ich kocham. nie odrzucam podanej ręki nigdy, pójdę z wami i słodko mi będzie podzielić się myślą, uczuciem, wrażeniem... Chcecie zapewne wprzódy wiedzieć kto jestem? Bądźcie spokojni, nie przyjmiecie do chwilowej spółki człowieka splamionego; jestem istotą pospolitą, ale pragnącą dobra i pracującą na podźwignienie się... Nazwisko moje, stan, pochodzenie nie by nas nie nauczyło; przychodzę z północy z zimniejszych stron, z krainy dumań i mgły... z ojczyzny Swedenborga... byłem i jestem skromnym nauczycielem wiejskim... pielgrzymuję dla nauki... widok świata z bogacza, rozwija, oświeca...

Anglik się skłonił.

— Możebyście pragnęli abym was z towarzyszami wędrówki zapoznał?

— Jeśli wola wasza, i owszem; kocham ludzi.. nie stronię od nich...

— Więc naprzód ja i moja rodzina, odpowiedział gospodarz, wskazując na stojących nieopodal, żona, syn, córka, dalej artyści i żona jednego z nich, artyści całą duszą... poznać to łatwo z ich sposobu zapatrywania się na ten widok. Ta pani na uboczu jest Polką, ten nieco ułomny jegomość Francuzem, wielce dowcipnym, ten ostatni przybyły Polak także. nieco kwaśny...

Spotkaliśmy się po raz pierwszy wypadkiem na Campo Santo w Pizie, przepędziliśmy wieczór razem na bardzo miłej rozmowie, opowiadaliśmy sobie wzajemne przygody życia... Ta pani stojąca pod kasztanem, i ten pan, który ostatni przyjechał, nie mieli już czasu dokończyć swych biografji gdy dzień nadszedł. Otóż przyszła nam myśl oryginalna; daliśmy sobie termin na dziś do spotkania na Wezuwjuszu...

Nieznajomy się uśmiechnął!

— Zrobię co wam przyjemnem być może odpowiedział, zastosuję się do warunków, będę posłusznym, miło mi że nie sam odbędę tę podróż... człowiek człowiekowi jest potrzebny, towarzystwo podwaja go, dopełnia. Wdzięczen wam jestem że mnie tak uprzejmie zapraszacie...

I podał dłoń Anglikowi z uśmiechem.

Spauer, który w części się domyślił rozmowy Anglika, po części ją dosłyszał, zbliżył się w tej chwili do Szweda i pozdrowił go także z wyrazem twarzy pełnym uszanowania; pilno mu było zawiązać bliższą wiadomość ze swym ideałem, pominął zwyczajne formy i pokłoniwszy się odezwał:

— Mistrzu, zkąd Bóg niesie?

— Dlaczego mistrzu? rzekł Szwed, jestem uczniem tylko, uczymy się życie całe; mistrze są zesłańcami niebieskimi, jam proste człecze, ubogie na duchu. Pytasz zkąd idę; ale sądzę, żeśmy jednego plemienia oba. I ty jesteś synem północy, poznać cię łatwo po zadumanem czole, tyś artysta, nieprawdaż, jam wieśniak; witaj mi, podziękujmy Bogu, że oglądać możemy jedno z dzieł Jego i pięknych i niepospolitych, podzielmy się

szczęściem, zapomnijmy, że u nóg naszych dużo zostało niedoli i wiele błędu.

Spauer słuchał milczący, ale w tej chwili wszyscy się ruszać poczęli w dalszą podróż; kawałek jeszcze mały pozostawał do przebycia konno, nim pieszo po lawach zastygłych puścić się mieli. Kobiety posadzono na konie, mężczyźni wszyscy prawie postanowili iść piechotą, a tłum przewodników i pomocników, trzykroć liczniejszy niż towarzystwo, z okrzykami, śmiechem i trzpiotowatością dziwną, posunął się za wędrowcami. Wielu przyłączyło się do wyprawy tylko aby coś zarobić, inni w istocie czuli się potrzebnymi, bo chociaż wdrapanie się na Wezuwjusz jest niezbyt trudnem przedsięwzięciem, dla słabszych pomoc nie jest do wzgardzenia...

Wkrótce po wyjeździe z pustelni, minąwszy obserwatorjum, cała grupa w milczeniu przybyła do miejsca, gdzie potok czarnej lawy zastygłej zmuszał porzucić rumaki, które tu pod opieką kilku ludzi pozostawały.

Widok ztąd na dolinę, pełną żużli i niby zastygłej smoły, robił dziwne wrażenie, jakby dantejskiego pejzażu. Lawa, szerokim korytem przed laty z góry spadła, przedstawiała potok węgla roztopionego i nagle stężałego.

Powydymana, falista, spękana, przez głębokie szpary dymiące, dawała gdzieniegdzie dojrzeć rubinowego koloru płynący ognisty strumień, którego długie lata zagasić nie mogły.

Po tej czarnej skorupie, przerzynanej głębokimi rozpadlinami, przechodzić było potrzeba, aby się dostać w najstarszy krater zastygły wulkanu, dziś pustą dolinę, dzielącą dwa rozszarpane wybuchem przed

dwoma lat tysiącami wierzchołki... W lewo piętrzyła się płowa, sucha, dzika Somma, w prawo spiczasty wierzchołek dymiącego Wezuwjuszu.

Przewodnicy Włosi, widząc przestrah kobiet, pogląających na czarne morze węgla i szczeliny jego ogniste, na skorupę chrupiącą pod stopami i załamującą się niekiedy, poczeli się śmiać i podśpiewywać, tryumfując z odwagi własnej. W istocie niebezpieczeństwo w tej części wycieczki nie jest wielkie, trudność tylko czepiania się po skorupie czarnej z początku zraza, ogień, który w szczelinach pod stopami się ukazuje, onieśmiela, brak drogi wyraźniejszej bałamuci, ale prawie wszędzie przejść można mniej więcej wygodnie.

Niekiedy wzdęta skorupa szumowin czarnych załamuje się, ale najczęściej nie głęboko, a rozpadliny łatwo przeskoczyć, gdyż nie są szerokie. Wędrówka ta byłaby nawet daleko mniej ciężką, gdyby przewodnicy nie wybierali naumyślnie miejsc najbardziej połamanych, ostrych, szczelin najszerzych, aby na podróży zrobić wrażenie i naturalnie zwiększyć nagrodę za pracę i trudy.

Wracając zmęczeni znajdują zawsze ścieżki łatwiejsze. Człowiek roztropny mógłby z trochę uwagi sam sobie dać radę, ale w pierwszej chwili te fale stężałe, czarne, kruche, dymiące, onieśmielają... stawia się nogi z obawą.

Angielki, choć obyte z wielą wyprawami, okazały nieco przestachu, hrabina Adela oddała się spokojnie w ręce barczystych przewodników, mężczyźni nawyklejsi do niebezpieczeństwa i gimnastyki, zaczęli się nawet trochę popisywać ze zręcznością.

Do Szweda zaraz przyłgnął Spauer, Przeręba i Sestini; chociaż spokojny ten przybysz nie był wcale artystą, ale dusze, rozmiłowane w pięknie, poczuły bratniego ducha w człowieku, który ideału moralnego piękna szukał na ziemi.

— Mamy szczęście do oryginałów, rzekł patrząc z ukosa na swedenborgistę Vice-hrabia garbaty, ten także ma minę niedokończonego kwakra. Dzięki Bogu przynajmniej, że nam nie zesłał jakiego eleganta... wolę takiego apostoła.. jest to rzadka potrawa...

Spauer co chwila stawał i zachwycał się powagą widoku, dzikością tego kąta, którego pędzel tknąwszy nie śmiał, bo wiernie trzymając się prawdy, musiałby być posądzony o przesadę. Wszyscy z ciekawością zatrzymywali się nad otwartymi otchłaniami, w których błyskały ognie krwawe od dziesiątków lat płynącej lawy.

— Co za wyśmienite dziury dla samobójców, wołał garbus, jak przyjemnie możnaby w mgnieniu oka spalić się na popiół, nie zostawując po sobie ani kości na szuwaks dla niewdzięcznych potomków, ani śmierdzącego nawozu kupy!...

Kobiety krzyczały, gdy je przewodnicy przeprowadzali po nad przepaściami, ale spoglądały w nie z ciekawością bojaźliwą, przez palce, któremi oczy zakrywały. Pochód ten trwał dosyć długo, a towarzystwo musiało w ciągu tego przejścia przez czarne lawy rozpierzchnąć się nieco, i ciągnęło długim sznurkiem po nierównych płytach i złomach skorupy ognistego strumienia. Włosi, odgrywając swą rolę przedziwnie, na każdy okrzyk obawy odpowiadali wesoło:

Coraggio! coraggio!

Maccaroni col fromaggio!

Koncepcik ten aż do uprzykrzenia się powtarzał.

Najodważniejszą z niewiast była hrabina Adela; niktby w niej teraz nie poznał owej przeleklej w Campo Santo czasu burzy istoty, tulącej się z dziką obawą od błysków nieba i oczów ludzkich. Odwaga jej nawet była nieco popisową; stawiała śmiało stopę na kruchych lawy pokładach, a chrzęst załamujących się jej wydeń, wcale ją nie onieśmiał; uśmiechała się, zatrzymywała, patrzyła w szpary ogniste i powtarzała z cicha:

— Przecudowne! prześliczne! co za charakter w tym pejzażu! jaki koloryt piekła!

Hrabia Zygmunt szedł zamysłony obojętnie, niekiedy z ukosa rzucał wzrokiem na swą rodaczkę, ruszał nieco ramionami i uśmiechał się. Szwed milczał w skupieniu ducha, zdawał się modlić wewnątrz. W istocie widok tego szeroko rozlanego morza węgla, nagiej Sommy, wyschłej piramidy Wezuwjusza, poprzerywanej dymiącemi jeszcze strumieniami niedawnego wybuchu, a po nad tem lazur czysty, jasny, jaskrawy niebios, stanowiły całość dziwnie piękną i poważną. Nie był to krajobraz do malowania, ale jakby sen innego świata.

Sestini, uszczęśliwiony, po cichu szeptał żonie swe myśli o dziwnym charakterze okolicy.

— Trzebaby tu tych ludzi sprowadzić, mówił, co nie wierzą w to, ażeby natura mogła myśl jakąś wyrażać i pejzaż uważają za rodzaj podrzędny, przekonaliby się najlepiej, jak wiele mówić mogą skały, kamienie szkielety ziemi. Patrz! jak my się tu śmiesznie wydajemy wśród tej karty olbrzymiej, narysowanej ręką Bożą, jak dziwacznie wyglądają nasze stroje,

nasze figurki, nasza nicość wpośród tego jeziora asfaltowego, z pod którego skamieniałych fali bucha od lat tylu niewygasły płomień. Co za cuda! co za cuda!

Nie bez kilku ośliżnień i wykrzyków przebyto wreszcie owo morze i podróżni odetchnęli na piaszczystej, kamieniami wulkanicznymi zasianej dolinie, dzielącej Sommę od Wezuwjusza.

Tu potrzeba było spocząć i nabrać sił do wdrapania się na górę, ztąd właściwie rozpoczynało się najtrudniejsze zadanie. Przewodnicy, ocierając pot z czoła, gotowali krzesła, szlejkę skórzane, któremi ciągnąć mieli, mężczyźni silne ręce do podtrzymywania osłabłych. Wnijście na Wezuwjusz, nawet dla Anglików, którzy nieraz odbywali już pieszo wędrowki na Flegięre, Montanvert i wyniosłości otaczające Montblanc, było rzeczą wcale nową. Inna jest po dobrze utartej ścieżce, na mule posłusznym, oswoiwszy się nieco z widokiem przepaści u stóp, powolnie, wjeżdżać, lub wchodzić po twardym gruncie a choćby ostrych kamykach, na zmniejszoną krętą drożyną wysokość, a inna wleźć na taką głowę cukru jak wulkan neapolitański, stromą i zawałoną żużłami przepalonymi i ostremi, które nogi kaleczą, lub popiołem, w którym się po kostki tonie. Większa też część wędrowców każe się nieść na krzesle czterem silnym i przywykłym do tego ludziom, lub (co taniej) ciągnąć na pasku skórzanym; nie wielu, zdyszanych z biciem krwi i twarzą zbrzękłą, potrafi dobić się o własnych siłach na małą płaszczyznę, otaczającą krater.

W tak liczny towarzystwie, jak było opisane, w części z kobiet złożony, miłość własna musiała grać także pewną rolę, gdy przyszło do wyboru środ-

ków podróży. Panie. spojrzawszy na tę ścianę kamienną i bezdrożną, od razu się oświadczyły za krzeselkami, mężczyźni wszyscy chcieli iść o własnej sile, o własnych kijach, odrzucając szlejki jako coś upokarzającego, a krzesła jako oznakę słabości. Przestrzeń do przebycia, na oko nie dająca się rozmierzyć, zdawała się zrazu nie tak bardzo znaczną, aby jej rozbudzonem współzawodnictwem i chęcią popisu nie można przebyć z trochę bodajby wysiłku. Szwed tylko nie wstydził się przyjąć ramienia człowieka do pomocy.

— Będę silniejszy dostawszy się do wierzchołka, rzekł, aby tam podziwiać widok, którego, wyznaję, jestem bardzo ciekaw i niecierpliwy oglądać.

Po krótkim przystanku w dolinie, w czasie którego ledwie kilka słów przemówiono do siebie, mierząc się tylko oczyma, obawa aby się nie opóźnić i korzystać z krajobrazu o samym słońcu zachodzie, spędziła wszystkich na drogę ku wierzchołkom stromym.

Nie będziemy jej opisywali, gdyż część ta wycieczki zawsze jest prawie aż do śmieszności nudzącą, i rzadko kto kończy ją w ten sposób jak zaczyna.

Kobiety, trzymając się krzesel, wykrzykiwały ze strachem gdy się one nieco pochyłały, choć nie było cieniu niebezpieczeństwa, mężczyźni wkrótce poczuli bóle w nogach i zawrót głowy; a choć zmieniali ścieżkę, idąc to kamieniami obsuwającemi się im z pod nóg, to popiołami w których grzęźli, choć przystawali, choć im potajemnie przewodnicy towarzyszący podpomagali, choć parę razy i wino niesione w koszach i owoce orzeźwiły znużonych, nie wielu dostało się na płaszczyznę kraterową bez okrutnego i widocznego zmęczenia. Anglicy najlepiej znieśli tę drapaninę.

Vice-hrabia, który zrazu udawał olbrzyma, w pół góry na wakującym zasiadł krześle. Hr. Zygmunt, błądy, straszny, wściekły, choć padał, odpychał ludzi i pierwszy się dostał na wierzchołek, udając młodego; ale tu musiał w gorących usiąść popiołach, tak mu nogi drżały.

Wielkie do przewyciężenia trudności, trzeba wyznać, opłacają się sownie na wyżynie. Równina niewielka, wśród której czarna, zadymiona, głucho lucząca otwiera się przepaść do wnętrzości ziemi sięgająca, przedstawia pejzaż w swoim rodzaju zupełnie nowy. Cała ona zasłana jest popiołami szaremi, żuźlami, kamieniami, jednostajną barwą siarzaną, blade do żółtą okrytemi. Ten dziwny ton obrazu, dzikość jego, spustoszenie, nadają mu odrębną charakter.

W oddaleniu rozwija się daleko, daleko urocze widowisko niezmiernej panoramy, morze bez granic jak zwierciadło, wybrzeża malowane barwami pełnymi świeżości, miasta, miasteczka, góry, wyspy rozsiane w pobliżu zatoki. Wszystko to z wyżyny kilku tysięcy stóp już wcale inaczej wygląda, niż w zwykłych warunkach do jakich przywykliśmy rozległym nawet przypatrując się widokom; przedmioty skupione formują jakby z mozaiki wysadzaną mapę topograficzną, na której pasy zielone oznaczają lasy, wstęgi, ledwie dojrżane drogi, białe punkciki największe gmachy, a morze widziane z góry odbija niebiosa jak lustro z najmniejszemi szczegółami... marszczki fali nikną i przestrzeń cała zdaje się taflą szkła lśniącą. Dodajmy do tego niebo neapolitańskie z kolorytem swym gorącym, zachód słońca w łożysku obłoków najwspa-

nialej pofarbowanych, i światła strumienie oblewające najmniejszy zakątek tej niezmierzonej dali...

Pogoda przecudna sprzyja podróżnym, a białe nawet runo chmurek osunęło się powoli na krańce widnokręgu; lazurowe sklepienia zdawały się wykute z szafirowych kryształów. Ale niewiedzieć co tu było oglądać, czy to tło tak cudne, czy sam pierwszy plan panoramy, siarczysty, szary i brudno nieco wydający się przy zachwycających barwach oddali. Z ust gorętszych widzów mimowoli wyrwał się okrzyk zachwycenia... tak to było nowem, tak wspaniale pięknem, tak niespodzianie, mimo zapowiedzeń i nadziei, majestatycznym. Nim się zbliżono do krateru, nim prozaiczni przewodnicy zaczęli, grzebiąc w ciepłych popiołach, piec przyniesione jaja, (co robią dla wszystkich sądząc, że największe uczynią na podróżnych wrażenie tą kuchnią dziwaczną) widzów oczy pobiegły w stronę morza i Neapolu, a Szwed zdjąwszy z wyłysiałej głowy kapelusz, zaczął się w ekstazie milczącej modlić.

— Wielki jesteś Boże żeś to stworzył, że nam dał patrzeć na to, rozumieć, czuć, podziwiać... chwała Ci, chwała!! I na tych zgliszach świątynia Twoja! i ten spokój u stóp naszych i ta burza obok, i te konwulsyjne drgania skorupy... są to oznaki Twej potęgi... a my, maluczcy, co świat nosimy pod niedojrzaną czaszką, którą lada kamyk rozłuc może, nie jesteśmy także cudem Twej ręki!! Ale gdzież pierś coby godny Ciebie hymn zanuciła?...

I powieki zaszły mu łzami.

— Przyznam się panu, rzekł wysiadając z krzesła de la Meilleraie, otrząsając pył ze siebie i ocierając czoło, że wszystko to zakrawa na wielką decepcję,

spodziewałem się czegoś lepszego po naturze... nade-
wszystko czegoś oryginalniejszego, kanarkowe popie-
lisko... duży piec w pośrodku, a w dali... nieciekawie
namalowana mapa niedokładna. Nierozumiem nad
czem się tu mamy unosić!

-- Ani ja! zawołał Hr. Zygmunt, któremu tchu pra-
wie brakło od zmęczenia; ale podróżni powinni być
przywykli do wszelkiego rodzaju zawodów, które ich
niechybnie spotkać muszą, we Włoszech szczególnie
gdzie wszystko są miraviglia, dopóki się za odkrycie
zielonej franki nie zapłaci...

Szwed spojrział z politowaniem dobrodusznem na
rozprawiających, ale nie myślał ich drażnić przeci-
wienstwem, odsunął się cicho i patrzył z uwielbie-
niem.

Dzielił je z nim Anglik, który chwyciwszy okiem
obraz, myślał zarazem jakby pobyt na wulkanie czems
dziwnem, ekscentrycznem oznaczyć... Oświecenie ja-
kie Bóg dał nie starczyło dla niego, dekoracja była za
pospolita, chciał to mieć czego nie mieli inni, coś
uczynić czegoby przed nim nikt jeszcze nie zrobił.
Nieszczęściem wszystko możliwe było przez poprzed-
ników wyczerpanem. Kilku dziwaków rzuciło się
w otchłanie, inni, próbowali spuszczać się w przepaść
na sznurach mimo duszących siarczystych wyziewów,
nie jeden tu noc przepędził. Sir Price kłopotał się,
nieumiejąc nic myśleć całkiem nowego. Przyniesione
w koszach wino, przekąski, łakocie, owoce, które
w Neapolu zabrano, machina do herbaty i podwieczo-
rek u krateru były wprawdzie innowacją, bo nikt
prócz uczonych badaczy nie zatrzymuje się długo
wśród atmosfery przykrej, dymu i gorąca... Mimo

wielkiej chętki wstrzymania tu swoich gości, Sir Price przekonywał się iż wypadnie gdzieindziej spokojniej zasiąść do herbaty, bo tu długo wytrwać słabszym piersiom było niepodobna, tem mniej bawić się swobodną rozmową.

Ciekawsi z przewodnikami biegli nad brzeg krateru, a Włosi bez ceremonji chwyтали przechylających się za kołnierz, przestrzegając że skorupa nad brzegiem czesto się załamuje nawet pod ciężarem człowieka. Mimo dnia pogodnego i lekkiego wiatru, który dym w przeciwną stronę ku Castellamare odnosił, w głębiach ognistych tylko kłębiącą się parę i niekiedy żarzące się czerwone łono wulkanu widać było. Głuchy huk, przerywany jakby wystrzałami niekiedy, oznajmiał że uspiońy Wezuwjusz żyje i przygotowuje nową jakąś niespodziankę, na nieobrachowaną godzinę, gdy mu się zbudzić podoba.

Sir Price przyjmował gości więcej niż się sam bawił; powydobywano lornetki, szkiełka, wszyscy się rozbiegli z Włochami po płaszczyźnie żółtej, wpatrując się w szczegóły. Artyści malowali zapewne w duszy... a słońce tymczasem zapadało w morze, coraz rumieńszemi wyścielając obłokami łoże swoje. Po chwili rozpierzchnienia u brzegów krateru, zebrali się powoli wszyscy, ale tu milczenie głucho panowało; po części ze znużenia, z podziwu, usta były zamknięte.

— Dziwne to raczej niż piękne, rzekł Spauer, ale to nowa strona niezwyčajna tego oblicza natury, które człowiek turysta powinien ze wszech punktów oglądać. Jak malarz studjuje, czego wszakże w obrazie nadużywać nie powinien, tak my dziś badamy jedną z najmniej pospolitych fizjognomji krajobrazu.

Dziwne. powtarzam, dziwne! ale ażeby ten hieroglif wyczytać, popracować nieco należy.

— Tak jest, przerwał mu po cichu Szwed. my wszyscy podróżni, którym do domu spieszno, grzeszym lekkością, nie czytamy wielkiej księgi, przerzucamy ją tylko, chcielibyśmy rzutem oka pochłonąć ducha z którym żyć się należy aby się nam wypowiedział. Natura jest jak człowiek; nie odkrywa się cała z tajemną myślą swą, tylko tym co się z nią zapoznać, poprzyjaźnić czas mieli! Wędrowiec leci, migają mu zagadki. Chwyta je do sakwy podróźnej, przynosi do domu; ale gdy w chwilach ciszy i pracy usiłuje odgadnąć je. postrzega że okruszyny, oderwane od całości, tłumaczyć się nie dają, że młotem geologa odbił odrobinę, której nie pojmie, dla tego że jest odbitą.

— Są to wielkie zadania, rzekł Sir Price. ale, zróbmy naprzód plan dzisiejszego wieczora; głosujmy czy nocujemy tu w siarczastych wyziewach przy kociołku herbaty, (będziemy mieli księżyc za lampę nocną), czy zejdziemy w dolinę pustą, gdzie może być nieco wygodniej, a dla dam zdobędziemy się nawet na namiot, czy wrócimy do domu pustelnika przy obserwatorjum. Mam obietnicę dwóch biografji, do których przybywa nam trzecia z północy... od spełnienia jej nie ustąpię.

Mimo najżywszej chęci przebycia tu nocy przy kraterze i podsłuchania chrapań śpiącego wulkanu. zawołał Francuz, podobne przedsięwzięcie dla nas wszystkich, a szczególnie dla pań, byłoby zabójcze, obawiałbym się o słabe piersi. — Bądź co bądź, choć wedle legendy gorący popiół pod nogami podeszew nie pali, a ciepło tylko nogi trzyma, choć jest tu wcale wygodnie na chłodną noc włoską, ale ta siarka! ta siarka...

dym, kamienie, które niegrzecznie padają i mogą przerwać najpatetyczniejszą rozmowę rozbiciem głowy, wszystko to... każe nam powracać. Na dolinie pusto będzie i zimno, dom pustelniczy otoczony kasztanami, z widokiem swym, z wygodą i sąsiedztwem wulkanu, będzie najwłaściwszy na bezsenny nasz nocleg.

— Na nieszczęście musimy mieć wzgląd na te panie. rzekł cicho Spauer. inaczej noc przy kraterze byłaby do życzenia.

— Ale gdzież tu przysiąść, spocząć? mruczał gospodarz.

— Rozmowa toczyła się po francuzku; jeden z przewodników czy ją zrozumiał, czy się nieco domyślił, i rzekł zbliżając się.

— Nieco odstąpiwszy w bok, miejsce na odpoczynek znalazłoby się... dym nie dokucza. mybyśmy to potrafili urządzić, a ludziby się posłało na dół po wieczere. rozumie się. Excellence, że za niewygodnie spędzoną noc, nam, cośmy starego kapryśnika Vesuvio wcale nie ciekawi, bośmy się z nim obyli, potrzebaby osobno zapłacić...

— Ale rozumie się. zawołała hr. Adela, że nie inaczej zostajemy tylko tu; w domku pustelnika. który nie jest domkiem. i w którym od dawna żaden pustelnik nie powstał. nie ma nic pociągającego; jesteśmy tam jak w najpospolitszej, drogiej, i niewygodnej gospodzie. Tyle trudu poniósłszy, zróbmy przynajmniej sobie przyjemność pozostania tu do dnia. zaczekamy na wschód słońca.

Pani Price, córka jej i Szwajcarka milczały, nie okazując wielkiej ochoty uwędzenia się w siarczanych

dymach, ale reszta towarzystwa głosowała z hrabiną Adelą.

Sir Price poszeptał coś z Lady Florence.

— Zostajemy więc i rozgaszczamy się, rzekł kłaniając się, przynajmniej dopóty, dopóki wytrzymać, nie dusząc się potrafimy.

To mówiąc, rozporządził natychmiast ludźmi i zesłał ich na dół po zapasy potrzebne dla wygodnego pozostania na wierzchołku.

Hr. Zygmunt nic nie rzekł, chodził po nad brzegiem krateru i dumał, niekiedy wzrok jego zbiegał do kupki otaczającej hr. Adelę i powracał w głębie Wulkanu; Szwed, wpatrzony w krajobraz, zdawał się na wszystko obojętnym. Słońce zachodziło, a gdy ostatni jego skrawek zapadł na widnokrąg, blaski odbiły się jeszcze krwawo na obłokach, i w chwilę potem nagle gasnąć poczęły; mrok szybko rozlewał się dokoła, dalsze plany krajobrazu nikły, szarzały, ćmiły się, panorama zaczęła zmieniać się, a to co stanowiło jej największą piękność, rozległa przestrzeń morza i lądów, osłoniło się mrokiem. Na wierzchołku silne odbicia resztek światła dziwnie wyrazisto czepiały się po kamieniach i jaskrawo-żółte siarki ślady odznaczały. Ale już po głębszych zakątkach leżały brunatne cienie, coraz większe zajmujące rozmiary, a z tego widoku, przed chwilą tak wspaniałego, pozostała tylko szara korytna, i rzeczywistość dość nie powabna. Im ciemności się więcej zwiększały, tem mniej oko miało na czem spocząć, wabił brzeg krateru ze swą czerwoną głębią i jaśniejszemi barwami dymu.

Księżyc w pełni począł się ukazywać nad horyzontem, ale był jak lampa niezapalona, nie świecił

jeszcze, czekał, by słoneczne blaski pogasły, nim ze swem błędem światłem wystąpi.

Towarzystwo ku kraterowi powoli ściągać się zaczęło, tajemnicza przepaść nęciła wszystkich, a byssus vocat. Otaczający krajobraz nikał z przed oczów, każdy się przybliżał do otchłani, aby w nią rzucić wejrzenie, lub nastawić ucha na war nieustanny, głuchy, tej piekielnej kotliny, przerywany niekiedy wystrzałami, które w górę wyrzucały rozpalone kamienie. Szczęściem padały one w drugą stronę krateru.

— Smaży się dobrze w tyglu Lucypera! śmiał się wice-hrabia, ale zapach potrawy nie nęcający...

— Niezyczyłbym jednak panom i paniom, przerwał Włoch przewodnik, który podszedł do ciekawych, nadto się tu przybliżać: bywały wypadki... miejsce, na którym państwo stoicie, z pod spodu wydrążone, skorupa krucha, czasem się obłamuje, a kto się z nią obsunie...

— Requiem aeternam dona ei Domine! rozśmiał się garbus; nie ma już się po co schylać zapewne..

— Ale cóż tak straszego śmierć? przerwał, uparcie posuwając się na samą krawędź, hr. Zygmunt, przywiązanie do życia jest rzeczą zwierzęcą, instynktem bydłęcia, duch i dusza powinnyby być ciekawe nicości, lub zmiany żywota...?

— Przyznasz pan jednak, ozwał się poważnie Szwed, że nie doczytawszy jednej książki chcieć drugą zaczynać, rzeczą jest dziecinną; nigdy nie pojmował, by życie za długie być mogło na rozwiązanie tych zadań, które się w niem nastęrczają.

— A gdy komu z niem źle? spytał hrabia.

— Źle? jeśli mu źle, sam sobie jest winien: albo

jest własnym katem, lub nie umie cierpieć i duchem zwyciężyć materji.

— A jeśli cierpi na duchu?

— Sam sobie winien, powtórzył spokojnie swedenborgista, i jeszcze raz powiem sam sobie winien, bo w ducha nieśmiertelnego i czystego chorobę wszczepił.

— Sam! a więc nie ma przeznaczeń, fatalności?

— Nie ma; są tylko prawa. Kto ogień nakłada, powinien się spodziewać, że mu przy nim będzie gorąco, kto do lodu pierś ciśnie, wie że ją ostudzi.

Hr. Zygmunt ruszył ramionami i wykrzywił usta.

— Więc pan powinieneś być szczęśliwy? zapytał z szyderskim uśmiechem.

— Jestem nim, odparł powolnie i stanowczo Szwed, bez pychy i popisu, jakby się wstydził swego wyznania — pokój panuje w mej duszy, a pokój jest szczęściem ziemi.

Szatańskim uśmiechem rozległ się, po raz pierwszy może od wieków, brzeg ognistej przepaści, płomienne wejrzenie pargaminowego człowieka utkwilo w spokojnym apostołe.

— Jesteś więc pan szczęśliwy! ha, ha! doskonała farsa! zawołał Polak; to rola nowa, zużytem zostało popisywanie się z boleścią, grasz pan wcale świeżą i ciekawą.

— Nigdy w życiu żadnej roli nie grałem, rzekł cicho i spokojnie Szwed; nie sądzę, żebyśmy na ten świat zesłani byli dla wywijania koziółków jedni przed drugimi. Mój Boże! tyle jest do czynienia! ktoby miał czas myśleć o popisach? Ale ty, drogi panie, ddał ciszej, tyś widzę chory, cierpiący!

— Ja? cofając się aż na brzeg skorupy krateru,

podchwycił Żywski, ja? daj mi pan pokój! nie potrzebuję lekarza. najlepszym podobno byłaby ta łaźnia, otwarta u stóp naszych.

Wszyscy zamilkli; zimny ów, wyżyty i zastygły człowiek, dnia tego przedstawiał się całkiem odmiennie; pozostała mu tylko wzgarda życia i ludzi, ale w duszy grało jakieś dzikie, dziwne gorączkowe rozdrażnienie; małeńkie jego oczy połyskiwały ogniem wewnętrznego niepokoju. Zwracał je często na hrabinę Adelę; ona była dziś właśnie chłodniejszą, uspokojoną, obojętną, unikała tylko wejrzeń nieprzyjaciela, zajmując się wszystkiemi więcej niż swym współziomkiem i imiennikiem.

— Stanowczo dziś jakoś na zadania artystyczne nie pora, szepnął cicho Spauer do Sestinięgo, zdaje się, że nam ów apostoł od północnego bieguna przyniósł z sobą inne kwestje, na których zęby pokruszym. Są to kamienie, które wieki gryzły i śladów nawet swej paszczeni nie zostawiły na nich. Nikt nie chce tego zrozumieć, że rzucając się głową o mur, roztrzaska sobie czaszkę, gdy przystępując do niego z ręką i choćby nie wielką siłą, zwolna go podkopać i obalić może. Przez artystyczne i estetyczne kwestje, na pozór podrzędne, rozwiązują się najważniejsze zagadki życia, do których inaczej jak z boku przystąpić nie można.

Poruszył ramionami.

— Niemniej, dodał, przesłiczna to głowa tego Szwe-da i człowiek wielce ciekawy być musi; czuję do niego pociąg wielki.

Nim z pustelniczego domku przyniesiono wykwinny podwieczorek, i potrzebne do niego przybory, towarzystwo się rozpiezchło, dzieląc na drobne grupy.

Każdy szedł gdzie go pociągała sympatja i ciekawość. Hrabina Adela sama jedna zatrzymała się nad brzegiem krateru. Z oczyma wlepionemi weń, zadumała się; powoli głowa jej opadała na piersi, chwilowe wesele ustępowało głębokiemu smutkowi.

Ujrzawszy ją samą, Żywski pospiesznie przysunął się do niej, Spauer ciekawie poglądał na tę scenę niemą.

Widocznie kobieta chciała uniknąć współrodaka, którego oczy z dziwnie prześladowczym wyrazem wpijały się w nią; poczęła się cofać przestraszona, wylekła tak prawie jak przed miesiącem, gdy po raz pierwszy ujrzała go na Campo Santo.

Hr. Zygmunt nie zważając na to, był natrętnym; na jego oblicze dzika występowała namiętność, usta drgały jakimś szeptem niedosłyszczanym. Kobieta, nie zważając na niebezpieczeństwo, gdyż tuż u stóp jej otwierała się przepaść żarząca, odsuwała się żywo od niego i nogą prawie dotknęła krawędzi, której drobne okruchy posypały się w głębinę.

Widok niechybnej śmierci, na którą się narażała, wcale nie opamiętał prześladowcy; nie mógł on nie wiedzieć co czyni. Z szatańskim uśmiechem sunął się powoli, wlepiął w nią wejrzenie i popychał w przepaść. Jeszcze chwila, a hrabina miała zniknąć z oczów ludzi na wieki; zbladła, przerażona, mając do wyboru pomiędzy nim a śmiercią, zdawała się przenosić zgon nad zbliżenie do nieprzyjaciela... jedną ręką zakryła sobie oczy, aby nie widzieć przepaści, drugą przyłożyła do bijącego serca. Hr. Żywski śmiał się i naciskał ją. W tem Spauer, który stał zrazu zdrętwiały od stra-

clu, poskoczył żywo i silną dłonią pochwycił hrabinę, odrzucił ją o kilkanaście kroków, wołając:

— Nie godzi się tu tak zamysłać, pani! najmniejszy zawrót głowy może być przyczyną przypadku.

— Otarłaś się pani o śmierć! dodał Sestini, którego żona chwyciła nieco osłabłą hrabinę.

— O! nie raz pierwszy! odpowiedziała kobieta, zasłaniając oczy.

— Wszyscy prawie widzieli tę scenę, której znaczenie nie uszło uwagi zgromadzonych; na hrabiego, stojącego ze swym uśmiechem szyderskim w miejscu, obróciły się wejrzenia pełne grozy, oburzenia, pogardy, wymówek... cofnięto się od niego jak od zapowietrzonego.

— Pan..., krzyknął gniewnie Spauer, pan powinien był, widząc niebezpieczeństwo, przestrzedz, ratować!

— Właśnie dla tego zbliżałem się, odpowiedział zimno Żywski, aby panią ratować... ale znać nie życzyła sobie ramienia mego i im żywiej spieszyłem na pomoc, tem prędzej w otchłań spieszyła. Zresztą choćbym się zapomniał; dodał z uśmiechem znowu, cóż dziwnego...? wpatrzywszy się w te śliczne oczy można zapomnieć o przepaści, one są także przepaścią tajemnic? Cha! Cha!

Hr. Adela stała drżąca, Julja Sestini podała jej swój flakonik aby ją orzeźwić, artyści, wice-hrabia, Anglicy, wszyscy wiedzeni współczuciem i ciekawością skupili się dokoła ocalonej; jeden hr. Żywski, ściągany oczyma groźnemi, usunął się na bok obojętny.

— Dziękuję panu, odezwała się po chwili hrabina Adela do Spauera, rzucając nań wdzięczne wejrzenie,

nie wielkie wszakże zrobiłeś mi dobrodziejstwo ocalając życie zatrute, ani świata. któremu nie przydałam się już na nic. Śmierci się nie boję, ale umrzeć nie pragnę. dziękuję panu.

I wyciągnęła mu rękę białą, nieco chudą, ale kształtów arystokratycznych; rzeźbiarz choć w tej chwili o sztuce nie myślał, rzucił na nią okiem i całe w niej wyczytał życie. Była to pieszczona i do pieszczot stworzona dłoń niewieścia, słabiuchna, delikatna, tak wiele mówiąca jak twarz kobiety, na czwartym jej palcu prosta złota obrączka ślubna, świadczyła, że ją to ogniwo łańcucha łączyło z jakąś istotą, co ją opuściła, którą ona opuścić musiała. Błądziła teraz sama po świecie z tym kółkiem od zerwanych kajdan, jak więzień, co się wydobył z zamknięcia.

Wypadek ten, chwila ta jedna skupiła wszystkich znowu dokoła Adeli: sprawca tylko jego, hr. Żywski, świszcząc, odszedł na bok, ścigany mściwemi oczyma i zdawał się badać wewnątrz krateru, po nad którego krawędzią z rękami w kieszeni odbywał przechadzkę. Za nim jeden przewodnik posunął się uważnie, przestrzegając ekscellencję. aby nazbyt nad krater się nie zbliżał.

— Masz sznur? zapytał po chwili nagle Żywski.

— Jakto? na co? odparł Włoch zdumiony.

— No! chcę się spuścić w głąb krateru! wszakże to nie pierwsza będzie tego rodzaju wyprawa?

Włoch podumał.

— Sznury się znajdują, rzekł, ale rzecz jest nie dla was tylko ryzykowna; ja sam jeden nie jestem pewny, że was utrzymam nad przepaścią, potrzeba nas kilku, musimy stać na samym brzegu, a nuż się skorupa obła-

nie, możemy poginać wszyscy. Słuszna rzecz, abyście za to zapłacili! Potrzeba się zgodzić wprzód.

Żywski rozśmiał się. — To się zgodzimy! rzekł.

Włoch skinął na swoich, żywe rozprawy rozpoczęły się nad ceną i warunkami... ale je wkrótce zakończyła zgoda hrabiego, któremu zdawało się być pilno spuścić do wnętrza.

Szept cicho przeleciał skupionych dokoła Adeli, bo ciekawość nagle obudzoną została; zręczny hrabia Zygmunt śmiałym tym czynem, do którego się zabierał, zjednał sobie, jeżeli nie współzucie, to zajęcie powszechne. Zapomniano o świeżym wypadku, zaczęto go sobie różnie tłumaczyć, i wszyscy poczęli otaczać śmiałka, który z zimną krwią przybierał się, jak mówił wice-hrabia Meilleraie, oddać wizytę Lucyperowi. Tylko kobiety otaczające Adele osłabłą jeszcze i bladą, nie dały się zkusić ciekawości i pozostały na stronie.

Włosi, którym projekt hrabiego bardzo się podobał, gdyż bądź co bądź miał się opłacić sowicie, z nadzwyczajną wesołością, ochotą i szczebiotliwością zaczęli się gotować do roboty. Wnet znalazły się sznury, paski skórzane, ochotnicy do przytrzymywania, usłużne rady, a jeden nawet przypomniał sobie zaraz, że w swej młodości uczonego jakiegoś Abbat'a spuszczał w tę otchłań z termometrami, barometrem i różnymi przyrządy do doświadczeń.

Wiatr właśnie odnosił w bok dymy. i zdawał się sprzyjać eksploracji.

— Księżyna, rzekł stary przewodnik, miał drapieżną ochotę podchwycenia sekretu pana Boga, ale mimo tej wielkiej zarliwości, nie popasał długo, tak go

tam przypiekło, a wyziewy siarki zadusiły, że zaraz sznurem targać zaczął i musieliśmy go na powrót windować, a gdyśmy go wywlekli osmalonego i prześmierdziałego piekłem, długo dyszał nim do siebie przyszedł, i już mu termometry nie były wcale w głowie.

Hrabia, który tego opowiadania słuchał, wcale nie zdawał się niem zastraszoney, uśmiechał się obojętnie.

— Ośmielę się panu uczynić uwagę. rzekł do niego Price, iż możeby tę niebezpieczną wycieczkę można odłożyć do rana, lepiejby się z niej o białym dniu korzystać mogło.

— Przepraszam, odparł hrabia, ognie te bledną przy słonecznych blaskach, w nocy występują w całej świetności, piekło potrzebuje nocy.

Wice-hrabia przystąpił także z uśmiechem.

— Jeśli się pan zobaczysz z Lucyperem. rzekł, zechcesz mu i od nas złożyć uszanowanie.

— Nie bójcie się, to nie potrwa długo, odezwał się Włoch, zapieczętuje go zaraz i wyciągniemy za parę minut, wszakże ponieważ nie można z góry wiedzieć, jak się to skończy, zapłaćcie nam teraz, bo gdyby was co spotkać miało, byłaby nudna kwestja o nasz grosz uczciwie zapracowany.

— Aha! zawołał hrabia śmiejąc się. boicie się...

— Juściż nas przynajmniej trzech potrzeba na tę robotę, aby szła lekko, a nuż się pod nami co obłamie.

Poczęli szeptać... Hrabiego tymczasem obwiązywano jak pakunek do dalekiej drogi, wzięto go sznurem pod ręce, w pól, pasek podciągnięto pod nogi, aby nie wisiały... chwila stanowcza zbliżała się i Włosi nawet zamilkli. Z daleka kobiety poczęły spoglądać

ciekawie na śmiałka, który z krwią zimną miał się spuścić w otchłań. Hrabina Adela tylko wcale zdawała się nie widzieć, ni słyszeć i nie rozumieć o co chodziło.

Już miano przystąpić do wyboru miejsca na spuszczenie w krater Żywskiego, gdy, jakby sobie co przypomniał, odezwał się nagle zdala do hrabiny po polsku.

Dźwięk tej niezrozumiałej mowy, która tylko Przerębie jednemu nie była obcą, dziwnie się odbił w uszach cudzoziemców.

— Pozwolisz się pani przynajmniej pożegnać, odezwał się Żywski, i pożegnać w tej mowie, którąśmy się raz pierwszy w życiu powitali... powiedzieć raz jeszcze... bądź zdrowa, i dodać, bądź przekłeta! Na pozór jedno nie godzi się z drugim, w istocie doskonale się łączy. Tak jest, bądź zdrowa, żyj długo. to jest cierp długo, bądź przekłeta! bądź przekłeta. jakim ja to był z tobą i bez ciebie a dla ciebie przekłety. Nie masz się co pani łudzić, nie gram komedji, nie straszę panią nadaremnie, jedno z nas zginać tu musiało, pani się ocaliłaś, więc na mnie kolej. Śmierć w tej przepaści jest prędką i bez męczarni, wybiorę sobie miejsce, gdzie najgorętszy żar, najgłębsza otchłań, nim doleczę do dna, uduszą mnie wyziewy, sam pęd, nie poczuję konania. Wyostrzyłem dobrze nóż, którym obetnę sznury. Życie mi obrzydło przez ciebie, strułaś mi je, nie mam co z niem zrobić, chciałem się w Pizie rzucić z pochyłej wieży, ale tam ciebie nie było, a potrzebowałem cię mieć za świadka ostatniej godziny, aby ci powiedzieć: bądź przekłeta! i bądź zdrowa!

Kobieta była niewzruszona.

— Uczynisz pan jak mu się podoba, odpowiedziała zimno, nie sądź, żebyś tą groźbą zastraszył mnie i zła- mał. życie przeszłe uzbroido mnie na wszystko, śmierć czy męczarnie na ziemi, wszystko jedno dla mnie. i dla was panie. Widzieliście przed chwilą, że wołała wpaść w przepaść, niż do was się zbliżyć, przeniosłam mój zgon nad zgodę niemożliwą, nad miłość ohydną. domyślicie się, że waszą śmierć przeniosę nad nie. Ale dlaczegoż nie mielibyśmy się rozłączyć i pójść każde drogą inną? nie spotykać się i nie dręczyć? Zamiast w głąb wulkanu, rzuć się pan w inną stronę świata. świat szeroki.

— Świat szeroki! podchwycił hrabia, ale tyś na nim jedna! dopóki ja cię czuć będę, ciągnąć mnie nie przestaniez ku sobie i męczyć, jedno z nas drugiemu z drogi ustąpić musi. Dopókim żyw, muszę cię kochać i nienawidzić, pragnąć i prześladować, potrzeba to raz skończyć.

Hrabina w dłonie białe pochwyciła głowę, ale szybko oczy podniosła i nie chcąc zapewne, aby przytomni poznali po niej tajemny dramat, jaki się odgrywał między nimi, poczęła się uśmiechać. Drżała wszakże i trzęsła się, a blade już jej lice coraz straszniejsza trupia okrywała martwość. Oboje zapomnieli, że Polak także Przeręba, rozumiał co mówili i był ich powiernikiem. Zrazu nie dobrze on zrozumiał o co chodziło, ale w końcu oprzytomniawszy i odszedłszy z pierwszego zadziwienia, rzucił się ku hrabiemu, który dzikie nań wytrzeszczył oczy.

Widok artysty przypomniał mu, że obcym ten język nie był dla wszystkich. że Przeręba go rozumiał.

— Panie hrabio, zawołał. przystępując gwałtownie

malarz i ujmując go za rękę, mimowolnie uczyniliście mnie państwo powiernikiem swej nienawiści. wkłada to na mnie obowiązek, którego dopełnię: nie dopuszczę, żebyś pan wykonał samobójstwo.

Hrabia pobladł, ale uśmiech przebiegł mu po ustach.

— Odstap, rzekł, i nie mieszaj się w rzecz nie swoją, bredzisz mój kochany bazgrało, nie możesz mi przeszkodzić uczynić co zechcę, bo mogę w każdej chwili rzucić się w otchłań równemi nogami. Idzie o to tylko, aby moje samobójstwo miało pozór przypadku, a gdy mnie rozdrażnisz, to i o tym wstydzie zapomnę. Cóż? chyba mnie zwiążecie?

I wyzywająco spojrział na Przerębę.

— Daj mu pan pokój, ozwała się powoli, mnie zepchnąć chciał w przepaść może naprawdę, ale sobie nic nie robi, jest to scena komedji, mająca na celu obudzenie politowania i zakucie mnie w te więzy, nad które śmierć przenoszę. Bądź pan spokojny, ten człowiek nie umrze, nadto kocha siebie i życie, nic mu się nie stanie!

— Nie drażnij że go pani, przerwał Przeręba, nie doprowadzaj do ostateczności, możesz być powodem straszliwego nieszczęścia.

— Bądź pan spokojny, nadto go znam, odezwała się spokojnie hrabina, nie umrze, a gdyby umarł, o! doprawdy nie byłoby po kim płakać i czego się smucić, świat miałby jedną poczwarę mniej.

— Pani nie masz litości! krzyknął wystraszony malarz.

— Nie miano jej nademną, zawołała Adela, spojrz pan na mnie, widzisz tę twarz, na której boleść długa

wyryła przedwczesne zmarszczki, a gdybyś zajrzał w serce! ono się stało kamieniem, oczy wyplakały wszystkie łzy, pierś wydychała ostatek pragnienia życia! Co mi tam! Zginie on, zginę ja... oboje! na cóżeśmy się przydali światu? on, aby ludzi psuł, rozczarowywał, męczył, ja, bym ich niecierpliwością moją gorszyła? Po co żyć mamy bez nadziei? bez celu, w przepaść, panie hrabio, czego się ociągasz? będziesz mieć kartę w historii Wezuwjusza, a i na to nie zasłużyłeś. kronika miejscowa powie, że poświęcony badaniom przyrody, przypłaciłeś życiem miłość nauki.

— A w istocie zapłacę niem za inną miłość, głupszą daleko, odparł hrabia śmiejąc się dziko.

— Namyślisz się i nic z tego nie będzie, śmiejąc się zawołała Adela, znamy się zbyt dawno, nadto dobrze, bym uwierzyć mogła w twe męstwo.

Hrabia zaciął zęby, oczy mu łyskały blaskiem straszliwym, chwilami zdawało się, że się rzuci na wroga, drżał, hamował się, stał. Przewodnicy, którzy go już byli upowili w sznury, nie rozumiejąc rozmowy, oczekiwali na znak, ale Przeręba stał na straży.

— Bądź co bądź, ja na samobójstwo nie pozwolę, zawołał.

— Cicho, rzekł hrabia, samobójstwa nie będzie, milcz i nie mieszaj się do niczego, miałem myśl, przyznaję ci się, poobcinać sznury, oto nóż przygotowany. ale tego nie uczynię, rozmyśliłem się, wolę żyć i męczyć tę piękną panie, która z mojej śmierci a swojej swobody byłaby, jak widzicie, bardzo szczęśliwą. Otóż z tego nic nie będzie, ale żeby się z nas cudzoziemcy nie śmieli, spuszczę się w krater trochę, wezmę łaźnię siarczaną, brałem ją w Barége, nie uduszę się.—Prze-

ręba, któremu to szeptał po cichu, stał nie wiedząc co począć.

— Dajesz mi pan słowo, że się nie targniesz na swe życie?

— Daję ci słowo, a ty daj mi pokój i ruszaj z Bogiem, zawołał hrabia, mówię ci, idź mi z drogi, na pamiątkę masz ten nóż, jest angielski i przedziwny, kosztował w Londynie dwa funty, począwszy od sztyletu do tyrbuszona, znajdziesz w nim wszystko co tylko z żelaza Anglik dla miłego grosza zrobić może.

Przeręba się uśmiechnął.

— Biorę nóż, a dwa funty złożę w skarbonie dla ubogich.

— A teraz, rzekł hrabia do Włochów, oto wasze pieniądze, trzymajcie mnie dobrze, nie puście, będziecie mieli buona mancia.

— Coraggio! maccaroni col fromaggio! zawołali chórem Włosi, śmiejąc się.

— Bon voyage! podając mu rękę, mruknął vicehrabia, mes respects à Sa Majesté Infernale et Royale.

Anglik przystąpił także.

— A powracaj pan prędko! nie kryję panu, dodał, że ten mały epizod dzisisiejszego wieczora nader mi jest przyjemny, nadaje to mu pewien ekscentryczny charakter. Spodziewam się, że nam pan zechcesz udzielić wrażeń swej podróży.

— Ponieważ się pan puszczasz bez celu na tę niebezpieczną próbę, rzekł Szwed, niechżeby z niej wiedza ludzka coś zkorzystała, zwróć uwagę na wnętrze krateru, które mało ludzi oglądało.

Hrabia gorączkowo dał znak towarzyszącym mu

nieodstępnie Włochom, aby się wzięli do roboty, nagle milczenie głucho nastąpiło po szmerach, gdy ujrzało Żywskiego siedzącego już na krawędzi, a przewodników trzymających za sznury, Włosi nawet, zawsze weseli, przybrali postawy poważne.

Hrabia uklonił się kapeluszem przytomnym, powoli i z obawą zbliżającym się coraz na brzeg otchłani, spojrzął na Adełę, stała drżąca, uśmiechnięta, a usta jej wyrażały raczej szyderstwo niż politowanie.

Z gniewem na czole Żywski zniknął z oczów ciekawych podróżnych, sznury zadrgały, wyprężone ręce Włochów kołysały się nad przepaścią. wszyscy powstrzymali oddech. Pomalutku spuszczała Żywskiego, szepcząc tylko do siebie. Umówiono się, że hrabia, gdyby mu gorąco i wyziewy nazbyt dokuczały, ma dać znak targnieniem sznura, ale ten sygnał, którego się spodziewano prędko, czuć się nie dawał, liny były dosyć długie. Włosi powoli je popuszczali, w końcu już ich zabrakło. Żywski nie upominał się o powrót.

— Wytrzymał doskonale! zawołał Sir Price, nie musi to być tak bardzo straszne jak się wydaje.

— Konferencja dyplomatyczna z Lucyperem trwa dosyć... odezwał się wice-hrabia, możnaby go już nazad ciągnąć? probujcie.

Włosi posłuszni, a może zmęczeni, po chwili rozpoczęli windowanie do góry ciężaru, żaden znak nie dawał się czuć od dołu, zdało im się tylko, jakby przybyło wagi.

W miarę jak się zbliżał powrót hrabiego, ciekawość rosła, wszyscy poczęli się skupiać około Włochów, których twarze okryte potem, wyrażały jakiś niepokój, po sznurach poznać było można, iż Żywski

za krótką chwilę wynijdzie znowu na świat, gdyby wołał, jużby głos jego mógł być z łatwością słyszalnym. Z wielkimi ostrożnościami poczęto go na ostatku wydobywać, ale jeden z Włochów postrzegł, że ciało zmieniło kierunek, hrabia, który spuszczał się, stał na szlejce rzemiennej, był przewrócony głową w dół, nie mógł więc sobie dopomóc rękami przy wyjściu na świat, i Włosi musieli ostrożnie dobywać go, aby się o krawędź nie podrapał.

Był bezprzytomny i blady, nie dawał znaku życia...

Omdlał, czy go tam wyziewy zdusiły, nie wiadomo, ale zdawał się trupem. Wszyscy rzucili się z fiaszkami, wodą i ratunkiem, jedna hrabina Adela pozostała nieruchomą.

— Nie bójcie się państwo. rzekła z cicha, odejdzie. oprzytomnieje i do życia powróci.

Złożono go na gorącym popiele, a Przeręba począł chłodną wodą oblewać. Żywski nareszcie kichnął. To był pierwszy znak, że dusza jeszcze śmiertelnej nie opuściła powłoki.

— Na zdrowie! rzekł malarz wstając i widząc, że peredrynant oczy przeciera, jakby ze snu wstawał.

— Mówiłam państwu, że mu się nic nie stanie! powtórzyła Adela.

Włosi byli niezmiernie uradowani, że ten nieprzyjemny dla nich trup odżyć raczył, i że cały wypadek skończył się tak szczęśliwie, poczęli rozwiązywać sznury, rozcierać go i wkrótce ruszył się. wyciągnął. siadł, a po chwili powstał na nogi, spoglądając dookoła.

— Ciekawa to rzecz wewnątrz wulkanu, odezwał się

powoli, zaprawdę, ale do góry nogami a w dół głową jechać jest nieprzyjemnie.

— Mówcie! mówcie! cóżeście tam widzieli? podchwycił wice-hrabia, wszyscyśmy ciekawi bardzo.

— Nim przystąpimy do opowiadania, ja proszę na podwieczorek, odezwał się Sir Price, jest już gotowy, o ile mogłem się dowiedzieć od Włochów, jest to podobno pierwszy tego rodzaju na wierzchołku Wezuwjusza, nikt dotąd tu nie popasał, jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy na krzeselkach i u stolika pić będą herbatę ogrzaną ciepłikiem Wezuwjusza.

— Elle sera d'un gout mediocre! szepnęła panna Joly, — siarka przejmuje wszystko, dusim się od niej, herbata będzie z siarką.

W istocie Anglik z wielkim kosztem urządził na boku coś na kształt stolika, kilka krzeseł tego rodzaju. w jakich noszą podróżnych na górę, stały przygotowane dla dam, woda kipiała w imbryczkach. frukta, wina, sery, salami, przypiekały się w tej atmosferze, której wyziewy przejmowały wszystko, ale Sir Price tryumfował z podwieczorku. Dla mężczyzn były ciepłe kamienie w gorącym leżące popiele.

Wszyscy powoli gromadzić się zaczęli dokoła tej improwizowanej przekąski, ale nikt jakoś z wielkim apetytem do niej nie przystępował, budziła więcej ciekawość niż apetyt. Włosi uśmiechali się i szeptali. zarobili tego dnia sporo pieniędzy.

Po chwili kobiety usiadły, reszta towarzystwa stanęła dokoła.

— Kto przyrzekł powinien dotrzymać, odezwał się garbus, pora rozpocząć historję. a zdaje mi się, że pa-

ni hrabina, która już w Pizie dała nam pierwszy zadatek, zechce zapewne dopełnić go.

— Jestem gotową, śmiało odpowiedziała hrabina Adela. nie wiem tylko, czy widok tak dziwny, miejsce ciekawe, dozwolą państwu słuchać bardzo pospolitych dziejów. które wobec tego wspaniałego obrazu natury tak drobnieją?

Rzuciła okiem na Żywskiego, stał on blady po swej wyprawie, drżący, ale z uśmiechem szyderskim na wargach.

— Ja także, szepnął żywo, jestem w długu, należy się wam moja historia, nie myślę się o to targować, wypowiadam szczerze, hrabina da mi ton, dodał, jestem wrażliwy, zależeć wiele będzie od tego, jak ona opowie swe życie.

— Ja, odrzekła Adela jakby nie słysząc, nie mam co taić, ni się czego wstydzic, będę szczerą.

— Ja także, rzekł Żywski, będę aż do cynizmu otwartym.

Nastąpiła chwila milczenia, zdawało się, jakby te dwie tajemnicze postacie wyzywały się, mierzyły, chciały zbadać, nim miały usta otworzyć, nareszcie hrabina, po długim przestanku, rozpoczęła:

— Wspomniałam już, rzekła, o szczęśliwej mojej młodości, brzeg tej czary żywota, pełnej goryczy, los osłodził mi wszystkiem, co się zdaje zapowiadać najświetniejsze losy. Byłam jedyną córką, ukochaną u rodziców, dziedziczką pięknego imienia, wielkich majątności, a w kolebce twarz ta, dziś zwiędła, obiecywała mi piękność, której boleść rozkwitnąć nie dała. Wkrótce po urodzeniu mojem zmarł ojciec, matka pozostała wdową i przytuliła dziecię do piersi z więk-

szą jeszcze miłością, bo jej dzielić nie potrzebowała między dwie równo ukochane istoty. Mieszkałyśmy w starym zamku, odwiecznym gnieździe rodziny, który mimo wojen i burz, jakie pustoszyły naszą ziemię, uchwalał się cały, myślę się, lat temu kilka spłonęło zameczysko i sterczą dziś po niem gruzy i zwaliska, alem ja ich nie widziała.

W dniach mej szczęśliwej młodości gród był prześliczny, widzę go jeszcze przed oczyma mojemu takim, do jakiegom przywykła za dni wiosennych życia. Na wzgórzu wznosił się nad srebrzystą rzeką, spokojnie dołem płynącą, przez zieloną łąkę, na której klomby lip i olch rozrzuciła nie dłoń ogrodnika, ale sama natura, w dali za łanami złocistemi stały szumiące bory, pełne tajemnic, czarne, straszne a wabiące sobą. Były to najdalsze cele naszych przechadzek, pomnę, że te puszcze, o których głębiach tak dziwne miałam wyobrażenie, uroczo mi się wydawały z bliska; pełne były wdzięków, pełne kwiatów i cichych łąk gajowych. Matka kazała mi tak zbudować domek, do którego już chodziłyśmy na podwieczorki, a śliczna ta chatka z ogródkiem zwała się Adelinem... Zamek, którego obronne mury powoli w spokojniejszych obsypały się wiekach, pozostał tylko otoczony suchemi fosami, z których gdzieniegdzie sterczały z zielonych traw reszty gruzów i cegieł. Na okrywającej je darni ludzie i zwierzęta powydeptywali ścieżki, w głębi i na wałach porosły stare lipy. Piękny staroświecki ogród otaczał zameczysko, którego wewnątrz urządzone było ze zbytkiem i wytwornością. Pełno tu było pamiątek mojej rodziny, możnej, sławnej, a dziś w jednym tylko odkwitającej dziecięciu. Z obrazów nau-

czyłam się historii narodu, z ust matki wspomnień przeszłości.

Rosnąc otoczona tylko cieniami olbrzymiemi, wśród tych cichych, sklepionych sal i zardzewiałych orężów, spotykając na każdym kroku dzieje wielkie, stałam się mimo pieśczęt macierzyńskich, dzieckiem tęsknem, rozmarzonym i na pół duchem należącym do przeszłości. Rzadko wychylałyśmy się z tych murów. U stóp wzgórza było miasteczko z kościołem, oprócz tego na zamku miałyśmy kaplicę, szlachta okoliczna nawykła była w pewne dni roku odwiedzać stary gród, myśmy z niego nie wyjeżdżały prawie. Dużo słyszałam o nowym świecie, alem go sobie po troszę zawsze wyobrażała w stalowej zbroi, takim jakim go widziałam na obrazach pradziadowskich.

Matka mnie nie wywodziła z błędu, wiedziała ona z własnego doświadczenia, że sny dzieciństwa i młodości są najszcześniejszą dobą życia, że zetknięcie się z rzeczywistością, ściiera z nas zawsze coś, odbiera złudzenia i rani boleśnie. Wzdychając i ściskając mnie, zdawała się chcieć odroczyć godzinę, w której mi życie nagiem i strasznie ukaże. Sama wychowując mnie, unikała nawet wprowadzenia nowych ludzi w tę cichą ustron, aby z nimi nie wszedł niepokój i smutek. Przecież gdym powoli podraść zaczęła, potrzeba było pomyśleć o ukształtowaniu mnie dla tych ludzi, dla tego towarzystwa, do którego wnijsć miałam. I zaczęli przybywać obcy, ale droga matka mierzyła po odrobinie rozczarowujące ich wpływy i stopniami z dziecinnego świata marzeń uroczych wprowadzała mnie zwolna. Oprócz matki mej, bawiła na zamku od dawna wdowa bezdzietna, siostra jej ro-

dzona, ciotka, którą tu burze życia zagnały; była znacznie młodszą od niej, i zupełnie odmiennego charakteru... Niegdyś zameźna, piękna jeszcze. spędziła życie z mężem więcej za granicą niż w kraju. na szalach, zabawach, na rzucaniu się w gorące kąpiele wrażeń, on umarł straciwszy wszystko, ona z odrobinami mienia, schroniła się pod gościnny dach siostry. Konieczność tylko mogła ją zmusić do obrania tak niewłaściwego kątku na pokutę, nie pokazywała ona tego po sobie, ale po latach spędzonych w gwarze i rozrywkach, samotność ta była dla niej nieznośną męczarnią.

Przez względność dla matki mojej, tajiła się z uczuciami swemi, ale z każdym dniem przykrzej ciążyło jej odosobnienie, cisza i ten święty spokój naszego rodzinnego kątku. Całym jej skarbem były wspomnienia świetniejszych lat, z niemi zamykała się w swym pokoiku i otoczona listami, miniaturami, zeszlami kwiaty, płakiwała po doli pomyślniejszej. Piękna jeszcze, nie wyrzekała się była widzieć szczęścia nowego, ale ją to właśnie męczyło. że w zakęcie takim trudno jej było wynaleźć kogoś, coby ją znowu na świat wywiódł. Napróżno matka starała się ją pocieszać, wynosząc to życie ciche, którem sama tak dobrze wystarczyć sercu umiała. Ty masz dziecię! mówiła ciotka do niej — ja nikogo.

Dla mnie ta postać była naówczas dziwną zagadką, z niej pierwszej dorozumiałam się, że po za tą ciszą jest jakiś świat inny, ruchawszy, żywszy, dziwniejszy, alem się go więcej obawiała niż pożądała. Od opowiadań o nim trudno było ciocię powstrzymać. co chwila przychodził jej na pamięć i usta, całe dni cza-

sem powtarzała matce dzieje, o których ona dawno dobrze wiedziała. Ale mówiła raczej dla siebie niż dla niej.

W zamku ciocia była szanowaną przez matkę i dosyć pieszczoną. Poczciwa matunia moja obchodziła się tak z nią, aby jej nie dać czuć upadku, ubóstwa, zmiany losu, a im ten był przykrzejszym, tem większą delikatnością i staraniem otaczano nieszczęśliwą, która na zmianę tę zgodzić się i pojednać z nią nie umiała. Zdawało się zawsze jakby oczekiwać czegoś, marzyć o nowych losach świetnych i spodziewać się powrotu szczęścia. Nic go jej wszakże nie obiecywało.

Tymczasem gdy ja dorastałam, matka moja zapadła na zdrowiu i dziwnie w oczach nam gasła, a w miarę jak siły ją opuszczały, miłość jej dla mnie zwiększała się niepokojem o sieroctwo, które, niestety, przeczuwała już. Jam nawet przypuścić go nie mogła. Znajdowałam ją często we łzach lub na naradach z ciotką tajemnych, których celu domysleć się nie mogłam. Dowiedziałam się dopiero później, że z troskliwością macierzyńską cały plan wychowania mego i przyszłość zdawała na ręce jedynej opiekunki, jaka mi pozostać miała. Znała ona ją dobrze, ale nie miała wyboru, a mimo płochości tej kobiety, spodziewała się, że ważność nowych obowiązków jakie na nią włoży, że śmierć potrafi ją opamiętać, że sam wiek zresztą poważniejszą i surowszą ją uczyni.

Zbliżała się chwila stanowcza dla mnie, śmierć ukochanej matki, słabość jej tak powolnie zwiększała się, tak nieznacznie, takeśmy nawykli prawie do niej, żeśmy jej postępów nie widzieli, ani grożącego niebezpieczeństwa. W ostatnich czasach matka moja ledwie

na chwilę mogła wstać z łóżka, ale pogorszenia widocznego nie było, kilka razy przezwyciężyła kryzys zbliżającą się i chwytającą swą ofiarę. Przyszła ona niespodziana, straszna jak uderzenie piorunu, a mnie pieszczonemu dziecięciu, była jakby objawem pierwszym boleści życia, których dotąd nie znałam. Obawiano się o umysł mój, tak silnie uczułam zgon tej, od której łona nie oderwałam się na chwilę aż do jej śmierci.

Dziś jeszcze wytłumaczyć sobie nie umiem, jak potrafiłam przeżyć to cierpienie. ten szal to zdumienie przerażające, którem mnie napełniła strata najlepszej z matek. Długo chodziłam jak obłąkana pod brzemieniem smutku niepokonanego i dotkliwych wspomnień. Ciotka była dla mnie pełną troskliwości i dobroci, ale jej chłód, jej wesołość, środki jakich używała dla rozzerwania mnie, raniły boleśnie. Od zgonu matki, pani w domu, opiekunka moja zmieniła się bardzo, położenie jej oddziaływało na humor, obejście się na powierzchowność nawet. Z pokornego gościa, stała się panią domu. Nienawidząc tej samotności, w której kochała się matka moja, pod pozorem rozbawienia mnie, ciotka zwołana otworzyła dom jeszcze świeżą okryty żałobą.

Dawne stosunki z większym światem, z ludźmi, co ją byli opuścili, gdy osamotniała w ubóstwie, wróciły jej jako opiekunce bogatej dziedziczki, jako majątnej znowu, bo zapisem znacznym mej matki, oswobodzonej z zależności kobiecej. Pragnąc chciwie gwaru i tłumu, nie zastanowiła się biedna, że ci co ją byli opuścili, a teraz wracali. sami o swych uczuciach tem postępowaniem wydali świadectwo sromotne.

Wesołość ciotki razila mnie zrazu, ale byłam

dziecięciem. a po przetrwaniu pierwszego ciosu, i jam żyć zapragnęła i mnie musiała zawrócić się głowa.

Do wyraźnie zapisanej w testamencie woli zmarłej matki mojej. należało rozporządzenie dokończenia wychowania mego na wsi, nie mogła mnie więc ciotka wywieść. jak pragnęła. do stolicy, ale ściągnęła powoli na zamek wszystkie dawne znajomości swoje, które dostatki, swoboda i różne na przeszłość rachuby sprawadziły.

Czułam nie widząc, że w koło mnie zaciągały się nici licznych intryg, które nie tyle mnie co mienie moje na celu miały. Byłabym może nie umiała się rozpoznać wśród tego zamętu, gdyby nie prosta, zacna, poczciwa niewiasta, piastunka moja, którą także wola matki na straży przy mnie postawiła. Ona mi po cichu szeptała przestrogi, objaśnienia, ona tłumaczyła to położenie, które młodej duszy zdawało się prawie nie do wiary dziwnem. Między nią a ciotką była odraza instynktowa, jaką mają zawsze dusze prawe dla ludzi nieczystych i zepsutych; szczęściem dla mnie, ciotka nie mogła oddalić piastunki... a ta mimo świetnych obietnic i groźb, usunąć się odemnie nie chciała.

Pieszczona ale nieufna, bom serca w tych przymleniach nie czuła, dorastałam tak na zamku starym, który teraz nieustannie był odwiedzany przez nieznanym mi przedtem przyjaciół rodziny i krewnych. Ciotce ta rola opiekunki bardzo przypadła do smaku, była znowu panią, a rój pochlebców ją otaczał.

Umysł mój w tem położeniu dojrzał przed czasem. nauczyłam się inaczej tłumaczyć miłość i zapewnienie przywiązania, pieszczoty i nadszkakiwania, niżelim nawykła, nieufnem okiem poglądać na ludzi i w chi

uczynkach szukać pobudek smutnych własnego interesu. Uczyniło mnie to zawczasu rozczarowaną i poważną, co się ciotce roztrzepanej, wesołej, płoczej, niepodobało wcale.

Byłam jeszcze na pół dziecięciem, ledwie wychodzącym z wyrostka, gdy na zamku zjawił się ten człowiek. ta poczwara. która mi miała zatruć życie całe...

Chociaż hrabina wymówiła ostatnie wyrazy po cichu. głosem drżącym, hrabia Żywski dosyć uważnie słuchający opowiadania, drgnął na nie i ruchem żywym dał znać, przestrzegł, że jest przytomnym. Ruch ten obalił część przyrzędu podwieczorkowego. narobił hałasu wiele. ale hrabina wcale nań zdawała się nie zwracać uwagi.

— Państwo nie znajdujecie, odezwał się hrabia Zygmunt, że hrabina zbyt często się męczy tak długim opowiadaniem? Obraz, który nam kreśli, jest niezawodnie wielce zajmującym, pełnym trafności, ale rozmiary jego czy nie są nazbyt wielkie, do czasu i miejsca... Co do mnie, przyznam się, że wolałbym świeższym, wonniejszym odetchnąć powietrzem i zniść w dolinę... a państwo?...

Pytanie na jakiś czas zostało bez odpowiedzi, wszyscy spojrzeli po sobie.

— Jeżeli nam hrabina zapewni, przerwał wicehrabia, że nie stracimy dalszego ciągu powieści, gotowibyśmy się zgodzić na zniście do weselszej pustyni, pod cień starych kasztanów, ale...

— Ale doprawdy, rzekł Sir Price, nie godzi się przerywać...

— A jeśli siarka dusi? zawołał Zygmunt.

— Położenie w bliskości krateru, dodał, rzucając

nań wejrzenie z ukosa garbus. ma swe dogodności... gdyby komu z nas życie się uprzykrzyło, mógłby je bez wielkich trudności pójść dokonać w łonie otchłani.

— Tak... zapewne. rzekł uśmiechając się Żywski, ale gdyby to koniecznie komu było potrzebnem, jak się panu zdaje... wszakże bardzo nie opodał od obserwatorjum jest owe morze asfaltowe, którego szerokie rozpadliny równie są dogodne dla amatorów?... Płyną w nich lawy, których ogień starczy na usmażenie nie jednego, ale tysiąca ludzi.

— Dziwaczna myśl, rozśmiał się Szwed, który w milczeniu słuchał, nie godzi się jej żartem nawet rzucać. Każdy człowiek ma zbyt wiele do zrobienia na ziemi, by życiem szafował!

— Wotujmy! rzekł po angielsku Sir Price, schodzimy czy zostajemy?

— Schodzimy! zwołały kobiety, przechadzka nocna po księżycu do obserwatorjum będzie miała wiele powabu, a przyznać potrzeba, że tu dusi nieprzyjemnie, hrabina dokończy historii na dole.

— Jeśli potrafię... cicho odezwała się Adela.

— O! bez żadnych wymówek.

— Więc jak potrafię... poprawiła się hrabina.

Włosi widząc poruszających się od stolika swych gości, domyślili się, że schodzić zapragną, w chwili wszystko było do łatwiejszego nierównie spuszczenia się gotowem. Krzesła, kosze, stolik pochwycili na ramiona i śmiechy tych pustych dzieci neapolitańskiego nieba rozległy się na wulkanie. Opuszczali go z widoczną przyjemnością.

Zniście na dół jest igraszką i nie zajmuje ani części czwartej czasu, jakiego wymaga drapanie się na

wyżynę. Wielu śmielszych puszcza się przez popioły biegiem i spada jak kula w dolinę.

Zwykle dwóch ludzi podtrzymuje pod ręce i z pędem wichru ściąga ofiarę zdyszana na dół. Po stromej płaszczyźnie i grubym pokładzie popiołu odbywa się to z niepowstrzymaną szybkością, która się coraz zwiększa i w końcu staje niepowstrzymanym biegiem kuli, ciśniętej siłą nieprzewyciężoną w powietrze. Przy największej chęci pohamowania się w biegu. w końcu zatrzymać się już niepodobna, aż w opustoszonej dolinie u podnóża Sommy, starym zapewne kraterze, który świadczy o wybuchu co Wulkan rozdarł niegdyś na dwoje.

Dla kobiet wszakże urządzone zejście nieco powolniejsze, z większemi ostrożnościami. mężczyźni zaś w większej części rzucili się na losy, ślepo w tę ciemną przepaść, którą wąski pas bladego światła księżycowego przecinał. Spauer i Sestini ujawnszy pod ręce piękną Julję. pobiegli z nią przez popioły i hrabina Adela powierzyła się dwom Włochom, którzy ją znosili na krzesła, nie wiem pod jakim pozorem hrabia Żywski uczeplił się z tyłu i szedł w ślad za nimi. Gwar, który panował w tłumie przy zniżściu, nie dozwalał nikomu posłyszeć rozmowy, jaka się w tej chwili półgłosem poczęła.

Hrabia Zygmunt idąc za Adelą, rzekł z cicha:

— Pani z prawdziwym, z wielkim talentem opisujesz swą przeszłość, ale jako trochę artysta, a przynajmniej dyletant, któż dziś się nim nie nazywa i nie jest? ośmielił bym się uczynić jej uwagę... zbytek szczegółów szkodzi ogółowi obrazu... zmniejsza wrażenie... a pewne postacie. na które rzucone zbyt jaskrawe światło, z tragedji gotowe uczynić karykaturę.

— Alboż w tragedjach nie ma także poważnych karykatur, to jest poczwara? przerwała hrabina Adela, prawda każe malować je takimi jakimi są.

— Niebezpiecznie to czasami do zbytku być prawdziwym! szepnął hrabia.

— Nie chodzi mi zresztą o ważność artystyczną powieści, zawołała Adela, a innego niebezpieczeństwa nie rozumiem.

— Nie drażnij pani, nie drażnij, szepnął Żywski zwieszając się nad jej krzesłem. tak, że gorący oddech jego nad swą głową uczuła, obojętne to sprawy dla obcych, obojętne może dla kogoś więcej jeszcze, ale mimo to... nuż się gdzie... jakieś zgasłe... dzikie namiętności przebudzą? do czego je wskrzeszać.

Hrabina milczała zagryzając usta.

— Przepraszam za te uwagi, dodał hrabia.

— Nie przyjmuję ich. odrzuciła Adela, mówię jak czuję i myślę.

— Wszak ci między mną a panią, nie ma, nie było i być nie może żadnego stosunku, szeptał pargaminowy, ale nosimy jedno nazwisko, jesteśmy dziećmi jednej ziemi, ludzie są posądzający i złośliwi, któż wie, czy się komu nie zamarzy upatrzeć w nas, we mnie, jakiej postaci opowiadania... naprzykład owej poczwary?

— A jeśli ją upatrzą?

— Może to być nieprzyjemnem... któż wie... może niebezpiecznem.

— Co za niebezpieczeństwo mogłoby grozić? komu? ja się niczego nie obawiam.

— A gdyby ono nie pani, ale komu innemu groziło?

— O! temu to nie wierzę, są ludzie, którym jedno

tylko zagraża. że nigdy poprawić się i upamiętać nie potrafią.

Ta przerywana rozmowa doprowadziła ich do dołu, hrabina parę razy krzyknęła, ale dojechała szczęśliwie w dolinę, gdzie na nią wszyscy już niecierpliwie czekali.

Pierwsza część jej opowiadania zakończona zapowiedzią zjawienia się postaci, która grać miała stnowczą rolę w dramacie, obudziła ciekawość, ale w dolinie tej smutnej reszty wieczora i nocy spędzić nie było podobna, taki w niej chłód wiał i smutek, że potrzeba było znowu po nocy przebywać rzekę czarnej lawy, aby się dostać do pustelni. — Pomimo starań przewodników, idących przodem, pozapalanych latarek i troskliwego ich obejścia z podróżnymi, zabrało to więcej czasu niż we dnie, szczeliny z rozżarzonemi głębiami świeciły straszniej, a ciemność każdy krok czyniła mniej pewnym i na pozór niebezpieczniejszym. Milczenie przerywane tylko wykrzykami tych pań, panowało w ciągu przeprawy, artyści stawali, by podziwiać ów krajobraz dantejski, pełen surowej, wielkiej, uderzającej piękności, osłoniony ciemnościami nocy w pół przezrocznemi. Księżyc, który się był podniósł do góry, rzucał niekiedy światło blade z pomiędzy białych chmur, okrywających niebo. podobnych do wełny świeżo ostrzyżonego runa.

Nareszcie milczący, uspiiony gmach obserwatorium ze swemi kratami żelaznemi, ukazał się oczom wędrowców, byli już niedaleko pustelni, w której Anglik jak najwytworniejsze przygotował przyjęcie.

Wszystkie lampki i świece, jakie na prędcie znaleźć było można, gorzały w szczupłych pokoikach na dole, a służba z Neapolu kręciła się około wieczerzy dla podróżnych.

Cywilizowany człowiek, któremu ciężko dłużej wytrwać we cztery oczy z dziką naturą, przywykły do wygódek pieszczonych, do tego wszystkiego co wieki przysposobiły dłoń, do czego od dzieciństwa się przyuczył, mimowolnie uśmiecha się zawsze na widok tych owoców wieków, które go uwalniają od osobistego zajmowania się sobą i ułatwiają mu życie. Wszyscy niemal z wesołością po niewielkich trudach znaleźli się dokoła stolika, na kanapach i krzesłach tej pustelni, która dziś w istocie jest gospodą i niesłusznie nosi to nazwanie dawne, przypominające tylko, że tu kiedyś stała chata samotna jakiegoś eremity. Jak w Capri, pustelnik tutejszy jest po prostu spekulantem, oberżystą.

— Teraz, rzekł vice-hrabia de la Meilleraie, jesteście jak w domu, i spodziewam się, że nam nic nie przeszkodzi dosłuchać historii hrabiny, przerwanej właśnie w miejscu najbardziej zajmującym... a potem biografii pana hrabiego...

— Moja wcale zajmującą nie będzie... rzekł siadając pargaminowy.

— Więc możebyśmy przystąpili do rzeczy... naglił Francuz, później znowu noc, znużenie, brak czasu, mogłoby nas pozbawić najmilszego opowiadania.

— Pan jesteś nielitościwy, szepnęła hrabina Adela.

— Dług jest rzeczą świętą.

— A gdybym się decydowała pójść do Clichy?

— My byśmy wszyscy poszli za nią, kłaniając się odparł grzeczny Francuz.

— Ale na czemże stanęliśmy? spytała hrabina.

— Na zjawieniu się poczwary! zawołał garbaty. Następuje, jeśli się nie mylę... opis potwora.

— A! potwór mój naówczas, gdy się zjawił, powierzchownie przynajmniej nie był tak straszliwym, jakby dla obrazka powieści pożądać można... mówiła zwolna hrabina. Był to mężczyzna bardzo przyzwoity. którego wieku tylko odgadnąć nie było podobna. Miał pozór młodości, co nigdy świeżą nie była. twarz bladą, smutną, niekiedy błyskiem okiełznanych namiętności, jak ogniem piekielnym rozświeconą. Obejście jego było miłe, grzeczne, pochlebne, ale zimne, umiał zresztą przybierać różne odcienia, grał wybornie nieszczęśliwego, potrzebującego pociechy, duszę czułą i skaleczoną. szlachetnego i pełnego poświęceń bohatera, rycerza starych romansów i tajemniczą zagadkową postać nowej powieści.

Na młodej jak ja istocie mógłby był nawet wielkie uczynić wrażenie, gdyby mnie jakiś instynkt opiekuńczy od razu nie ostrzegł i wstrętem nie nappełnił. Miałam odrazę od tej sztucznej figurynki. której wszystkie fałsze dziecinne moja poczuła szczerota.

Poczwarą, jak się później przekonałam, była niegdyś kochankiem mojej cioci, która ją ściągnęła dla siebie w imię wspomnień szczęśliwych czasów, ale przybyła nie dla niej. z gotową rachubą, że potrafi przez dawną kochankę pozyskać rękę wychowawcy sieroty... nadewszystko bogatej dziedziczki pięknego imienia.

Zadanie było dosyć trudne, ale ciocia już niezbyt

młoda, namiętnie rozkochana w poczwarze, a poczwara umiała korzystać z miłości, której wcale nie podzielała. Cioci zdawało się, że potrafi się wydać za dawnego kochanka, wkrótce się jednak przekonała że utrzymać go inaczej nie potrafi, jak poświęcając mnie. Rozpoczęły się trudne, niegodziwe intrygi...

Na chwilę nie byłam złudzoną, widziałam jasno przyszłość, postanowiłam się bronić, ale miałam do czynienia z nieprzyjacielem silniejszym nademnie...

Mamże odsłonić nawet najboleśniejszą stronę tych dziejów? Tak jest, abyście mnie zrozumieli i ulitowali się nademną, należy wstyd zrzucić fałszywy i spowiadać się nawet z upokorzeń. Dorastałam, gdy dawny kochanek ciotki zjawił się na zamku, serce moje, budzące się w piersi, już nie było wolnem, biło ono dla młodego chłopaka, towarzysza zabaw dzieciennych, ale niestety, położeniem towarzyskiem oddzielonego odemnie.

Miłość rodząca się ku niemu, coraz gwałtowniejsza im oboje dojrzewaliśmy bardziej, dawała mi jasnowidzenie położenia, byłam panią mej woli, mogłam sobą rozporządzać, bylebym doczekała pełnoletności. Postanowiliśmy jej czekać cierpliwie. Mój ulubiony był synem starego rządcy dóbr matki, chłopcem ubogim, ale starannie wychowanym, natura obdarzyła go tak, jak ona czasem umie wydziedziczonych obsypywać. Powierzchność, umysł, serce, talenta, miał wszystko, miał to, co nad wszystko ceniłam, wielką prawość charakteru, szlachetność duszy, posuniętą aż do heroizmu, kochał też mnie w milczeniu wcale nie spodziewając się szczęścia, bo mu stały na zawadzie: moje imię i miliony, rodzina i mienie. W najśmiel-

szych swych nadziejach roił zdobycie wielkiej sławy i wielkiej fortuny, aby jako równy mógł stanąć w szeregach moich pretendentów.

Staś przywykł był codziennie przychodzić do zamku, ciotka zrazu sama go dla siebie bałamucić usiłowała, ale w prędcie się tego wyrzekła. potem wspólnie z poczwarą starała się go okryć śmiesznością, ale mój luby choć dzikie nieco dziecię wsi, potrafił wyjść zwycięzko z zastawionych nań sideł. We mnie też obudziła się dusza na widok tych knowań, których cel codzień dla mnie stawał się jaśniejszym.

Ciotka nie mogąc inaczej, postanowiła go oddalić dobrodziejstwem. Stanisław skończył był nauki w kraju, ojciec nie mógł łożyć na dalsze wykształcenie, miał bowiem liczną rodzinę. Jednego wieczora ciocia zawoławszy go do siebie, rozczuliła do łez przypominając mu jego wielkie zasługi dla naszej rodziny, napomknęła delikatnie, że ś. p. matka moja niedosyć je może wynagrodziła, że ona czuła się w obowiązku spłacenia tego długu, i wychwalając talenta Stasia, ofiarowała się ojcu kosztem własnym wysłać go za granicę. Staruszek się naturalnie rozplakał, wziął to wszystko za dobrą monetę i gotów był już syna wysłać. Tego tylko chciano, spodziewano się, że o sobie zapomniemy, że miłość dziecinna wyleci mi z głowy i serca, tymczasem poczwara miała użyć wszystkich środków zdolnych oczarować, pociągnąć, a nawet zmusić ofiarę do poddania się.

Hrabina zakryła sobie oczy.

— A! uwolnijcie mnie państwo od dalszego opowiadania, rzekła, zapominam się, nie umiem kłamać, nie potrafię tego dramatu ułożyć tak, jakbym powinna,

osłonić przykrych dla mnie wyznań, prawda mnie pociąga a wstyd hamuje.

Chwila głuchego milczenia nastąpiła po tym wykrzykniku bolesnym.

— Zdaje mi się, przerwał hrabia Żywski sucho z dzikim uśmiechem, że pani zbyt au pied de la lettre bierzesz obowiązek spowiedzi przed nami, nikt bolesnych wyznań wymagać nie może.

— Ale ich zboleła potrzebuje dusza, zawołała Adela, zbyt długo nosiłam je w sercu zamknięte, dusiły mnie. Wierście mi, spowiedź tak jak ją pierwsze wieki chrześcijaństwa pojmowały, jest czasem potrzebą dla cierpiącego człowieka, pragnie on poskarżyć się, choćby obwinić przed Bogiem i światem, aby wylać z siebie tę żółć i gorycz, które mu życie na piersi zważyło.

Hrabina zamilkła. twarz Zygmunta stała się bledszą i żółtszą jeszcze niż zwykle, a oczy słuchaczów mimowolnie zwróciły się na te dwie postaci, które instynktowo każdy łączył w myśli.

Nikt się nie odzywał, po chwili milczenia przeciągłego, hrabina mówiła cicho:

— Ulubiony mój nie odjechał wszakże, potrafiłam go wstrzymać. Naówczas zamiast stawić przeszkody między nami, szatańską rachubą zapomniano na pozór o nas, pragnąc, abyśmy i my się zapomnieli. Nie mogąc inaczej mnie złamać, obrachowano, że skompromitowana w oczach świata, uwiedziona, nie mogąc się połączyć z kochankiem, będę musiała oddać rękę pierwszemu, kto mi dłoń wyciągnie, że upokorzona, zostanę jego niewolnicą, że milczenie jego i przeszłość okupię ofiarami, jakich po mnie wymagać będą! Plan był skreślony z przewrotnością, której dwoje zakochanych.

ślepych, namiętnych młodych ludzi odgadnąć nie mogło, potrzeba było, abym nieszczęśliwa do nich, jako do zbawców wyciągnęła ręce. Stało się jak chcieli, jak przewidywali. Dano nam zupełną swobodę, zostawiono nas. biegaliśmy we dwoje na długie przechadzki, obojgu nam zawróciły się głowy, i szlachetny mój drogi, jak ja, zapomniał co nas od siebie dzieliło. Rozumowaliśmy, iż ciotka widząc to przywiązanie tak silne i stałe, wyrzekła się stawać mu na drodze. Tych kilka miesięcy szczęścia było całym wydziałem jego, jaki dla mnie zachowało życie, ale jakżem drogo opłacić je miała! Szpiegowano nas, a gdy on i ja śniliśmy o przyszłości, która jedna terażniejszość uniewinnić mogła, poczęły się ciche intrygi dla oddalenia go. Jak piorun spadła na nas nieuchronna dłoń służba wojskowa, do której został przeznaczony.

Padłam na kolana przed ciotką, wyznając jej wszystko, że przed Bogiem przysięgam być jego żoną i jakikolwiek będzie los jego, podzielić go muszę, ale ciotka pocieszając mnie z uśmiechem, zrozumieć niby nie chciała. Z szybkością odurzającą następowały po sobie wypadki, on natychmiast oddalić się musiał, położenie moje stało się straszliwem.

Wpadłam w rozpacz. w chorobę, w obłąd jakiś. w czasie którego przerażając mnie utraconą sławą, wstydem, odrzuceniem od społeczeństwa, zmuszono nie wiem jak. do oddania ręki memu prześladowcy, który się ofiarował dać mi swe imię. i przyszłość pokryć zapomnieniem.

W chwili gdym przystępowała do ołtarza przyniesiono wieść o śmierci Stanisława, który zmarł z gorączki na obcej ziemi, sierota! Trupa bez duszy po-

wiółł niecny spekulator przed ołtarz. usta moje nie wymówiły przysięgi. łzami milczącemi odpowiedziałam na zapytanie księdza. nie wiedziałam co się ze mną działo, alem odeszła jako żona tego człowieka od kapłana, który pomieszanu i głuchocie swej przypisał postępowanie moje.

Z dniem tym rozpoczęło się życie męczarni nie opisanych, niewoli, rozpaczy. W człowieku tym chłód mój obudzał jakąś zazartość i wściekłość dziką. chciał mnie zmusić do posłuszeństwa, do pokory. chciał złamać, broniłam się jedną bezwładnością tylko. Ani łyzy, ani widok cierpienia, serca jego poruszyć nie mogły, oczekiwał zawsze od czasu, od słabości, od nędzy mej i osierocenia tego poddaństwa, którego wymagał, smaگاł mnie szyderstw, przypomnieniami, nielitościwem obejściem.

Przed obcymi oboje graliśmy komedję, bo dbał bardzo o to, aby świat nie wiedział tajemnicy tego życia. przy ludziach więc był najczulszym małżonkiem. jam musiała przez wstyd uśmiechać się i okazywać jeśli nie czułość, to pewny wzgląd dla tego, który zwał się mężem moim. Nieraz po dniu przebytym w takiej walce z wewnętrznemi uczuciami, padałam jak nie żywa, naówczas przychodził zimny, szyderski i rzucał mi w oczy żarem wspomnień, wyrzutów, rad, obelg i zdawał się pragnąć wypróbować, ile niewiasta znieść może.

Znosiłam przecie długo, wieki, i Bóg widzi. żem cierpiała z rezygnacją, z pokorą, żem cisnęła to biedne rozszarpane serce, aby nie wyskoczyło z piersi, aby przez usta nie wylało się potokiem przekleństw. W takich to męczarniach przeszła młodość moja, krótka, bo

rozpacz wypala, zestarza, niszczy, bo łyzy wynoszą z sobą po trosze siły żywotnych. Cierpienie stwardniło wreszcie piersi, zastygłam, ogłuchłam, przywykłam. pan Bóg mi dał nieczułość jako oręż przeciwko mojemu nieprzyjacielowi, postrzegł sam nareszcie, że biciem tem uczynił mnie nieprzystępną boleści, zrozpaczył po latach wielu, aby mnie mógł złamać i uczynić tą niewolnicą posłuszną i uśmiechającą się, jaką chciał mieć we mnie. Jednakże nie opuszczał mnie, nie oddalał się na krok, ale żółć i złość zjadły go jak mnie, wyszechł, znękał się prześladowaniem, bo ten, który się zмага na chłosty, cierpi równie ze swą ofiarą. Okrucieństwo przeciwne naturze ludzkiej cięży zarówno prześladowcy i prześladowanemu. tryumfuje on pozornie, ale w duszy jest dręczony i szarpany niepokojem.

Gdy jam nabywała zdrętwiałej nieczułości, on coraz więcej cierpiał, zwycięzca czuł się upokorzonym, smagał już tylko trupa, którego razy nie bolały, życie i dla niego stawało się nieznośnem, a w oczach dzikich błyskało obłąkanie. Znużony dawał mi dłużej wypoczywać, sam potrzebując wytchnienia i pokoju, którego nie miał dręczony zgryzotami. Staliśmy jak skuci jednym łańcuchem przeciwnicy, jak dwóch galerników, zbrodniarzy, nienawidzących się, a zmuszonych żelaznem pętem do nieodstępnego ścigania się dniem i nocą. Ale dla mnie życie stało się już machinalnem dotrzymaniem do godziny, której zbliżanie się czułam z każdą chwilą.

Na ostatek tyran uznał się zwyciężonym, niepokój jakiś, milczenie, osłabienie zdradzały go. Ciotka moja, która poszła była za męża, za wynalezionego jej w nagrodę za sprzedanie mnie, wdowca, bliskiego krewnego poczwary, nadjechała na radę tajemną.

Nie kryli się prawie z nią, przez w pół otwarte drzwi słyszałam ich rozmowę.

— Patrz pani na mnie, mówił hrabia, przypatrz się co ze mnie to upragnione szczęście uczyniło, jestem trupem chodzącym, a ona uśmiecha się, żyje, patrzy, rachuje może jak rychło się mnie pozbędzie.

Niczem jej złamać nie potrafiłem, alem sam się rozbił o tę kamienną kobietę, dalej w tej niewoli nie wytrwam. Myślałem, że z czasem podbiję ją, zwyciężę, zmuszę choćby do pozornej dla mnie miłości, posłuszeństwa, poddania się; trud był próżny, ona dziś panią, jam zabity i bezsilny.

— Boś użył środków, rzekła ciotka, które żadnej kobiety nigdy nie pokonały, chciałeś ją zmódc siłą, potrzeba było łagodnością i słodyczą.

— Nienawidzę ją.

— Zdaje mi się, że ona ci się sowicie za to wypłaca.

— Cóż począć? ja umrę, ja tak dalej spętany iść nie mogę, jeszcze rok, oszaleję lub zdechnę, rzekła poczwarą, musimy się rozdzielić.

— Cicho, zawołała ciotka. opłaci ci się czem zechcesz. bo jest jak ty znużona, umiej że się wytargować przynajmniej.

Na te ostatnie słowa wbiegłam do pokoju.

— Nie potrzebujesz, rzekłam dumnie. ani się targować, ani mi swobody pokazywać zdala, by mnie zmusić do ofiar. Jestem do nich gotowa, bierz co chcesz, a niech te więzy nieznośne prysną, każ napisać umowę, zostaw mi czarny chleba kawałek a oddaj ciszę, swobodę i uwolń od widoku tej twarzy, która jest dla mnie głową Meduzy... mrę gdy na nią spoglądam.

Oboje zamilkli, on się tylko nieco uśmiechnął,

nie wątpię, że z mojej chęci oswobodzenia byłby skorzystał, gdyby go jakiś wstyd nie powstrzymał, w ostatniej chwili chciał udawać wspaniałomyślnego, rozstaliśmy się nareszcie. odzyskałam życie! Ale któż mi mógł wrócić lata stracone, młodość, wiarę w to wszystko co dla mnie wprzód jaśniało, co dziś obrzydzenie budziło. Wyszłam z tych zapasów złamaną, zastyglą, zubożniałą, taką jaką mnie widzicie panowie, istotą która jak upiór błądzi po świecie nie mogąc się nigdzie zatrzymać, nieumiejącą kochać, niechęcą się spodziewać, uśmiechająca się do śmierci, żyjąca w przeszłości krótkiej, w tej oazie zagrobowej, którą codzienne łyzy odżywiają.

Kończyła cichym szeptem, wszyscy stali z wyrazem politowania i współczucia, przejęci, zdziwieni. Tylko panna Joly, troskliwa o swą wychowankę, w ostatnim ustępie opowiadania starała się do uszów jej nie dopuścić zbyt gorących wyznań hrabiny. Zdaje się, że właśnie ta troskliwość Szwajcarki sprawiła, że młoda Angielka najchętniej pochwyciła ostatnie epizody.

Nawet żartobliwy wice-hrabia garbaty stał długo milczący i zamysłony, nie mogąc się zdobyć na dowcip; blada twarz hrabiego Żywskiego zdawała się kamienniejszą niż przedtem. śladu uczucia na niej nie było, widać historja ta nie poruszyła go wcale, z brwiami namarszczonemi patrzył przed się i dumał.

Szwed, który słuchał ze łzami w oczach tych zwierzeń biednej niewiasty, pierwszy usta otworzył. Wyrazy jego wywołała wewnętrzna potrzeba. mówił jakby sam do siebie z przejęciem głębokiem.

— Otóż jedna z licznych ofiar tego świata, jedno z milionowych świadectw o potrzebie głębszego zaszczepienia wiary w ludzi, którym od lat prawie dwóch

tysięcy opowiadają próżno ewangelję. Na jej tyranach jestże ślad, że ich obmył chrzest, że ich uczono kochać, że im wszczepiono miłość dla wszystkich od kolebki? Chrystus przyszedł, wygłosił prawdę, umarł za nią, apostołowie ponieśli ją w świat i opieczętowali męczeństwem, duch Boży podyktował księgę praw, które miały panować społeczeństwu. I stał się cud! nawróceni zostali nieliczni, a tłumy, żegnające się krzyżem, nie przyjęły go do piersi, krzyż spoczywa na sercach, a w sercach go niema i nie było. Jesteśmy bracia, chrześcijanie, dzieci Boże? Cud w istocie, prawda jasna jak słońce, której miliony zapierają się codziennie uczynkami. Potrzebaż nowego Chrystusa. co by odżywił krew i słowo pierwszego?

Jaka różnica dzisiejszej ludzkości od pogańskiego społeczeństwa? Przerazająca dla nas; tam nie znano prawdy i kierowano się fałszem. dziś uznajemy ją, wierzymy w nią a postępujemy wedle innego przeciwnego jej prawa. Miljony idą do ołtarzów, modlą się Bogu co ją głosił, i wychodzą od ołtarzy poganami.

Straszliwy i obrzydliwy cud, słońce świecące a ludzie oślepli, niechący widzieć światła. Niepotrzebaż znowu aby powstał apostołowie, aby wyszli nowi męczennicy, coby krwią odżywili zeschlą ewangelję?

Wszyscy słuchali bacznie, jeden Spauer zbliżył się i ujął starego Szweda za rękę z uczuciem.

— Święcie mówicie, rzekł, nauka Chrystusowa ażeby się stała czynem, istotą, potrzebuje nowych apostołów, świat ją wyszpecił, zapomniał, przywiązał się do słów, do form, zubożył na duchu. Chrystusa męczym i krzyżujemy na nowo. Zapieramy się go codziennie. Co mu po tych kościołach, które bezpłodna

fanatyczna wznosi pobożność, gdy wygnany jest z domów. gdy go nie ma w rodzinach naszych, w życiu. i gdy ten Chrystus stoi dziś jak Deus ignotus w Rzymskim Pantheonie. gdy obok jego krzyża płoną ofiary bałwanom interesu, samolubstwa, bezwstydu, gdy...

Spauerowi wyrażen zabrakło.

— Nie ma wåtpliwości, odezwał się uśmiechając nareszcie de la Meilleraie, za dalekośmy odeszli od ideałów pierwszych wieków, ale jakaż na to rada? Co dzień szczepi się głębiej nie już niewiara, ale obojętność na wszystko. Łatwiej było nawracać pogan niż odstępców chrześcijan, dziś apostołów wysłanoby jako ludzi niebezpiecznych... do Cayenny...

— Ale noc późna, panowie, mamy jeszcze dwie spowiedzie do przesłuchania, dodał hrabia, wskazał na Żywskiego, zdaje się niecierpliwie oczekiwać kolei. a nasz nowy znajomy, obrócił się do Szweda, nie odmówi też zapewne.

— Uczynię co zechcecie. odezwał się Szwed, żywot mój nie ciekawy. Cały wewnętrzny. nie ma w nim wypadków, są walki myśli, są prace ducha, są trudy serca bijącego dla prawdy.

— Co do mnie, odezwał się Żywski z uśmiechem wzgardliwym, radbym, żebyście mnie państwo uwolnili od tego dziecinnego zadania; każdy z nas mimowolnie musi być swym apologistą. nikt się obwinić nie zechce, jest to więc stek bajek, który sobie prawimy, po co? na co? dla czego?

— A choćby dla uczciwej rozrywki. rzekł garbaty.

— Nie ma więc powodu, żeby nie kłamać?

— Nie mamy i środków dojścia prawdy, jeśli jej

nam uczucie wewnętrzne nie wskaże, rzekł Spauer, ale bajka najkunsztowniej obmyślana ma na sobie cechę ludzkiego dzieła, najpospolitsza prawda wyższą jest nad nią niezmiernie.

— Słuchajcież państwo mojej bajki, przerwał niecierpliwie hrabia. Macie przed sobą człowieka, który w swych żyłach przyniósł na świat przychodząc do życia: potrzebę walki, nienawiść ludzi, wzgardę dla nich i niewiarę w ideały. Nie pamiętam ani potrafię wytłumaczyć, kto mnie uczynił takim jakim jestem, nie brakło pieśczoć u kolebki, miłości w zaraniu, słodkiego mleka, macierzyńskiego przywiązania, a jednak pomnę, wszystko to niecierpliwiło mnie dzieckiem, największą miałem przyjemność wypłacić się szatańską złością za czułość mi okazywaną, gryzłem pierś, która mnie karmiła, mściłem się za przywiązanie, nienawidziłem szczęśliwych, śmiałem się z dobrodusznych. Jeszcze nie dorósł a jużem zestarzał. Wszystko wydawało mi się śmiesznem, najpoważniejsze rzeczy dzieciństwami, życie głupią farsą, wcześniej dostrzegłem i postanowiłem myśleć o sobie, zrobić dla siebie co było można, i w żadne umowy ze społeczeństwem nie wchodzić, bo w każdym takim kontrakcie człowiek jest zawsze oszukany. Przyznaję się, choć to trochę stara teoria, że nad interes nie widział nic serjo. Przywiązania, są to chwilowe popędy, przeciw którym potrzeba się bronić, ofiary są po prostu śmiesznością, wstyd jakim starają się ludzie utrzymać jedni drugich na wodzy, łapką na tchórzów, nigdy go się nie lękał, bo wiedziałem, że ci przed którymi mogłem się wstydzić, mieli każdy czego się zarumienić, gdyby ich życie odkryto całe.

Rzecz arcy-ciekawa. szepnął garbus, pierwszy człowiek szczerzy, którego spotykam, i to coś warto.

— Z moją teorią wbrew przeciwną malowanym fałszom ludzi, co toż samo czynią, a kłamią inne zasady, życie nie mogło być pasmem róż i lilij, musiało być ciężką przeprawą. Naturalnie wszyscy się mnie obawiali, brzydzili, odpychali, bom odsłaniał to co jest wielką tajemnicą wszelkiego rodzaju kuglarzów, zdradzałem sekret rzemiosła. Nie byłem więc szczęśliwym. ale mam tę wyższość nad światem, że mnie nic nie łudzi, i ja nie łudzę nikogo.

— Czy się tylko pan sam nie łudzisz, przerwał Szwed, jest dużo złego na świecie, w sercu człowieka, ale to żywił do przewyciężenia, nie do przymierza, byłeś ze swą teorią szczęśliwym?

— Mógłbym o to samo spytać was, co macie wcale inne teorie, odpowiedział pargaminowy, byliście, jesteście z niemi szczęśliwi?

— Jesteśmy spokojni, zawołał Szwed, a ty nim nie jesteś, rozgrzeb popielisko swej duszy, a znajdziesz trawiący ogień na spodzie.

Hrabia uśmiechnął się.

— Wasz spokój jestże bez zwątpień, bez obawy? wasza wiara jestże w zupełnej zgodzie ze światem i z jego ferworami? Ja sobie nic nie obiecuję, niczego się nie spodziewam, nauczyłem się gardzić prawie wszystkim.

— Jest to odegrzana teoria pogan, epikurejczyków, stoików, przestarzała i odrzucona.

— Dawała przecie bohaterów, rzekł hrabia.

— Tak, dumnych zwycięzców boleści, obojętnych

żebraków, szyderskich filozofów, żadnego dobroczyńcy ludzkości i anioła pociechy.

— Bałamuctwo! zawołał hrabia, bałamuctwo! rozumny człowiek idzie do treści życia, widzi jego nicosć, rozeznaje co w niem głównem i rzeczywistem, odrzuca łupiny, chwyta ziarno.

— Nie miałem, dodał po chwili, miłości u ludzi, alem się też o nią nie starał, bom w nią nie wierzył. miłość ludzka jest jednym z tych bałamuctw, któremi się stare dzieci bawią, ale w rachubie żywotnej jest to cyfra dająca się sprowadzić do zera. Pomiedzy namiętnością zwierzęcą a szalem Platońskich marzeń, cichej, spokojnej, wytrwałej miłości próżno szukać. Czasem nałóg przybiera fizjognomję chorobliwej miłości. Miłość potrzebowała ideału i nie naszego świata. ideał dostaje ospy. starzeje, powszednieje, okulawiony. siwy, obraca się w lachman, w którym słabi mogą widzieć wspomnienie. ale kochać go nie potrafią, bo śmieci kochać niepodobna! Ogółu ludzi kochać nie ma za co, litować się nad nim można co najwięcej, albo nim gardzić!

— Na Boga! wykrzyknął Spauer z gorączką artysty, my pana prosimy nie o jego teorje, ale o biografję; są to rzeczy których słuchać jest przykro, poniżają człowieka!

Hrabia ruszył ramionami.

— Moja biografja jest ścisłem teorji zastosowaniem, daję wam jej treść w kilku słowach. W domu oprócz matki, która zapewne kochała mnie instynktem czysto zwierzęcym...

— A! a! zawołało kilka głosów. hrabia nie zmieszany ciągnął dalej.

— Oprócz matki, nienawidzili mnie wszyscy, oddawałem im to z lichwą, w szkołach byłem współuczniów postrachem i pośmiewiskiem, ale władza mnie broniła, bom naturalnie szukał siły aby się o nią oprzeć, i wybierał z dwóch potężniejszą. Przekonawszy się, że mnie nie złamią, współtowarzysze poczęli się mnie obawiać, od chwili gdym kilkum dał naukę i pokazał, że bezkarnie nad sobą znęcać się nie pozwolę, zostałem swobodny. Nie miałem przyjaciół, ale mi o nich nie chodziło, przyjaźń jest zawsze handlem, w którym jeden drugiego oszukuje, jest to taka gra jak włoska mora, kto sprytniejszy ten wygrywa. Ale po ukończeniu nauk wyszedłem ze szkół z gotową reputacją człowieka bez czucia, bez miłosierdzia, bez delikatności. Tego rodzaju sława nie jest bez niewygód, ale ma swą dobrą stronę. Gdy o gruszy powiedzą, że owoce jej są kwaśne, nikt jej gałęzi nie łamie; tak się stało ze mną, wyszedłem w pole walki sam o własnych siłach, patrzano na mnie ze wstrętem, odsuwano się, ale mimo to nie ośmielano napastować, byłem swobodny.

Panna Joly instynktem guwernantki przesłuchawszy początku wyznań hrabiego, wzięła pod rękę młodą Angielkę i uznała właściwem po cichu się z nią wysunąć tak by nikt na to nie uważał.

— Po rodzicach, mówił spokojnie pan hrabia, odziedziczyłem zagmatwane resztki niegdyś bardzo znacznego majątku, zrujnowanego nieładem, rozrzutnością, niedbalstwem, wszelkimi możliwemi środkami zniszczenia, ale to był zawsze materiał na którym pracować mogłem. Są ludzie co poczynają od niczego, zmuszeni wyrobić sobie kapitał swój obrotowy, jam miał w gru-

zach fortuny gotowe narzędzie; wziąłem się więc do oczyszczenia tych stajen Augiusza, nie zląkłem się ani procesów, ani krzyków, ani opinii ludzkiej, trzymałem się ściśle prawa, nie wdając się w uczucia, które rachunki psują, poprawiło to znacznie moje położenie materialne, a szerząc postrach wkoło mnie, otoczyło murem, który od napaści bronił.

— W tym czasie prawie spotkałem się z kobietą, która mimo wszystkich zasad i pewników, które jako skazodrogi rozstawiłem przed sobą, dużo wpłynęła na moje losy. Była to bardzo piękna, bardzo płocha na pozór, ale bardzo praktyczna istota, nie miałem dla niej najmniejszego szacunku. Alem uczuł namiętność, była piękną. Niestety i ona i towarzyszy jej doli tak nieopatrznie szafowali życiem, że się zupełnie zrujnowali, w dodatku ona owdowiała; musiałem uciec aby nie paść ofiarą jej, byłaby bowiem wymagała ożenienia i popchnęła mnie do ruiny. Uciekłem w porę, dla zajęcia czasu robiłem po troszę majątek.

— Śmieście się państwo jeśli chcecie, jedyna to siła w życiu, złoto....

— Rozumiem pogardę dla niego w tych co go pozyskać nie mogą, ale to tarcza od wszelkiego złego, broń, narzędzie, dźwignia. Mimowolnie świat skłania głowę przed tymi co je mają, wysmiewa ich a zazdrości, ale mimowolnie ozłocone bałwany, jak ich ubodzy zowią, świecą nam podwojoną cnotą, ich występki nikną przy blasku fortuny, najniezależniejsi zawsze im cześć oddają. Jedno z dwojga, albo potrzeba być bogatym wzgardą wszystkiego jak Diogenes, albo mieć pieniądze, jest to balast życia, bez niego chwycą fale

i rozbijają o skały. Staralem się o złoto, bo ono wiedzie do wszystkiego, daje wszystko, rządzi wszystkim.

Spauer się wzdrygnął i ruszył ramionami, Szwed przerwał.

— Obrzydliwe głosisz pan teorje.

— Więc uwalniacie mnie? wybuchnął hrabia.

— Nie ja, przerwał wice-hrabia garbaty, mnie ta assa faetida smakuje.

— Rzecz bardzo oryginalna, zawołał Sir Price, bynajmniej nie uwalniamy od dalszego ciągu, prosimy oń, prosimy, wszelkie przekonania szczerze są godne szacunku.

— Szczerze ale nie bezwstydnie, rzekł Szwed po cichu, choć i to może się przydać na coś, do zrodzenia obrzydliwości ku złemu.

— Dla tego złota, przyznaję się szczerze, postanowiłem sobie, mówił dalej szydersko hrabia, ożenić się. Ożenienie jest ciężarem, wkłada kajdany, to prawda, ale rozrachowałem sobie, że kobietę zawsze w końcu owładnąć można. Dziwnym trafem owa zrujnowana pierwsza miłość moja była w posiadaniu bogatej kuzynki, bardzo bogatej, bardzo ładnej, ale dziwnie zepsutej pieścotami i samowolnej.

Weszliśmy z nią w targ, który naówczas zdawał się korzystny, a okazał później nieszczęśliwym, młoda osoba była bardziej zepsuta, niżeli po jej wieku i pozornej łagodności wnosić się godziło. Oszukałem się w swych rachunkach, ale nie ma życia bez zawodów.

— Ożenienie to zabrało mi zbyt wiele czasu, spokoju i zwichnęło życie. Nie miałem szczęścia podobać się młodej osobie rozmarzonej, przywykłej do pochlebstw i ubóstwian, nie byłaby nawet poszła za

mnie, gdyby nie potrzeba w oczach świata zakrycia jakichś pokątnych miłości. Dla kogo innego nie-szczęśliwem by być mogło może podobne ożenienie, jam w przeszłości mej narzeczonej upatrywał nową siłę dla siebie, sądziłem że im więcej jest upokorzona, tem mi więcej będzie uległa. Stało się wszakże inaczej, włożyłem sobie powróż na szyję, któregom się nie spodziewałem: rozpoczęła się od pierwszej chwili walka między nami, w której wyznaję, bom szczery, zostałem zwyciężony. Tak jest, nie mogłem pokonać przeciwniczki mojej, ale odegraliśmy dramat ciekawy. Użyłem wszelkich środków, wszystkie się o upór istnie kobiecy rozbiły. Przypisuję to nie czemu innemu, tylko nieszczęsnej słabości: muszę przyznać się, że m głu-pio zakochałem się w mojej żonie, a miłość w niej chcia-łem obudzić strachem, gwałtem, przemocą. Każde uderzenie dodawało jej siły. Byłbym może zwyciężył ją obojętnością, nie podolałem uciskiem. W miarę jak ja szalałem i traciłem przytomność, ona oprzytomnia-ła i rosła. Musiałem zapomnieć o wszystkich innych ce-lach życia biegnąc za jednym, za pokonaniem tego dziwnego charakteru, którego djamentowa niezło-mność mnie drażniła.

— Niczego mniej nie spodziewałem się nad wpływu kobiety w tej historii, rzekł, śmiejąc się, Meilleraie, ale w którejże biografji mężczyzny, choćby tak zbu-dowanego jak pan hrabia, nie gra roli niewiasta?... Zawsze Ewa i wąż.

— Tym razem, zawołał Spauer, nie wygląda to na raj, na Ewę i kusiciela... Ewa była ofiarą. Daje się to przeczuwać z tego co nam hrabia o sobie powiedział, chciał ją widać nawrócić na swą wiarę, a to mu się

udać nie mogło, kobieta ma więcej od nas jeszcze poczucia ideału, obrzydliwości dla rachunku i nagiej rzeczywistości.

— I uporu! i uporu! przerwał hrabia... jest to znamię słabości.

— Przecież ta słabość silniejszą była nad stoicką siłę waszą, rzekł Spauer.

— Wielkiem nieszczęściem dla mnie było, żem kłamać nie umiał, zawołał hrabia, z trochę chytrości byłbym ją zmógł i zwyciężył, wyrzucam sobie, żem zawsze brzydził się fałszem; do mojego systemu, z moją pogardą dla ludzi, kłamstwo było nieodzownym dodatkiem, trzeba było odegrywać komedję jakąś, entuzjazmów, szalów, namiętności, jam tylko umiał sztydzić i do naga rozbierać złudzenia.

— Jest to zaprawdę ciekawa historja, odezwała się w tej chwili hrabina Adela, która miała czas spocząć po własnem opowiadaniu, jako kobiecie może mi też wolno będzie wmieszać do niej słówko, i uczynić uwagę? Pan hrabia, świat i ludzi skłonny jesteś uważać i sądzić z jednego człowieka, z siebie, z jednej może kobiety, którą pierwszą spotkałeś na drodze. Jest to tymczasem wielkie nierozwiązane pytanie, czy jednostka abstrakcyjna, człowiek, prototyp istnieje, czy człowiek jest jeden, z jednej formy wylany, czy mnogi, różny? czy jest dwóch, dziesięciu, czy tylko ów jedyny, jakiego nauka przyjmuje i system chce widzieć, bo mu z tem dogodniej. Abstrakcje zdaje mi się w rzeczach życia są tylko rodzajem ideałów. którym rzeczywistość przeczy.

Pytanie to i forma w jakiej rzucone było, zdumiały wszystkich, na kobietę było ono głębokiem, do-

tykało kwestji rzadko niewiastom dostępných, zdradzało surowsze zastanowienie się nad życiem, badanie go na drogach niedostępných ogółowi; nie dziw też iż wszystkie oczy zwróciły się ciekawiej, goręcej, z zajęciem i ciekawością na hrabinę, której usta zbladłe uśmiechnęły się dziwnie.

— Cudowne pytanie! zawołał Szwed ręce składając, ale pozwól pani zapytać, gdzieżes i kiedy miała czas w życiu, tak surowo, tak poważnie badać człowieka?

— Cierpienie jest wielkim nauczycielem, odparła hrabina, w długich godzinach niedoli i boleści miałam książki, one mnie odrywały od zbyt smutnego chleba powszedniego.

— Wróćmy do zadania, przerwał Spauer, hrabina postawiła je jasno, cóż pan na to?

— Nie jestem wcale filozofem, odparł hr. Żywski, ale coś mi się śni, że na wytłumaczenie wszystkich trudności, charakterów i zawał życiowych, można właśnie postawić przeciw memu człowiekowi jedną wielką różnaitość człowieczków. Nie przeczę, że społeczność różna, losy rozmaite, wpływy, klimat, strawa, choroby, wykształtowują z tego zlepkę gliny różne figurki, mniej więcej karykaturalnie pokrzywione, ale zawsze koniec końcem, te ułamki dają się sprowadzić do jednego mianownika.

— Możem się ja omylił, biorąc za prototyp to co nim nie było, za główne to co było podrzędnem, za organa co było kalectwem, ale to wina fizjologa, anatomiasty, nie zasady, człowiek jest jeden.

— Dziwi mnie, że tak dobrze go znając, nie zwyciężyłeś pan przecie jednej słabej kobiety! odezwała

się uśmiechając hrabina, kobiety, jak się z pańskiej historii uczymy, złamanej już życiem, osłabłej walką wewnętrzną, nad którą miałeś wyższość teorii zimnej i rachuby?

— Chłodu! chłodu właśnie mi brakło, przerwał hrabia, zgubiła mnie namiętność, złem zrobił, żem się w niej zakochał, alem gwałtownie zapragnął jej przywiązania, jej uległości dla mnie, a tego otrzymać nie mogłem. Opór i opór rozdrażniły mnie, rozwściekiły, straciłem równowagę i — padłem.

— Jakże się to stało? spytała hrabina z cicha, mów pan, bo zaprawdę dla nas kobiet szczególnie, to ciekawa spowiedź! Ja nie kryję wcale, żem bardzo chciała, nawet drobnostek, jest to studjum zajmujące. Ta maleńka słaba istotka, głupiuchna, uparta, rozpieszczona, dziwaczna, któraby tak długo w surowej walce wytrwać nie była powinna, w końcu zwycięża takiego olbrzyma uzbrojonego niewiarą i bezlitością? Zresztą jeśli wolno jeszcze jedno pytanie. Dla czego pan temu epizodowi swojego życia nadajesz taką wagę? wedle jego teorii, cóż prostszego na porzucenie i skruszenie zawady? Celem życia jeśli się nie mylę, dodała, było zdobycie narzędzia siły, grosza... złota! kobieta ci przeszkadzała, mogłeś ją odepchnąć, skorzystać tylko z jej położenia i dalej iść drogą swoją do głównego celu. Czyżbyś go stracił z oczów, lub się przekonał, że to co brałeś za cel było środkiem tylko?

Hrabia błysnął rozżarzonemi oczyma, ale twarz jego po chwili przybrała pargaminową nieruchomość i zastygłość.

— Wyznałem już z pokorą jak na spowiedzi, od-

parł, żem stracił panowanie nad sobą, byłem rozdrażniony, roznamiętniony.

— Dla kobiety? spytała hrabina.

— Nie wiem, pragnąłem zwyciężyć i być panem. Zresztą ten cel o którym pani wspominasz, w istocie zmalął w mych oczach, nie miałem ambicji, nie było dokąd iść dalej. Miałem dosyć pieniędzy, alem już nie wiedział co za nie kupować. Zwykle chciwy człowiek dojrzewając dopełnia życie próżnością. chce władzy, błyskotek, tytułów, znaczenia, dla mnie to były głupstwa i dzieciństwa. Chciwość też we mnie nie przerozdziła się w skąpstwo, pieniądż nie przestał być narzędziem, na nieszczęście z tą dźwignią w ręku, stałem w obec śmieciska i brudów, których ruszać nie miałem ochoty, brała mnie od nich odraza.

— Przewiduję ciekawy stan duszy, zawołał Szwed, już go widzę nadchodzącym: nicość, czczość, próżnia.

— Tak jest, rzekł hrabia, z tego wszystkiego zostało mi na mogile pokonanych namiętności ogromne poziewanie! Świat mi się wydaje głupi, czczy, niezrozumiały, obstawiony murem, który przełamawszy, znajdujesz drugą próżnię, drugi głupi mur i tak do nieskończoności przestrzenie puste... wolno je drugim marzeniami zapełnić, ja nic nie widzę.

— Czy dla tego że ślepy, czy że nic nie ma? spytał Szwed.

— Otóż pytanie, ja sędzę, że mam oczy i wzrok dobry, wy powiecie pewnie, że mam bielmo na źrenicach.

— Zgadłeś pan, rzekł Swendenborgista. masz istotnie bielmo, a najlepszym dowodem. że tysiące ludzi

do koła ciebie stojących coś widzą, gdy ty się upierasz, że nie ma nic.

— Ależ ja się przy niczem nie upieram, mówił hrabia, mnie to jest obojętnem całkiem! Patrzajcie na mary i widma, gadajcie do nich, pokazujcie je sobie, cóż mi to szkodzi żeście oszaleli! Najlepszym dowodem dla mnie czczości i próżni jest to, że w niej każdy z was widzi to co sam chce, że ją zaludnia upiorami, które sam wywołał, że się nie godzicie na jedno, że przez pochlebstwo i głupotę, naśladownictwo, potakujecie sobie, gdy w głębi dusz waszych taż sama przepaś, co u mnie!

— Czy wrócimy do biografji? spytał Sir Price.

— Możemy do niej powrócić, szepnął obojętnie hrabia, ale ona jest skończona, bo życie bez celu, wiary, namiętności i złudzeń, może się zerwać gdzie chce, zawsze będzie całe. To co mógłbym doń dodać, będzie powtórzeniem. Po długich a próżnych zapasach z tą kobietą, która musiała być bardzo nieszczęśliwą ze mną, temu nie przeczę, przyszło nareszcie do rozstania. Byłbym tak prędko nie zerwał, ale nasze prawa dawały jej możność wyzwolenia się od małżonka, opierałem się, targowałem, wyciągnąłem z mego położenia wszystkie możliwe korzyści, nareszcie potrzeba było uledez, rozwód został wyrzeczony, ona wolną...

Rozśmiał się dziko.

— Sądziła się nią przynajmniej, rzekł szyderczo, ale człowiek ma swe słabości, i ja się przyznaję do mojej, nie koniec tej historii. Postanowiłem za tą istotą, która mnie nienawidzi, która się mną brzydzi, dla której twarz moja jest głową Meduzy, iść w ślad gdzie-

kolwiek ona pójdzie i utworzyłem sobie z tego jakiś sztuczny cel życia. Otrzymując rozwód wypędziła mnie z pod jednego dachu, ale nie mogła mi odebrać prawa, którego używają wszyscy ludzie. rozporządzenie sobą. Uciekła, pogoniłem za nią. wszędzie gdzie stąpi, gdzie się najmozolniej ukryć zechce, ja ją doścignę. Cóż mi zarzucić może? nie mówię słowa, nie otwieram ust, nie zbliżam się do niej, nie mieszam do jej spraw, ale jestem niemym świadkiem życia jej, i szyderski mój uśmiech spotyka wszędzie gdzie szuka swobody, zapomnienia, ciszy. Tym sposobem nalawszy ukropu do ostygłej wody, uczyniłem sobie egzystencję prawie znośną, bawi mnie to że ją męcę...

Zataił ręce.

— Radaby, żebym gdzie kark skręcił, dodał, ale jakście państwo świeżo widzieli, jestem i wytrwały i szczęśliwy, nawet z krateru Wezuwjusowego dobywam się nieuduszony, nieupieczony i uwędzony tylko. abym się lepiej zakonserwował. Mam więc wszelką nadzieję, że jej jeszcze dokuczać potrafię dosyć długo; gdy mnie nie stanie, już dla oswobodzonej zapóźno będzie rozpocząć życie, już ten strach ją wyczerpie, złamię, a zemsta moja się nasyci.

— Zdaje mi się, odezwała się w tej chwili hrabina z uśmiechem łagodnym, że pan co tak doskonale rachować umiesz wszystko, pomijasz jednak w swej rachubie pewne żywioły ważne. Człowiek ze wszystkim się oswaja, to co mu było straszne. po pewnym przeciągu czasu staje się tylko nudne. na ostatku obojętnem, a później może niewidocznem nawet.

— Ja też nie myślę spowszednieć, rzekł pargaminowy, gram moją rolę z wielką przezornością, znikam na

czas jaki. aby dać nadzieję umęczonej. że mnie gdzieś śmierć na rozdrożu zdusiła, potem gdy swobodniej oddycha, niewidzialny ścigając ją, zjawiam się w chwili gdy najmniej spodziewany.

— Gdyby ta historia odbywała się we Włoszech. przerwał Sestini, w którego twarzy malowało się oburzenie gwałtowne, nie długo byś pan grał tę rolę prześladowcy. Jeżeli nie zakochany, to litościwy a gorący człowiek poszedłby za panem ze sztyletem i w ciemnym kącie pchnąłby pod piątą żebro.

Hrabina się wzdygnęła.

— Rzecz możliwa zawsze, rzekł spokojnie Żywski, ale myślicieź, iż krwawe widmo z rozdartą piersią nie ścigałoby jej jeszcze? Ten coby to uczynił. a wprawdzie nie męcząc mnie, wyrządziłby mi prawdziwą przysługę: naprzód życie dosyć jest nudne. powtóre istotnie może stanę się powoli śmiesznym dalej a dalej. a tak byłbym zawsze strasznym, uzyskałbym przywilej ścigania jej nie tylko we dnie po publicznych drogach. ale w snach i marzeniach, w ciemnościach nocnych, na wieki wieków. Widziałyby mnie wszędzie. mogłaby oszaleć, umrzeć, rozchorować się...

Nawet wesoły garbus stracił usposobienie do śmiechu i żartów, zmrożony tą powieścią, czoło jego porało się marszczkami, usta drżały, dumiał głęboko.

— Wielkie to szczęście, zawołał, że na zakąskę po tej potrawie ostrej i gryzącej, jaką była biografja szanownego hrabiego, mamy jeszcze dzisiejszego naszego gościa, wskazał Szweda, a wnosząc z samego oblicza, czuję, że ona będzie balsamem co nas uleczy, zechcecież?

Szwed się łagodnie uśmiechnął. był smutnie zamysłony.

— Jam człowiek z innego świata, szepnął powoli, nie zrozumielibyście mnie może. Cóż ja wam powiem? pielgrzym dążący do jasnych krain prawdy, zaglądnący we wszystkie szczeliny z kądem jakiś blask pada? Zechcecież wy zepsuci obcowaniem w tych sferach, które nie są mojemi, uwierzyć słowom moim, zająć się tem co ja miłuję? Dla was ta poczwarna historia człowieka, który skończył na niedorzecznej zemście począwszy od swawolnego rachunku jest zrozumiałą, jasną, prawdziwą, patrzycie na podobne, choć nieco ubrańsze, ale cóż powiecie o mojej?

— Sądm nam zostawcie, rzekł hrabia, kontrasta są rzeczą bardzo w sztuce pożądaną, nieprawdaż panowie artyści?

— Z tym warunkiem, odparł Spauer, aby nie były zbyt ostre, zamiast efektu, otrzymuje się naówczas niezrozumiały chaos; w naturze i sztuce, która jest jej abstrakcją, wszystko się zlewa, łączy. nawet sprzeczności muszą mieć z sobą coś wspólnego, jakiś węzeł jednoczący je tajemnie, zrozumie to filozofja, powinna pojąć i sztuka, kontrastem nie może być co nie jest jednorodnem.

— Odchodzimy od przedmiotu, przerwał wice-hrabia, estetyka dziś nie na miejscu, do biografji wracamy. Mów szanowny mieszkańcze stref północnych. Zaledwie będziesz miał czas się wypowiedzieć. bo jednym się już oczy kleją, drudzy ulękną się białego dnia, który mimo żeśmy ludzie, wielkie wywiera wrażenie nawet na myśli, nawet na uczynki — człowiek w nocy śmielszy.

— Smutna prawda, która dowodzi, jak się jest słabym, odezwał się hrabia szyderczo, gdyby nie noc ileby to zbrodni i głupstw oszczędziła sobie ludzkość!

— A może i heroizmów! zawołał Spauer.

— Bo heroizmy są także w swoim rodzaju głupstwami i śmiesznością, rzekł hrabia.

— No, ale do rzeczy! pędził wice-hrabia. czuję sielankę i pragnę jej, czekamy, słuchamy, prosimy, napijmy się mleka po spirytusie!

— Ale się nieochybnie zawiedziecie w swoich oczekiwaniach, rzekł Szwed powoli, nic prostszego nad tę powieść o człowieku szczęśliwym i spokojnym, gdy was burze życia zagnały na skały i bezludne wyspy. mnie szczęśliwy wiatr wyniósł na żyzne brzegi nowego świata. Nie chlubię się z tego wcale, nie sobie to zapewne winienem. ale temu co rozrządza losami naszymi.

— Każdy ma to na co zasłużył, szepnął Spauer.

— Urodziłem się w tym kraju, który wy tak mało znacie, w odległym kącie cichym, spokojnym. Ojciec mój był bogatym stosunkowo wieśniakiem. matka córką pastora z okolicy; pamiętam dobrze moje dziecięce lata, upływały one szczęśliwie, łagodnie, w pieszczotach macierzyńskich, nad wielką biblią, z której obrazków uczyłem się historii świata i człowieka, tłumaczyła mi je matka, bo wiele tam dla mnie było rzeczy niepojętych. Miałem dosyć swobody, zwłaszcza w lecie, i sam poznałem się z tą naszą przecudną naturą północy, poważną, majestatyczną, nie obudzającą namiętności. ale rozbudzającą myśl w człowieku, która nie mniej jest w swoim rodzaju piękną, jak ten go-

rażący krajobraz neapolitańskiej zatoki. Tylko urok tam inny, który działa nie tak gwałtownie, którego znaczenie odkrywa się wtajemniczonym dopiero, którego się trzeba nauczyć czytać powoli. Z biblią razem, podania naszej ojczyzny karmiły moją młodość poezją, sprzeczność ich i zgoda wprowadziły mnie pierwsze na drogę porównań, na pojęcie pozornych świata kontrastów, na szukanie w obojgu prawdy jedynej.

— Dzieciństwo moje i młodość były poważne i surowe, długo bardzo nie znałem co jest miasto, słyszałem o niem i różniem sobie je wyobrażał, ale oprócz sąsiedniego małego miasteczka, niewiele odmiennego od wiosek pobliskich, nie byłem w żadnym znaczniejszem, anim tak bardzo ujrzeć je pragnął.

— Z księg i podań wyobraziłem je sobie zawsze ogniskami zepsucia i zbytku. — Niewielu ludzi spotykałem. w kraju naszym osady są rozsypane i odosobnione, długie zimowe wieczory spędza się u ogniska domowego w kółku rodzinnem, a cokolwiek zwawsza myśl musi pracować nad sobą, aby je zająć, aby je zahudnić widmami wyobraźni. Ale tajemnica tej samotności ma w sobie dla nas urok wielki, nie odrywa nas gwar i szum zewnętrzny od samych siebie, głębiej nurtuje człowiek myślami, budując swą duszę, staje się od młodości poważniejszym, samotnym, zastanawiającym się bacznie, wielkie namiętności są tu niemożliwe, ale umysły krzepkiemi się stają, przywykając do brzemion, które codzien dźwigać się wdrażają. Powieść o tym człowieku, co dla wyrobienia w sobie siły brał na ręce od dnia narodzenia ciele, a później dźwignąć mógł wólu gdy dorosnął, prawdzi się na tych, co drobną zrazu myśl biorą i rosnącą unoszą gdy zolbrzymieje. Było

nas dzieci kilkoro, jam na świat przyszedł ostatnim i najślabszym. dla tego może pielęgnowała mnie matka z największą troskliwością a ojciec przeznaczył do spokojniejszego zawodu, gdy starsi bracia poszli z nim kopać ziemię i zarabiać w pocie czoła na chleb rodziny. Mnie pozwolono zostać nad książką i umysłem wyorywać skiby niewidzialnego świata.

— Gdy wielu innym ta praca duchowa stawi same sprzeczności, zagadki i rodzi w nich niepokój nieuleczony, niewiem jakiemu szczęśliwemu darowi nieba winien byłem i jestem, żem ani zwątpić nie potrafił, ani zrozpaczyć, ani się zawikłać w zadania nad siły. Nawykłem świat widzieć utworem potężnej dłoni Boga, a sprawy jego pochodem ku celom przez Niego zakreślonym. — Nie zadawałem sobie nigdy kwestji nad pojęcie, a gdy znajdowałem zaporę, umiałem z pokorą stanąć przed nią. dopóki nie padła. nie otwarła się, lub moja małość nie wytłumaczyła mi, czemu jej zwyciężyć nie potrafię. Świat mi się i dziś widzi doskonale logiczną całością, złe w nim sprawą ludzką, którą prawo Boże nieustannie naprawia, dobre zawsze zwyciężącą naostatku.

— Idąc do dobrego można zajść do cierpienia, ale nigdy do fałszu... Sądząc ludzi potrzeba być pobłażającym i nie namiętym.

— Jest to wielka prawda, szepnął po cichu garbus do hrabiego Żywskiego, zakrywając usta otwartem szerokim ziewaniem, radbym być pobłażającym dla Szwe-da, który tu się przywłókł z zimnego kraju, na pół zmarzły, ale mnie to po troszę nudzi, to coś zarywa na kurs etyki, którego bym wolał nie słuchać.

Szept, jakkolwiek bardzo cichy, doszedł do uszów

mówiącego, — zatrzymał się, spojrzął na wice-hrabiego i uśmiechnął.

— Wiem co pan mówisz, rzekł, nie dosłyszałem dobrze, czuję wszakże, alem was uprzedził, że w mojej historii nie ma nic zajmującego.

— Byle była historia, odparł uśmiechając się Francuz.

— A! chcecie więc koniecznie romansu, z westchnieniem dodał cudzoziemiec, niech i tak będzie, powiem wam mój romans; pojmuję z pewnego względu, dla czego ludzie są tak ciekawi, szczególnie historii miłości w sercu bliźniego, ona jest kamieniem probierczym człowieka, w tej czczej na pozór ciekawostce kryje się instynktowe poczucie ważności stosunku między mężczyzną a kobietą.

Wice-hrabia zaczął się fluternie uśmiechać.

— Otóż jakim się ja rozkochał, rzekł Szwed powoli; wysłano mnie do szkoły w pobliskim miasteczku, miałem już lat ze szesnaście, bo początkowe nauki pobierałem w domu, rozpoczęła je matka, dalej ciągnął nauczyciel, którego ojciec brał na zimę, w lecie bowiem pracowałem trochę koło pola i gospodarstwa z innymi. To com się mógł w ten sposób nauczyć w domu, nie starczyło wszakże, wysłano mnie do miasteczka. — Cichy to był zakątek. Jeden duży stary kościół murowany, przy nim mieszkanie pastora i szkoła, do której chodziłem z początku, bo później kończyłem nauki w wyższym zakładzie tegoż miasta, jedna szeroka ulica z domami szeroko i wygodnie rozstawionymi, poniżej drobniejsze chaty rybaków, spokojna zatoka ubrana od brzegu w piękne szare skały, i nasze morze opalowe, zielone, które przy Adrjatyku wygląda

jak blondynka skandynawska przy czarnowłosej Neapolitance. Jakkolwiek cicha to była ustron, przez nią pierwszy raz zajrzałem w świat głębiej, w pierwszych dniach wszystko nadzwyczajną we mnie budziło ciekawość, murowany gmach Boży, który mi się zdawał arcydziełem sztuki i olbrzymem, duże domostwa, ludzie poubierani jak od święta, ruch małego portu, rynek. cudzoziemcy, których spotkałem. aż do nauczyciela, który w rozmowie wydał mi się, czem zresztą był w istocie, prawdziwym mędrce.

— Zaczął mnie wypytywać i badać i zdawał się ze mnie dosyć zadowolony. Nie wiele umiem, rzekł w końcu, ale umiejętność ludzka sama z siebie małą jest rzeczą, nie jest ona celem, jest środkiem rozwinięcia człowieka i wykształcenia umysłu i serca. Idzie o to, abys wiedział jak daleko ludzie zaszli, i byś nie mordował się wynajdując to, co już jest wynalezionem, pracując nad tem. co opracowane. Umysł masz otwarty, łatwo ci przyjdzie dowiedzieć się tu, jak stoją ludzkie sprawy na drodze nauki. Nie przywiązuj się do litery, staraj wywinąć z tej łupiny ducha, pracuj, myśl i nie wypieraj się samotności swojej. W każdym umyśle jest jakaś strona silniejsza, ktorej innym brakuje, możesz ty stare i znane zbadać na nowo i wycisnąć coś zeń, czego inni nie potrafili; dla tego słowo mistrza winno ci być skazówką, ale nie ostatecznym wyrazem nauki. Największą cześć oddaje nauce i nauczycielowi, kto je do głębi roztrząsa i doszukuje się w nich treści. Jeśli masz wątpliwość, nie kryj jej w sobie, rzucaj ją śmiało i szukaj światła choćby w walce.

— Rozpocząłem tedy lekcje.

— Zaczynam się domyślać, żeś się pan kochał w córce profesora, dorzucił złośliwie wice-hrabia,

— O, nie, rzekł Szwed powoli, w godzinach wolnych od nauki, gdy potrzebowałem wytchnienia, miałem zwyczaj schodzić z miasteczka w dół między skały, ku morzu, ono mnie wabiło i pociągało ku sobie. — Siedziałem z książką na wybrzeżu i poczytałem od czytania najczęściej, ale powoli oczy od kart odbiegały na fale i księga Boża pociągała mnie całego ku sobie. Wybierałem kątek pusty, aby być sam na sam z naturą, ciszą do której nawykłem i podchwycić mowę tajemniczą morza, wiatru, fali. Jednego razu gdy tak siedział zamysłony, ujrzałem dziewczątko mogące mieć lat czternaście, ubogie, odarte, zbierające muszle nad brzegiem i latające sieci rybackie, stare, porwane, lichy. Dziewczątko pracowało śpiewając po cichu, a ktoby nie wierzył, iż między otaczającą naturą a człowiekiem jest niepojęty związek, odgadłby go słuchając tej piosenki. — Nucona cicho zlewała się z szumem fali, który zdawał się jej towarzyszyć regularnymi ruchy, miała coś w swym charakterze z tej mowy rozkołysanego smętnie morza północy.

— Nie powiem wam, by na mnie wielkie uczyniła wrażenie jej piękność, ale niezrównany wdzięk miało to dziewczę rybacze, z wielkimi niebieskimi oczyma zamysłonemi, z ustami smutnie uśmiechniętymi, popatrzała na mnie i na moją książkę, ale nie więcej ją strwożyłem nad ptaka, któryby usiadł na skale, nuciła sobie dalej. Czasem spojrzała w tę stronę ku mnie z uwagą i ciekawością, i znowu naprawiała sieci, lub wyrzucone przez fale szła chwytać skorupki. Nazajutrz powróciłem w toż samo miejsce, dziewczę przesunęło mi się tylko ze starcem, któremu towarzyszyła. Następnego dnia widziałem ją kilka razy, nie opuszcza-

łem mojego siedzenia na skale, było mi bardzo miło patrzeć na tę pracowitą istotę, tak przy swem ubóstwie po młodemu wesołą i spokojną. Czwartego czy piątego dnia gdym znowu z książką siedział, dziewczę samo przyszło do mnie, stanęło trochę opodal i skinąwszy mi głową, zapytało: „jak się masz dobry panie, co ty tu robisz? powiedz mi czy wyglądasz statku? czy ci kto w świat odpłynął? wszakże jak my nie jesteś rybakiem?

— Nie, odezwałem się, ale lubię morze, lubię patrzeć na nie i słuchać go, a tu mi bardzo miło.

— Ale dla czegoż, spytała, przez tyle godzin dnia nie robicie nic?... któż dla was i za was pracuje? wszak człowiek musi na chleb sobie zarabiać?

— Ja się uczę, rzekłem, pracuję myślą. abym nią później i rękami na życie sobie zarobił.

— Umiecie czytać i — westchnęła, i możecie czytać, co to wy tam pięknych rzeczy w książkach znajdziecie! Ja także nauczyłam się czytać, ale niemał tylko jedną książkę pobożną, a czasu tak mało. Matka mi zmarła, bracia po świecie, ostatni co był przy nas został — łzy zakręciły się jej w oczach... rok temu w burzę, nie wrócił — ja sama z ojcem, a ojciec stary i coraz mniej silny.

Szeptać tak głos jej coraz był cichszy, dwie łzy potoczyły się po twarzy, i siadła trochę dalej, biorąc się do porwanych sieci. Rozmowa tego dnia nie poszła prawie dalej, aleśmy byli znajomi. Nazajutrz już jak starzy powitaliśmy się przyjaciele.

Dziewczę było dziwnie proste, ufne i przywiązujące się, dusza jasna patrzyła przez jej oczy niebieskie, mimowolnie poczułem ku niej naprzód jakąś litość, po-

tem niewysłowione współczucie. Ona poznała mnie ze starym ojcem, który mimo ubóstwa, opuszczenia i wieku był wcale niepospolitym człowiekiem. — Trudy, niebezpieczeństwa, obcowanie z morzem, walka z żywiołami, potrzeba czuwania, rozwinęły go dziwnie, ale to był jakby zabytek dawnych wieków, w których instynkta zastępowały naukę i wiedzę. Znał on mnóstwo rzeczy, miał wiadomości tradycyjne, do których ludzie po raz drugi drogą nauki przyszedli, nie tłumaczył ich, ale dla niego stały one w związku z pierwotnymi ludu naszego podaniami poubieranymi poetycznie. były skarbem i spuścizną po plemionach prastarych. Przez niego obeznałem się bliżej z pieśniami Skandynawji, z jej dziejami przechowanymi w formach cudownie pięknych.

Stary miał niegdyś trzech synów i tę córkę, jeden, najmłodszy, który był przy nim pozostał, zatonął podczas burzy, dwóch oczekiwał z dalekich wypraw z powrotem, oba popłynęli na okręcie, który na połów wielorybów wyruszył i nie powracał, nie wiedział naówczas, że i tych pochłoneń morze. Sam jeden z córką ciężko zarabiał na chleb powszedni. Poprzyjaźniłem się z nimi, oni i ja nie miałem nikogo bliższego, Herta wydawała mi się siostrą z nieba zesłaną.

W lecie poszedłem do rodziców na parę miesięcy odpoczynku, ale ta przerwa w stosunkach moich z rybakiem nie zatarła mi w pamięci ubogiej chatki i chwil w niej spędzonych z prostymi ludźmi pocziwych serc. Wróciwszy nazad pobiegłem na brzeg morza do znanego mi domku, zastukałem do drzwi, nikt mi nie otworzył, szukałem Herty na wybrzeżu i nie znalazłem jej. Błąkając się między skałami, spotkałem wreszcie nio-

sącą kosz muszli na głowie, poznała mnie i postawiwszy ciężar na ziemi, przybiegła cała zadyszana. Z uczuciem braterskiem przywitaliśmy się drżący, postrzeżłem łzy w jej oczach,—a ojciec? spytałem, a bracia?...

— A! nie mam już nikogo, odpowiedziała mi po cichu, sama jestem na szerokim świecie, sama; po odjeździe waszym ojciec odebrał wiadomość o śmierci moich braci, i zesmutniał, zrozpaczył. położył się biedny, by już nie wstać więcej, pochowaliśmy go tam obok matki, pod tym krzyżem kamiennym, króry codzień odwiedzam, zostawił mnie jedną, jedną. Jakże to dobrze żeście wy powrócili, jam was już przywykła uważać za brata.

— Otóż jak się rozpoczęła cicha miłość, dodał Szwed, trwająca do dziś dnia. Następnego roku zaprowadziłem Hertę do rodziców moich, i pozostawiłem u matki jako przyszłą żonę moją. Nikt się nie sprzeciwiał temu związkowi, biedna sierota znalazła rodzinę, wypoczynek i odkwitła znowu przy ciepłym naszym ognisku familijnem.

Z córki rybaczej dziś to niewiasta, której umysł zachował tylko z dawnych lat poetyczną barwę. Dla niej musiałem szukać domku i miejsca pobytu u brzegów morza, bo tęskniła za żywiołem, do którego była przywykła. Domek nasz stoi niedaleko od tego miasteczka w którym ją poznałem, a w godzinach przechadzki przypominamy sobie pierwsze spotkanie i pierwsze wrażenie na pół dziecinnej miłości naszej.

Szwed zamilkł.

— C'est primitif, simple et ennuyant au possible, rzekł wice-hrabia po cichu, aleśmy się przecie dobili do końca.

— Mówiłem wam, dodał opowiadający, że biografja moja nie będzie zajmującą. Walk duszy, zapasów myśli, zdobyczy moich dla was obojętnych, opisywać wam nie będę; cóż was obchodzi jak przyszedłem do pewnych prawd dla was obojętnych. jak się pozbyłem namiętności, które mnie ujarzmić usiłowały? jaką drogą doszedłem do wiedzy i jasnowidzenia zaświata?

— Ha! ha! uśmiechnął się Żywski. więc aż zaświata? bywałeś więc pan po zagranicami, za które my nieszczęśliwi wyjść nie możemy? otóż właśnie najciekawsza część powieści, a ty chcesz zamileczyć? zlituj się, co się dzieje za światem?

Niedowierzająco i szydersko rzucone pytanie Szwed przyjął z pokorą.

— Wzięlibyście mnie za marzyciela, a może za szaleńca, rzekł, gdybym wam moje widzenia chciał opowiadać.

— Możesz pan przynajmniej, przerwał wice-hrabia, rozwiązać nam kardynalną zagadkę przeznaczeń duszy, co się z nią dzieje gdy ciało dłużej piastować jej nie może?...

— Z duszą, odparł Szwed, z duszą dzieje się to co my jej życiem zgotujemy, samiśmy jej przeznaczeń panami, możemy ją zabić lub unieśmiertelnić, dać jej żywot lub śmierć. Bóg daje nam ją do rozporządzenia, pomaga, wspiera, objaśnia, kieruje, zsyła natchnienia, ale jeśli mimo to człowiek się uprze być bydlęciem, ginie jak bydlę. To mówiąc wstał, długie panowało milczenie.

Przez otwarte okna ku starym kasztanom szarzał poranek, w sieniach, pod drzewami, w podwórzu usypiali zmęczeni przewodnicy, niektórzy z podróżnych,

znużeni przechadzką wczorajszą, drzemali także, tylko Żywski, garbus i artyści ze Szwedem wcale nie wydawali się znękanii czuwaniem. Hrabina Adela siedziała w fotelu zamysłona, poglądając niekiedy bojaźliwie na otaczających, trochę energii wyczerpanej opowiadaniem opuściło ją zupełnie, cierpiała widocznie. — Julia spała, oparłszy piękną głowę na ramieniu męża, który drgnąć nie śmiał aby jej nie przebudzić.

Na niebie różowe brzaski ranka zaczynały ołowiane barwy nocy zastępować powoli, w liściach kasztanów świergotały przebudzające się ptaszki, dzień wstawał pogodny i piękny.

Sir Price, który jako gospodarz czuwał i słuchał bardzo pilnie do ostatka powieści swych gości, nie był jednak zadowolony tem jakimś bardzo pospolitem zakończeniem drugiej sesji, tarł sobie czoło, aby coś niezwyčajnego wynaleść na zamknięcie — ale byłby może nie potrafił wyszukać dekoracji nowej, ani sceny do dramatu, gdyby się drzwi nie otworzyły i nie wszedł naczelnik przewodników, Włoch mały, chudy, smutny, upieczony zdaje się na żuźlach wulkanicznych, czarny, z małemi biegającemi żywo oczkami.

— Signori... Excellenca! zawołał! kiedy już jesteście w pół drogi, a czas jeszcze, pozwólcie sobie uczynić propozycję, wszak mi nie chodzi o zarobek, ale wam się należy za poniesione trudy nowego rodzaju przyjemność i widowisko. Znaie już zachód słońca na Wezuwjuszu, ale nie widzieliście wschodu! Wschód jest czarodziejskim widokiem. wyszedłszy natychmiast, staniemy na wierzchołku w sam czas, aby wspaniale wniście króla światłości oglądać, magnificenca, cudo! niezrównany widok! przepyszne! Czyje oczy nie oglą-

dały go, ten nie może powiedzieć, by wszystko co najpiękniejsze i najciekawsze oglądał; pojmuję żeście pomęczeni, ale myśmy spali, zaniesiemy was w krzesłach i nie weźmiemy drogo, zgodzimy się bardzo przystępnie, buona mancia do woli. — Mówię to dla was, nie godzi się opuszczać tak wspaniałego widoku.

Anglik zatarł ręce i uśmiechnął się z rozkoszą.

— Myśl, nie można zaprzeczyć, rzekł, myśl wyborna, idzie tylko o to, czy wykonaniu jej podołamy.

— Myśl cudowna! uchwycił wice-hrabia garbaty — ale po tej nocy bezsennej pieszo ani na pasku nikt z nas drugi raz nie potrafi wdrapać się na wierzchołek, choćby z niego miał ujrzeć ziemię obiecaną swych marzeń.

— A krzesła od czego? a my i nasze ramiona? spytał Włoch, tem lepiej, byleście zapłacili.

Szeptano naradzając się w koło, widocznie pokuśsa była wielka, choć i obawa nie mała.

Spauer zbliżył się do hrabiego Żywskiego, który stał pogrążony.

— A pan? zapytał go.

— O! ja... ja się powlokę! pójdę, pójdę! odparł żywo hrabia.

— Co do mnie, żywo ozwała się hrabina Adela, tak się czuję znużoną, iż albo tu na państwa poczekam, lub wrócę do Neapolu.

Żywski, którego te wyrazy uderzyły, odwrócił się i podał zaraz:

— Czy mówiłem że pójdę? tak? zobaczę, wszak przymusu nie ma? juści my wolni i każdy sobą rozporządza jak zechce.

Hrabia i hrabina zmierzyli się oczyma, widocz-

nem było że jedno z nich pragnęło nie być tam gdzie się drugie miało znajdować, że ów przeciwnik usiłował zostać tam gdzie była hrabina.

— A więc? dorzucił Spauer, wszak idziemy? idziemy?

Przewodnik prawie pewien, że skusi podróżnych, pobiegł czem prędzej budzić swą drużynę, Włosi porwali się, otrzęśli płaszcze, 'przetarli oczy, ziewnęli i stali gotowi. Na dobitkę starszy zawołał zdala:

— A już tam was jeden jakiś ciekawy z Neapolu wyprzedził, przed chwilą go poprowadził stary Zeno.

Hrabina widocznie wahała się co począć z sobą, czuła, że prześladowca zostanie z nią, niechciała być z nim sam na sam. wołała ruszyć z innymi na górę; Giulia Sestini szeptała jej na ucho, poprawując swe czarne włosy, które czuwanie i drzemanie na ramieniu męża poplątało.

— Chodź pani z nami — chodź z nami.

— Idę czy jadę, odpowiedziała Adela, bo sama nie wiem doprawdy jak nawet przy pomocy tych ludzi dostanę się na wierzchołek, czuję się złamaną okrutnie.

— Świeże powietrze odżywi, uśmiechając się dodała Julja.

Pargaminowy człowiek nie mogąc dosłyszeć co mówiła, starał się odgadnąć, patrzył, wahał się widocznie, a oczy świeciły mu dziko.

— Pan pozostaniesz? spytał go Spauer.

Oburzył się na to i odskoczył.

— Pójdę czy zostanę, mogę uczynić co mi się podobą, zawołał opryskliwie hrabia usuwając się na bok, co komu do tego? co komu do tego?

Nadzieja oglądania narodzin słońca wlała nowe

siły we wszystkich, ruszano się, spieszono, Angielki i Szwajcarki zjawily się po chwilowem zniknienu całkiem gotowe do nowej wycieczki, wszyscy wychodzili z domku, a przewodnicy ochoczo z wykrzykami i śmiechem otoczyli cudzoziemców, których ożywiona ciekawość budziła w nich razem radość i pewien rodzaj szyderstwa.

Chociaż nie wszyscy zrazu zdawali się jednakowo usposobieni do tej wycieczki, — naśladownictwo, ciekawość, chęć popisania się z siłą i wytrwałością, zachęciły do wyprawy tej, i po namyśle nikt nie chciał zostać w pustelni, ani powracać zaraz do Neapolu.

Pargaminowy trzaskając gwałtownie drzwiami wyszedł ostatni, z zaciśniętymi od złości ustami, a choć hrabinę Adelę umyślnie otoczyli artyści jak straż bezpieczeństwa, usiłował się przecisnąć między nich i pokazać jej że i on idzie.

Ze wstydem i przestraczem oczy biednej kobiety odwróciły się od niego. To usposobienie lęклиwe, rozdrażnione, z jakim spotkali się raz pierwszy na cmentarzu Pizańskim, wracało hrabinie Adeli, widocznie opuszczały ją siły, które na chwilę przywołała w pomoc, oglądała się bojaźliwie, drżała, milcząca z głową spuszczoną szła z innymi, jak wiedziona na stracenie ofiara. Czuła wszakże, iż ją zastęp obrońców otaczał, że nie była samą, że tajemnicza jej i hrabiego historia nie przeszła dla słuchaczów niezrozumianą i obojętną. Spauer, Sestini, Przeręba ze współczuciem dla przesładowanej kobiety, ze wstrętem widocznym dla jej karta szli w ślad za Adelą. Wejrzenia ich prawie groźne szukały żółtego człowieka, który włókł się na pozór obojętny, uśmiechający gorzko, znudzony, ziewający,

starając utrzymać zawsze w jak najmniejszym oddaleniu od hrabinej. Ale usiłowania jego zrozumiane, odgadnięte przez troskliwych obrońców, były nadaremne, zawsze jednego z nich znajdował na drodze i uparcie mu zapierającego przejście.

Przez morze lawy przeszli wszyscy w milczeniu, nie zrobiło ono już na nich takiego wrażenia jak wczoraj, i w dolinie między Sommą a Wezuwuszem zatrzymano się krótką chwilę, rozpoczęło się zaraz drapanie przez żuźle i popioły. Przodem przed podróżnymi szedł ów neapolitański poranny wędrownik i wyściągwał ich zrecznie.

Tym razem wszystkie prawie krzesła były użyte, nawet niektórzy z mężczyzn zrzucając z siebie fałszywy wstyd, pozwolili się nieść barczystym Włochom. Francuz garbaty, oba Anglicy stary i młody, pojechali na ramionach Neapolitańczyków, hrabia namyślał się nieco, ale po chwili postanowił iść pieszo, i zbliżył się do krzesła Adeli. Przewidując zapewne ten wypadek, artyści otoczyli go tak, że w ich dosyć mu przykrem towarzystwie drapać się musiał, to go może skłoniło od pół drogi wziąć pozostałe krzeselko.

Na wschodzie coraz już było jaskrawiej, ale zaraz jakoś nie tak jak wprzódy. Gdy wszyscy dobili się do wierzchołka spotkał ich tu wcale niespodziewany zawód. Ranek na pół góry obiecywał się jasny i piękny, wschód jeszcze był czysty, ale nim weszli na Wezuwusz mgła jakaś wcale niespodziana oblekła niebo, wiatr się zmienił, dym z krateru niósł właśnie w tę stronę, na którą przyszli podróżni. Powietrze to, siarczystymi wyziewami przejęte, ciężkiem było do oddychania, na kilka kroków naprzód trudno

było coś rozeznąć. Wszyscy spojrzeli po sobie i na przewodników, którzy obeznani z niebem i atmosferą, przewidzieć może byli mogli nadejście mgły, ale goniąc za zarobkiem, udali tylko zdziwienie, mimo że ich uśmiechy szyderskie i wejrzenia, któremi się porozumiewali, wprawiły w podejrzenie, iż zawód ten wcale ich nie zdumiewał, zdawali się mówić do siebie oczyma: Sztuka się udała.

Mgła wprawdzie mogła się rozejść, nie prędzej jednak jak po wschodzie słońca, które już, już ukazać się było powinno, ale za zasłoną nieprzejrzystą ukryte, zostało incognito, niepostrzeżonem.

Na wierzchołku zastali już przybywający wprost z Neapolu przyprowadzonego wędrowca, który ich uprzedził, stał on kwaśny i zadumany, obwinięty płaszczem, oczekując na rozproszenie ciemności, które udaremniały ciężką i kosztowną wycieczkę.

Był to mężczyzna lat średnich, pięknej postawy, twarzy męskiej, rysów szlachtetnych, widocznie długich cierpień noszącej ślady. Gdy goście nasi z Anglikiem tryumfującym na czele ukazali się na płaszczynie krateru, obcy ów rzucił na nich okiem obojętnem, i unikając ciekawych wejrzeń, szybko się posunął bliżej ku kraterowi ziejącemu dymami siarczystemi.

Hrabina Adela, która w tej chwili wysiadła z krzesła, osłabiona i znękana, spostrzegła wypadkiem nieznanego stojącego nieopodal, chociaż on jej nie widział; — jeden rzut oka na niego, wywołał na jej twarzy nagły rumieniec, na oczy ogień jakiegoś zapachu pomieszanego z przestraczem, chwyciła się za serce,

jakby je wyskakujące z piersi powstrzymać chciała i krzyknęła z cicha:

— A! co za straszne zjawisko!!

Szept ten ledwie dosłyszany, podchwycił jednak ciekawy Spauer.

— Miałżeby jakim trafem być znowu ktoś znajomy pani i nie miły...!

O! nie, nie! podchwyciła hrabina, nie! nie! to co mi się przydało, przyśniło, jest zapewne skutkiem rozbudzonych opowiadaniem wspomnień, jest złudzeniem. ale jak dziwne, niesłychane podobieństwo. O! człowiek, którego mi ta postać przypomniła, umarł dawno, opłakałam go.

— Więc to zapewne, podchwycił artysta, ten przyjaciel jej młodości.

— Nie on, niestety! ale jakieś widmo do niego podobne, tamten umarł dawno, zginął, odpowiedziała Adela, cudem jednak prawie dziś, tu właśnie spotykam tak osobliwsze podobieństwo twarzy wyrazu. Sen to skołatanej wyobraźni, tyle lat ubiegło, twarz ludzka tak się zmienia. jest to tylko wspomnienie wskrzeszone dziwnem zbliżeniem charakterów dwóch twarzy.

Gdy to mówiła, inna scena odbywała się nieopodal. Hrabiego Żywskiego zdawała się równie uderzać ta twarz nieznanego, wzdrygnął się na jej widok, poruszył się z żywością jakiej dotąd nie okazywał i pospieszył za podróżnym, w rysach jego malowała się obawa, gniew, przerażenie, trwoga niewysłowiona. Dostrzegła go hrabina przesuwającego się piorunem naprzód, a ruch ten jeszcze bardziej zwrócił jej uwagę na zagadkową postać, poparł domysły dziwaczne,

przecucia bezzasadne. odepchnęła ją wszakże jako fantazję chorobliwą. Uśmiechając się sama do siebie, potarła ręką po czole i szepnęła:

— Marzycielko! marzycielko! a! to niepodobna! wywołujesz duchy, abys nad nimi płakać mogła.

Ale mimo tych uczynionych sobie uwag, hrabina rzuciła się w tę stronę, w którą udał się nieznajomy, jakby pragnęła lepiej mu się przypatrzeć, mocniej o omyłce przekonać.

Wędrowiec obwinięty płaszczem szedł zwolna dosyć, ścigany przez zdyszanego Żywskiego, który za nim także gonił niespokojny.

Spauer instynktowo obawiając się czegoś dla hrabinej poszedł za nią.

Adela przed chwilą jeszcze zamarła, osłabiona, bezsilna, biegła teraz prawie za nieznajomym, jak gdyby od spotkania z nim życie jej zależeć miało.

Żywski z zaciśniętymi ustami, z rozplamienionymi oczyma, dogoniwszy podróżnego, drżący (ze znużenia zapewne) wstrzymał się, wlepiając w niego wejście, którego pierwszy dotąd wcale nie spotkał. W twarzy ścigającego malowała się wątpliwość i obawa zarazem, oglądnał się na nadchodzącą hrabinę, jakby się chciał przekonać, czy ona także dostrzegła to zjawisko, jakby jej do niego drogę usiłował zatać. Widząc ją zbliżającą się, w dwóch poskokach natarł tak na zadumanego wędrowca, iż go całkiem sobą zasłonił. Nieznajomy nie zważał na to, rozglądał się po wulkanie, dopiero poczuwszy nacierającego z bliska, zwrócił się nieco i ujrzał zarazem hrabiego i przybliżającą się Adelę. w której twarzy jakaś nie-

ziemska promieniła nadzieja. Po raz pierwszy ją zobaczył i stanął także jak wryty, widocznie zdziwiony, ręką potarł po czole, wzdrygnął się, usta mu zadrżały, i zdawał chcieć od siebie jakieś widmo odepchnąć.

W tem kaszlanie natarczywe rozległo mu się nad uchem i śmiech suchy.

— Dziwne na świecie trafiają się podobieństwa, odezwał się hrabia do niego, pańska twarz przypomina mi bardzo jednego nieboszczyka.

— A! odparł marszcząc brwi i przypatrując mu się nieznamy, to prawda, dziwne są wypadki, pan także mocno mi na pamięć przywodzisz pewnego jegomości, którego nie wiele widywałem, ale go głęboko w sercu noszę.

Wpatrzyli się w siebie bacznie, a hrabia pochwycił go pod rękę.

— Pan przybyłeś oglądać Wezuwjusz, rzekł szybko, nie prawdaż, ciekawe bardzo widowisko? ja wczoraj spuszczałem się do krateru.

— A! zawołał nieznamy.

— Miło mi będzie służyć mu za przewodnika i cicerona, zbliżmy się tylko, chodźmy, chodźmy.

I ciągnął go z sobą.

— Niezmiernie ciekawy jest sam krater, mówił żywo, szczególnie wewnątrz, do którego można się bezkarnie zbliżyć, chodźmy tylko, chodźmy, ja pana zaprowadzę, ja tu jestem obeznany jak u siebie.

Gwałtownie pociągany tą niespodzianą troskliwością nieznamy mężczyzna, oczy miał i uwagę gdzieindziej zwróconą, patrzył na Adelę ciągle; korzystając z tego hrabia ciągnął go z sobą ku kraterowi,

uśmiechając się, mówiąc coś gorączkowo i gwałtownie opanowując. Zapatrzywszy się na kobietę, wędrowiec nie zważał, że hrabia włókł go szybko wprost nad przepaść, gdy krzyk Włochów, przewodników, powtórzony przez wszystkich podróżnych, naostatek nieznanego opamiętał. Zwrócił się, spojrzął, stał nad otchłanią, a Żywski roztargniony jeszcze się naprzód posunął.

— Panowie, wołali przewodnicy, fermate! ferma! per Dio! to śmierć, to śmierć, stójcie! stójcie...

Scena, którą opisujemy, trwała jedną przelotną chwilę, hrabia był tak dziwnie roztargniony, niespokojny, nierozważny, że właśnie gdy okrzyk przestrogi obił się o jego uszy, szarpnął się gwałtownie naprzód. Towarzysz jego, który po za siebie na hrabinę Adeleę patrzył i mało co więcej nad nią widział, w chwili dopiero nieuniknionego już prawie niebezpieczeństwa gwałtownie wyrwał się z uścisku hrabiego i cofnął w tył.

Straszliwy krzyk rozległ się w powietrzu, Żywski w mgnieniu oka zadrżał, pochylił się i znikł, stracił widzieć równowagę i wpadł w przepaść. — Cudem się stało, że w nią drugiej ofiary ze sobą nie pociągnął i że jakimś instynktem w porę z jego rąk wydobył się podróżny.

Nie podobna odmalować zamętu jaki powstał skutkiem tego nieszczęśliwego wypadku, Włosi, krzykliwi z natury, zaczęli wrzeszczeć, nie śmiejąc się przybliżyć aby zobaczyć, czy Żywski nie zawisł na jakim złomie skorupy, kobiety załamywały ręce, mężczyźni biegli choć nie było już po co, szlochanie i jęki

rozlegały się w powietrzu; nieznajomy stał jak wryty, niemogąc jeszcze pojąć co się z nim i z towarzyszem jego tak nagle pochłoniętym działo. Hrabina Adela leżała zemdlna.

Nie rychło przytomność wróciła wszystkim, pierwszy Anglik ze Szwedem spuścili sznury, próbując czy gdzie hrabia nie czeka na ratunek, uczepiwszy się brzegu. Przewodnicy także poszli na zwiady i jeden z nich się spuścił na linie w głębinę, ale z niej nic nie wyniósł prócz poły od sukni zawisłej na kawałku lawy. Żywskiego pożarła otchłań, nie było wątpliwości.

Wrażenie tego wypadku, który przypisywano nieostrożności, zepsuło całkiem dla ciekawych porannek spędzony na Wezuwujuszu. — Po godzinnem krzątaniu nadaremne, gdy hrabina Adela ocuciła się osłabiona, wszyscy, licząc w to i nieznajomego, powoli schodzić zaczęli w dolinę. Oczy dwojga ostatnich wlepione były z dziwną jakąś ciekawością w siebie, ale ani się zbliżyć śmieli, ani przemówili. Nieznajomy (co się łatwo tłumaczy wypadkiem) był przerażony i smutny, i hrabina Adela płakała po cichu, reszta towarzystwa opowiadała sobie szczegóły śmierci hrabiego, której nikt naturalnie wytłumaczyć nie umiał.

W dolinie hrabina Adela uczuła się tak chorą, że ją otrzeźwiać musiano nieustannie, i gdy się dostali do pustelniczego domku, trzeba było myśleć dla niej o wypoczynku, a może nawet o lekarzu. Już ją wnosić miano do osobnego pokoiku, gdy nagle jakby tknięta niepokojem jakimś niewysłowionym, podniosła się i wlepiając oczy w nieznajomego, zawołała:

— Stanisław!!

Mówiąc to drżała silnie, obawiając się zapewne, aby odpowiedź jakiejś ostatniej nie odjęła jej nadziei.

Mężczyzna zdumiony stanął, załamał ręce i rzucił się ku niej.

— Ty żyjesz! zawołał.

— Tyś nie umarł! krzyknęła Adela, a! być-że to może?

W mgnieniu oka pobiegli ku sobie, ale hrabina uderzona jakby piorunem zemdląła znowu.

Wszyscy przytomni uznali właściwe usunąć się zaraz, a Julja Sestini ze Szwajcarką tylko i nieznajomy mężczyzna ponieśli ją do osobnego pokoju, w którym, jak mówiono, nierychło odzyskała przytomność.

Dalszy ciąg tej historii nie jest nam wiadomy, utrzymywano jednak w Neapolu, że hrabina, która tam dłuższy się czas zatrzymała, czując się całkiem zdrową, miała za indultem otrzymanym z Rzymu zaślubić onego nieznajomego. Sestini opowiadał, że widywał oboje nim w dalszą wyruszyli podróż, ale mało się od nich o przeszłości mógł dowiedzieć; domyślał się tylko, iż ów nieznany był pierwszym towarzyszem młodości hrabiny Adeli, o którego śmierci fałszywie rozpuszczono wieść, aby ją skłonić do niemiłego zamężcia. Ten traf, który często cuda czyni, i tak niesłusznie ślepym się zowie, zrządził, że w chwili, gdy cierpienie biednej kobiety doszło do najwyższego kresu, znikł przesładowca a oplakany z grobowych ciemności do życia powrócił. Ileż to razy człowiek, gdy już zrozpaczony o sobie, gdy nie widzi żadnej nadziei, stoi niewiedząc sam o tem u wrót, które go dzielą od pokoju i szczęścia! ileż razy jedna chwila cierpliwości

i wytrwania dałaby przyszłość jasną tym co się jej wyrzekli przedwczesnem zwątpieniem! Ostatni oddech człowieka jeszcze powinien być westchnieniem pogodnem, głęboką wiarą w to, że na świecie nic się nie dzieje ani bez sprawiedliwości, ani nierozumnym ślepym trafem...

Sestri di Levante 1863 r.

K O N I E C.



F. 1715

3/2

F
1714¹⁻²
~~1716~~